

MAŁGORZATA WASSERMANN:
ZE MNĄ NIE MA DILOWANIA!
PIERWSZY TAKI WYWIAD O KRAKOWIE

MINISTER ZDROWIA
ŁUKASZ SZUMOWSKI:
TAK SKRÓCĘ KOLEJKI



SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 29 (294) 2018
16–22 lipca

CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

I TAKICH SĘDZIÓW BRONICIE?!



UJAWNIAMY

WOJCIECH ŁĄCZEWSKI PRZED SKAZANIEM SZEFÓW CBA KONSULTOWAŁ SIĘ Z EKSPERTEM PLATFORMY. CZY PROCES ZOSTAŁ USTAWIONY?

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

eprasa.pl

Na wakacje dołącz do Sieci Przyjaciół

Zamów subskrypcję:



na 1 miesiąc

~~19,99 zł~~ **tylko 9,99 zł**



koszulka
RED IS BAD™
o wartości 103 zł

biała lub czarna do wyboru

na 12 miesięcy

159,99 zł + prezent!

www.SiećPrzyjaciół.pl

eprasa.pl b95f64bea9

Kiepski sternik

Kiedy rozpoczynał się szczyt NATO w Brukseli, światowe media kreśliły wizję spotkania spokojnej, zrównoważonej Europy Zachodniej z nieprzewidywalnym prezydentem Stanów Zjednoczonych. Ale kiedy liderzy się rozjeżdżali, inne obrazy i słowa poszły w świat. Szef Komisji Europejskiej Jean-Claude Juncker chwiał się, potykał, a sceny te powszechnie uznano za objaw upojenia alkoholowego. Co tym bardziej prawdopodobne, że już wcześniej zdarzały mu się takie problemy. Kompromitacji dopełniło zachowanie części szefów państw, którzy pobiegli na pomoc komisarzowi: jak wspólnicy libacji podpierali go, prowadzili za ręce, by nie zgubił drogi. W tym czasie Donald Trump z satysfakcją patrzył na efekt, jaki wywołał, jasno mówiąc, że jest jakimś szaleństwem, iż Niemcy chcą, by NATO, także USA, broniło Europy przed Rosją, a w tym samym czasie finansują rosyjskie zbrojenia. Bo przecież taki sens ma budowa gazociągu Nord Stream 2.

Oczywiście Europa nie jest aż tak zgniła, jak niedysponowany był komisarz Juncker, a prezydent Trump bywa w innych swoich wywodach niespójny. Ale bez wątpienia jest w tym symbolicznym zderzeniu także wniosek dla Polaków: ufajmy swojemu rozsądkowi i naprawiajmy Polskę tak, jak uważamy za konieczne. Zaufanie do sternika Junckera i jego współpracowników musi być ograniczone.

Michał Karnowski

Nauki z noteckiego zamku

Bardzo bogaci ludzie stawiają wielki, gargamelowaty zamek w Puszczy Noteckiej. W oczywisty sposób bulwersuje sama inwestycja, jednoznacznie sprzeczna z jakkolwiek rozumianą wrażliwością ekologiczną. Ale przede wszystkim bulwersuje coś innego – że wszystko to dzieje się od 2014 r. i aż do teraz udawało się ten wszechstronny skandal utrzymywać w tajemnicy przed opinią publiczną. A także to, że gigantyczny potwór, do którego wzniesienia zasypano część jeziora (!), powstaje za zgodą, i wręcz przy wparciu, miejscowego samorządu.

Te dwa fakty są ściśle powiązane. Fanatycy samorządności, przez ostatnie dekady dzierżący w Polsce rząd dusz, upowszechniają narrację, w której myśl lokalna władza przez samo to, że jest lokalna, że jest „bliżej ludzi", miałaby być jeśli nie doskonała, to ze swej natury doskonalsza od władzy centralnej, przed którą trzeba owej samorządności bronić. Tymczasem jest – a przynajmniej często bywa – odwrotnie. To na szczeblu lokalnym, gdzie panuje cisza (którą, jak wiadomo, lubią pieniądze) są znacznie większe możliwości niezgodnego z prawem bogacenia się. Większe więc są i pokusy – również dlatego, że większa jest bezkarność. Lokalne media, jeśli istnieją, są słabiutkie i uzależnione od samorządów, a centralne zajmują się innymi kwestiami.

Dobrze by było, gdyby sprawa nadnoteckiego zamku unaoczniła to opinii publicznej.

Piotr Skwieciński



Autopromocja

Fot. Julita Szewczyk

eprasa.pl b95f64bea9

SIECI

spis treści



26 Nieodwracalna reforma sądów
Stanisław Janecki



51--66 Bezpieczne wakacje
Dodatek



84 Uratowana drużyna
Przemysław Barszcz

NA POCZĄTEK

6 **NIEOFICJALNY PRZEGLĄD TYGODNIA**
Sygnalista

8 **KLONY KOBIETONY**
Krzysztof Feusette

12 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Piotr Skwieciński

14 **LATO Z ŻARTEM**
Jan Pietrzak

15 **BRATERSTWO, CZYLI SAMOBÓJSTWO**
Bronisław Wildstein

16 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

17 **DESIGN A WSPÓŁCZESNOŚĆ**
Marta Kaczyńska

18 **ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY**
Dorota Łosiewicz

19 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

20 **FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

22 **TAK KNUŁ ŁĄCZEWSKI**
Marcin Wikło, Marek Pyza

KRAJ

26 **NIEODWRACALNA REFORMA SĄDÓW**
Stanisław Janecki

29 **LEGALIZM CZY WSPÓŁCZESNOŚĆ**
Jan Rokita

32 **Z MAŁGORZATĄ WASSERMANN**
rozmawiają Marek Pyza i Marcin Wikło

38 **ZMIERZCH MANUELI GRETKOWSKIEJ**
Maja Narbutt

42 **Z DANIELEM PIPESEM**
rozmawia Aleksandra Rybińska

44 **KOGO BOLI DEKLARACJA?**
Konrad Kołodziejski

47 **Z ŁUKASZEM SZUMOWSKIM**
rozmawia Jacek Karnowski

SIECI KULTURY

67 **OSTRE CIĘCIE**
Jolanta Gajda-Zadworna

72 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

74 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

79 **POLECA I ODRADZA**
Łukasz Adamski

HISTORIA

79 **CHYBIONE UDERZENIE W MACIEREWICZA**
Piotr Gontarczyk

ŚWIAT

84 **URATOWANA DRUŻYNA**
Przemysław Barszcz

88 **MILION LAJKÓW DLA ROSJI**
Piotr Skwieciński

SPORT

91 **CZAS BRZĘCZKA**
Cezary Kowalski

GOSPODARKA

92 **MIESZKANIE PLUS BANK, PREZYDENT I MIESZKAŃCY**
Marek Siudaj, Anna Raciniewska

96 **GASNĄCA GWIAZDA NEOLIBERALNYCH ELIT**
Janusz Szewczak

98 **CZAS MORSKICH DECYZJI**
Arkady Saulski

KUCHNIA

100 **MOJE SMAKI: KRZYSZTOF ILNICKI**
Jolanta Gajda-Zadworna

101 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

102 **HINDUS, TURBAN, DEPRESJA**
Piotr Skwieciński

103 **DOOKOŁA EUROPY**
Krystyna Grzybowska

104 **KSIĄŻKI NA WAKACJE**
Dariusz Karłowicz

106 **DWA ŻYCIORYSY**
Wojciech Reszczyński

107 **FELIETONY**
Witold Gadowski, Lech Makowiecki

108 **(NIE)DOSTATEK SŁÓW**
Aleksander Nalaskowski

109 **POSKACZ Z NAMI**
Wiktor Świetlik

110 **SZÓSTE ZOSTAJE**
Jan Pospieszalski

111 **FELIETONY**
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska

112 **LIST DO MICKA JAGGERA**
Ryszard Makowski

113 **Z POGODĄ LATA…**
Leszek Długosz

114 **GRANICE WYTRZYMAŁOŚCI**
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

17/07/18/F

eprasa.pl b95f64bea9

PGNiG Walczymy o konkurencyjne ceny gazu dla Polski

Korzystne dla PGNiG orzeczenie Trybunału Arbitrażowego w sporze z Gazpromem

Kontrakt jamalski został zawarty w 1996 roku i obowiązuje do 2022 roku. Zawiera zasadę „take or pay", według której PGNiG musi kupować od Gazpromu określoną minimalną ilość gazu ziemnego rocznie niezależnie od potrzeb.

Możliwość rozstrzygania sporów poprzez arbitraż jest zapisana w kontrakcie z Gazpromem.

Spory handlowe między przedsiębiorstwami rozstrzyga niezależny **Trybunał Arbitrażowy** w Sztokholmie.

Kontrakt dopuszcza renegocjację cen. W 2015 roku PGNiG i Gazprom nie doszły do porozumienia.

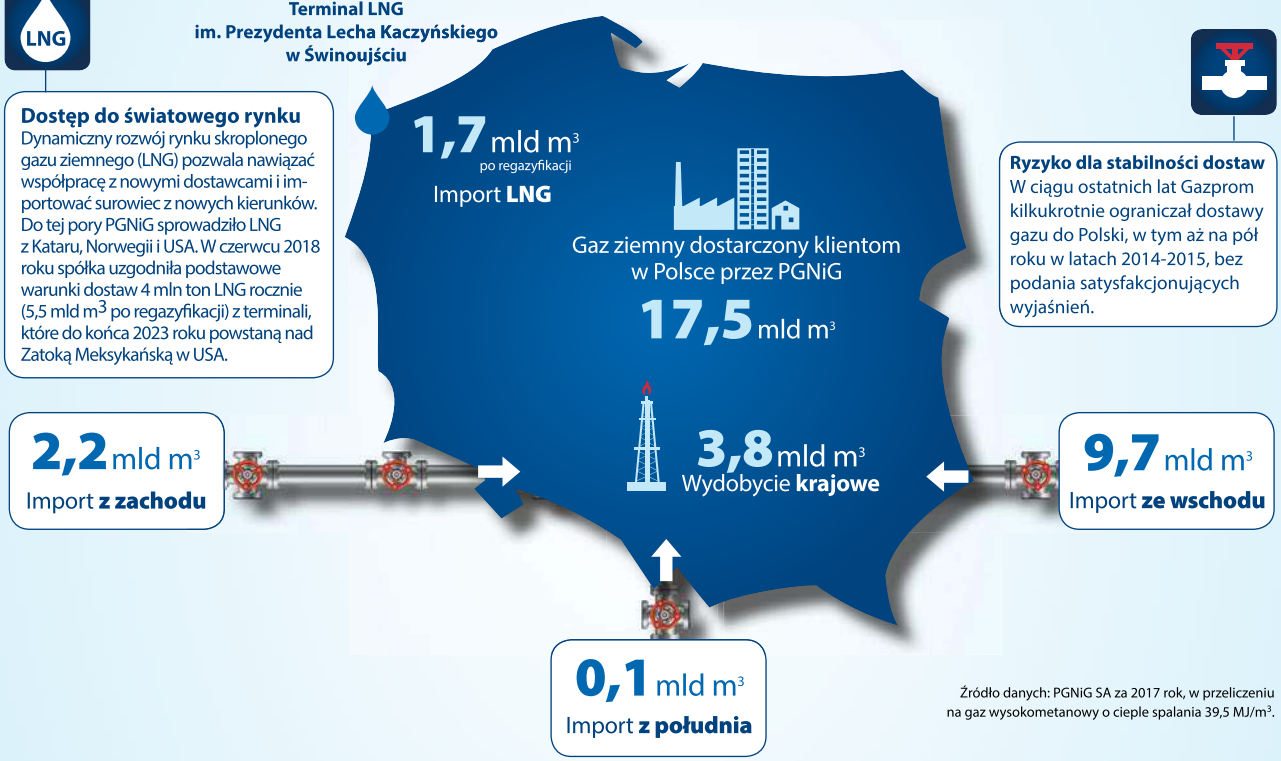
W 2016 roku PGNiG skierowało pozew przeciwko Gazpromowi do Trybunału Arbitrażowego w Sztokholmie.

PGNiG zabiega przed Trybunałem o rynkowe zasady ustalania ceny dostaw gazu do Polski, np. powiązanie jej z cenami surowca na giełdach w Europie Zachodniej.

Trybunał przyjął kluczowe argumenty PGNiG i potwierdził prawo polskiej spółki do zmiany warunków cenowych kontraktu.

Dostęp do światowego rynku

Dynamiczny rozwój rynku skroplonego gazu ziemnego (LNG) pozwala nawiązać współpracę z nowymi dostawcami i importować surowiec z nowych kierunków. Do tej pory PGNiG sprowadziło LNG z Kataru, Norwegii i USA. W czerwcu 2018 roku spółka uzgodniła podstawowe warunki dostaw 4 mln ton LNG rocznie (5,5 mld m^3 po regazyfikacji) z terminali, które do końca 2023 roku powstaną nad Zatoką Meksykańską w USA.



Ryzyko dla stabilności dostaw

W ciągu ostatnich lat Gazprom kilkukrotnie ograniczał dostawy gazu do Polski, w tym aż na pół roku w latach 2014-2015, bez podania satysfakcjonujących wyjaśnień.

Źródło danych: PGNiG SA za 2017 rok, w przeliczeniu na gaz wysokometanowy o cieple spalania 39,5 MJ/m^3.

2,5 mld m^3 Wydobycie w Norwegii

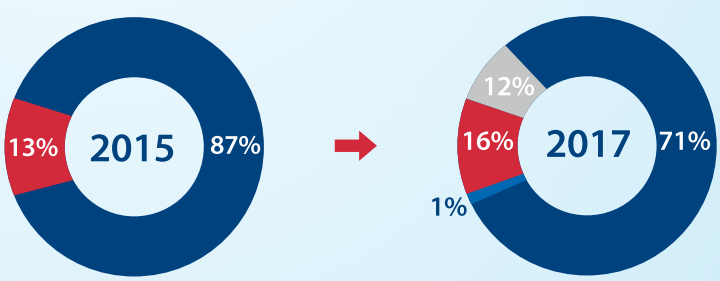
Tyle gazu rocznie planuje wydobywać PGNiG ze złóż na Norweskim Szelfie Kontynentalnym. To ponad połowa tego, co wydobywa się obecnie w Polsce. W 2022 roku gaz ten popłynie gazociągiem Baltic Pipe, który połączy Norwegię, Danię oraz Polskę. Obszar aktywności PGNiG w Norwegii obejmuje morza Północne, Norweskie i Barentsa.



Dywersyfikacja

Różnicowanie oferowanych usług i produktów, bądź źródeł zaopatrzenia, w celu zmniejszenia ryzyka w prowadzeniu działalności gospodarczej.

Tak zmienia się import gazu do Polski



2,7 mld m^3 (po regazyfikacji) – roczny import LNG z Kataru od 2018 roku

eprasa.pl b95f64bea9

Przegląd Sygn



Szewach Weiss wyjaśnił, że nie powiedział izraelskiej gazecie, iż „zdarzały się sytuacje, w których rząd RP na uchodźstwie uczestniczył w mordowaniu Żydów". Powiedział jedynie, że „byli tacy w Armii Krajowej, że też współpracowali z Niemcami co do Żydów". Nie dodał gdzie, bo to wiedza wręcz sensacyjna, ostatni raz przywołana przez „Wyborczą" 1 sierpnia 1994 r. Na pewno przykre, że w tak trudnym momencie Polska i z tej strony dostaje ciosy.

★ ★ ★

Wyjście z aresztu Stanisława Gawłowskiego za półmilionową kaucję zbiegło się z mundialowym sukcesem dzielnych Chorwatów. Ciekawe, komu kibicował ten były sekretarz generalny PO. Z jednej strony zapewne piękne wspomnienia z chorwackiego apartamentu, który Gawłowski miał zdaniem prokuratury przyjąć jako łapówkę, a z drugiej – dziś zapewne także trauma. Na pewno ma nad czym myśleć. Sumienia nie oszukasz.

★ ★ ★



„Kiedy jestem na spotkaniach w terenie, słyszę, że ludzie nie oczekują już odpowiedzi na pytanie, czy utrzymamy 500+i inne pozytywnie oceniane rozwiązania wprowadzone przez PiS, tylko: jak można tej partii odebrać władzę" – powiedział w wywiadzie dla „Kultury Liberalnej" wiceprzewodniczący PO ***Tomasz Siemoniak***. Nie wskazał jednak odpowiedzi. A przecież wystarczy wygrać wybory.

★ ★ ★



Słowa Micka Jaggera: „Jestem za stary, by być sędzią, ale jestem dość młody, by śpiewać", wlały nieco otuchy w serca opozycji. „To nie jest tak, że ten zespół nie wie, co się dzieje w Polsce. Szef The Rolling Stones bywał w Polsce wielokrotnie, kupując konie arabskie" – ekscytował się poseł PO ***Sławomir Neumann***. Pewnie nie wie, że przeciwko Trumpowi opowiedziało się jakieś 99 proc. artystów, a i tak wygrał. To w dzisiejszym świecie już nie działa.

★ ★ ★

W sprawie Sądu Najwyższego po raz kolejny zabrał głos prof. Adam Strzembosz. „Odwoływanie się do narodu jest niebezpiecznym uproszczeniem" – przekonywał, uzasadniając: „Do woli narodu odwoływał się gen. Jaruzelski i przez długie lata, także po 1989 r., stan wojenny był łączony z aprobatą większości polskiego społeczeństwa". Dodał, że „za wyraziciela woli narodu uznawał się także Hitler, więc to naprawdę rodzi złe konotacje". Zdaniem salonu Polska byłaby piękna, gdyby nie naród, który w niej mieszka.

★ ★ ★



Nad stanem spraw ubolewa także ***prof. Jadwiga Staniszkis***. „Bardzo lansowałam Andrzeja Dudę przeciwko Komorowskiemu i teraz gorzko żałuję. Parę razy miałam okazję Komorowskiego przeprosić. On był spokojny, ale miał kręgosłup i styl, który był do zaakceptowania" – stwierdziła, idąc krok dalej niż poprzednio. Jest jakaś tajemnica w ludziach, którzy gdy w końcu zbliżają się do swojego marzenia, ogłaszają odwrót. Czasem sukces przychodzi za późno.

★ ★ ★

Zdaniem Staniszkis „to wszystko przypomina późne lata 40., kiedy jeszcze nie wsadzano do więzień, bo po prostu niszczy się system demokratyczny", a Kaczyński przeprowadza „destrukcję", ponieważ „po śmierci brata" chce „pozostawić wszędzie taką pustynię". I tak oto mędrca szkiełka i oko widzi pozory, a nie widzi istoty sprawy, która jest przecież – gdy chodzi o ocenę prezesa PiS – po prostu odwrotnością tego, co głosi pani socjolog.

★ ★ ★

Prof. Staniszkis to i tak wciąż elegancja choćby przy prof. Andrzeju Friszkem, którego zdaniem „pisiorski motłoch

eprasa.pl b95f64bea9

tygodnia alisty

żyje nienawiścią, chce nienawiści, ona ich napędza". Bo język PiS „jest adaptacją języka bolszewizmu". W sumie „straszna formacja, bardzo przypominająca Marzec 1968, ale sięgając wstecz, trzeba szukać analogii z komunizmem i faszyzmem". W czasach rządów PO wszystko za to było demokratyczne. Nawet realny monopol informacyjny i ciągła nagonka na opozycję z niczym się nie kojarzyły.

★ ★ ★

A biskup Tadeusz Pieronek podzielił się taką oto refleksją: „Przed wyborami parlamentarnymi 80 proc. Polaków opowiadało się za przyjęciem uchodźców, a dzisiaj jest odwrotnie. To jest jeden z największych grzechów PiS-owskiej polityki, która wytrąciła ludzkie sumienia". Dane szerzej nieznane, ale nawet jeśli prawdziwe, to może warto wyciągnąć z nich inny wniosek. Taki oto, że w III RP sondaże nie były żadnym lustrem poglądów społecznych. To był salon krzywych zwierciadeł.

★ ★ ★

Trudno się dziwić, że mając takie siano w głowie, Platforma zbojkotowała Zgromadzenie Narodowe, które uczciło 550-lecie polskiego parlamentaryzmu i 100-lecie odzyskania niepodległości. W pewien sposób to nawet szczere: Platformie nigdy nie chodziło przecież ani o parlamentaryzm, ani o państwo. Na pewno nie na pierwszym planie. Cele tego „projektu" były i są co najwyżej galicyjskie.

★ ★ ★

Magdalena Środa zajmuje się tym, co zawsze, czyli walką z polskim katolicyzmem. „Nie wiem, jaki interes ma w tym »zawierzaniu« Matka Boska, która od wielu już lat nosi tytuł Królowej Polski" – stwierdziła ostatnio, komentując zawierzenie z udziałem premiera Mateusza Morawieckiego Matce Boskiej Częstochowskiej na Jasnej Górze. Matka Boska może i nie ma interesu, ale Środa ma, i to poważny. Może dzięki temu ona sama jednak nie pójdzie do piekła?

★ ★ ★

Reporter TVN Wojciech Bojanowski został zatrzymany w Tajlandii. Nie bez poważnego powodu – latał zdalnie sterowanym dronem w okolicach jaskini Tham Luang, gdzie trwała dramatyczna walka o życie uwięzionych chłopców. A dron, w sposób oczywisty, zagrażał śmigłowcom ratunkowym. Sprawa w sumie banalna, gdyby nie „wyrazy solidarności", które popłynęły z prawej strony. Także „największe zakapiory" pobiegły się łasić. Jakie to wszystko przewidywalne.

★ ★ ★



Generalnie za granicą lepiej uważać. Co bardziej czujni obserwatorzy dostrzegli, że szef Gabinetu Prezydenta RP Krzysztof Szczerski jakby zapadł się ostatnio pod ziemię, i to w czasie, gdy ***Andrzej Duda*** szaleje zagranicznie. Niektórzy już knuli spiskowe teorie, ale przyczyna jest boleśnie banalna: pan minister zjadł jakieś paskudztwo podczas wyprawy do Estonii, delikatny żołądek nie wytrzymał i teraz odchorowuje.

★ ★ ★

Może też spodziewa się obniżki pensji i oszczędza na stołówkach? Jakby się zwolnił od Dudy i zatrudnił w państwowych Portach Lotniczych, nie musiałby liczyć drobnych. W trzy lata rządów Mariusza Szpikowskiego, obecnego prezesa tej państwowej firmy, wydano tam na nagrody 55 mln zł, w tym 490 tys. trafiło do kadry zarządzającej. Panu prezesowi też solidnie skapnęło. Żeby było zabawniej, na okres wakacji z zarządzanego przez Porty Lotniska Chopina zniknęła połowa sklepów. Starego, solidnego najemcę przepędzono, nowy próbuje się instalować. Z naciskiem na próbuje. I to wszystko w czasie największego natężenia ruchu. Ktoś tu chyba odleciał.

★ ★ ★

Twarde lądowanie groziło za to pewnemu znanemu redaktorowi telewizji publicznej, który będąc pod wpływem wiadomo czego, znów pobluzgał w internecie. Kura – kierownik zakładu – chciał od razu zwalniać, ale uległ błaganiom o ostatnią szansę. Aktowi łaski towarzyszyło ostrzeżenie: kolejnej szansy nie będzie. Generalnie w telewizyjnym kurniku ma być teraz dużo większa dyscyplina i zwiększona jajeczność.

Fot. Andrzej Wiktor, M. Czutko, Julita Szewczyk, Fratria, Andrzej Skwarczyński

eprasa.pl b95f64bea9

Klony kobietony



KRZYSZTOF FEUSETTE

Za siedmioma wyciętymi lasami, za siedmioma górami problemów, jakieś pięć i pół godziny lotu stąd, gdzie obecnie jestem, rozciągała się kraina Mleczkiem rysownikiem i Miodkiem językoznawcą płynąca. Rządził nią książę Jarosław, który nie miał żony. Przybywały do niego dziewoje z całego królestwa, by starać się o jego względy, a trzeba wiedzieć, że zwrócić na siebie uwagę księcia było trudno. Dlatego prześcigały się w pomysłach, a najbardziej podczas Tygodnia Końskich Zalotów, nad którym pieczę sprawował osobiście Wielki Koniuszy, z zawodu mecenas byłego królewicza Józefa z Bąków. Z tych Bąków.

W 2018 r., a więc na 77 kampanii wyborczych przed wycofaniem się księcia Jarosława z polityki, pierwsza przybyła przed jego oblicze księżna Jadzia z Tanich Szkiss, gdziekolwiek to było. I wskazując księcia, rzekła (a trzeba wiedzieć, iż usta miała tak pomalowane farbą olejnikową, że z trudem rozklejała wargi): „Znam go i myślę, że jest wewnętrznie zdruzgotany. Znam go długo, ale słabo, jak większość ludzi. Obserwuję go od bardzo wielu lat. To jest jednak taka destrukcja po śmierci brata. Zostawić po prostu wszędzie taką pustynię...". Tu przerwała, lecz usta wzdymała. I już miała dokończyć tę wzruszającą opowieść, jak to ona, w związku z powyższym, zaopiekuje się księciem, ale ten zaczął ziewać i straże wyniosły ją do magazynu TVN24. Skąd tyle wiedzy było w Jadzi o stanie psychiki Jarosława? Wieść gminno-powiatowa niosła, że książę uciekł jej z kozetki, którą na stare lata kazała sobie wyrzeźbić w kicie pszczelim. Stąd tyle emocji.

Następna zjawiła się księżna Manuela z Gretkowskich, dla przyjaciół dworu – Blondyna. Wjechała na czymś, co przypominało osiołka, w rzeczywistości zaś było zagubionym publicystą, który z zakonnika przemienił się w tropiciela katolików. Bólu w księżnej Manueli było także co niemiara. Plotki głosiły, że liczyła na związek szybki i intensywny. Roztrzęsiona przypominała księżną Krystynę z Jandów z wywiadu, gdy ta miała poczucie, że „ktoś bez przerwy sr... jej na głowę". Blondyna piszczała: „Skurdupel uważa się za Polskę, prawo i wymierzaną przez siebie sprawiedliwość. Polska poszła się j...bać z Kaczyńskim, na zawsze. Będą nami rządzić faszystowskie pomioty. Gdy my kochaliśmy, robiliśmy prawa jazdy, podróżowaliśmy, wydając nasze ciężko zarobione pieniądze z naszych kont bankowych, on od lat tkwił w samotności paranoika, knując z resentymentu!". Tak się przy tym pociła, że nikomu już nie chciało się słuchać jej kolejnych opowieści o waginie i penisach, o niespełnionej pisarce i spełnionej nimfomance. Odeszła, jak weszła, w ciszy przerażenia zebranych, że miłość do księcia może i takie nosić znamiona.

Kolejna kandydatka wbiegła jak po ogień, a wszystko, co po sobie zostawiła, to nagie zdjęcia z dawnych lat i kilka zdań wyszeptanych w pośpiechu. „Jarosław Kaczyński zmusza mnie do myślenia oraz do aktywności publicystycznej i intelektualnej. Przede wszystkim doszło w Polsce do pogłębionej dyskusji na temat praw kobiet i feminizmu" – mówiła księżna Młynarska Młodsza. „Ten festiwal seksistowskiego chamstwa, ta homofobia, rasizm, wykluczenie, to wszystko przecież istniało, bulgotało pod pokrywką także w czasie, gdy rządziła PO i wcześniej. Tylko to było takie „»miętkie« jak »miętkie« majtki – takie, w których nie wpija się guma w dupę" – zakończyła, po czym poprawiła bieliznę i poszła. A Kaczyński ciągle ziewał.

Wtedy do Sali Zalotów wtoczyło się coś, co damy nie przypominało nawet z horrorów. Księżna Holland miała bowiem z pewnością jakieś ukryte atuty, ale na pierwszy rzut oka pozostawały one nieodgadnione. „Zawsze uważałam, że on jest nieszczęściem. Że karmi się sianiem nienawiści, destrukcją, to jest jego pokarm. Ja nie mówię, że przyjdzie Hitler czy że Kaczyński jest Hitlerem. Mówię tylko, że jest taki czas, kiedy bardzo łatwo ta ciemna strona mocy czy nienawiść, może pójść jak ogień. Ja nie znam pana Kaczyńskiego. Ma swoje głębokie psychologiczne obsesje i to w dużym stopniu determinuje jego zachowania. On przegra, nie może wygrać! Biologia go załatwi!" – zawołała na koniec, gdy słuchający tarzali się już ze śmiechu. Wspomniała coś jeszcze o skażeniu powietrza i odeszła jak niepyszna, choć pychy, jak przed każdym upadkiem, kroczyło przed nią niemało.

Przedziwne chrząkanie dochodzące zza drzwi zwiastowało przybycie ostatniej zainteresowanej. „Co się pani tak wałęsa, księżno Danuto" – rzucił ktoś do dziewoi w białym kapeluszu, co sprawiło, że nerwy straciła już na starcie. „Niech pan się opamięta, panie Jarosławie. Nie ma pan dzieci, nie ma pan żony. Co pan wie o życiu pszczół, jak pan w ulu nie mieszka? Chce pan mieć władzę wszelką w każdej dziedzinie, a to jest nienormalne!" – zagrzmiała dama była Pierwsza. Jakby uznała, że w kwestii normalności czyni ją ekspertem długotrwałe przebywanie u boku wariata, któremu się wydaje, że rozmawia z Mickiem Jaggerem. Kaczyński zasnął.

Po cichutku więc na koniec księżne wspólnie odśpiewały dwuwers: „Na górze róże, na dole fiołki / A my... na rurze kręcimy fikołki", i tego dnia przesłuchania się zakończyły. Ale przecież miały przyjść kolejne, a każde pełne najwymyślniejszych sposobów, by złamać serce księcia Jarosława. Ludzie mówili, że końskie zdrowie musi on mieć do tych końskich zalotów, ale nazwisk kandydatek w końcu nikt już nie pamiętał, takie były podobne. Te księżne, oczywiście, nie nazwiska.

11/0718/F

eprasa.pl b95f64bea9

PIELGRZYMKA
DO OJCA PIO

POD PATRONATEM TYGODNIKA KATOLICKIEGO „NIEDZIELA”

7-16.10.2018 r.

- Asyż - Rzym - Watykan
- Monte Cassino Neapol - Pompeje
- Pietrelcina - San Giovanni Rotondo
- Lanciano - Manoppello - Wenecja

CENA: 2300 zł + 120 euro



www.pielgrzymka.niedziela.pl

REDAKCJA TYGODNIKA KATOLICKIEGO „NIEDZIELA”
ul. 3 Maja 12, 42-200 Częstochowa
tel.: 34 369 43 25 tel. kom.: 506 744 552

TRADE & TRAVEL COMPANY SP. Z O.O. :
ul. Piotrkowska 92, 90-103 Łódź
tel./fax: 42 630 48 66, 42 630 48 68
42 630 48 69, 42 636 98 38, 42 633 06 74
biuro@konsorcjum.com.pl

ul. Koszykowa 53, 00-659 Warszawa
tel./fax: 22 622 82 96, 22 622 46 82
biurowaw@konsorcjum.com.pl

Więcej informacji o obchodach Roku Jubileuszowego o. Pio:
www.kapucyni.pl

ORGANIZATOR:

niedziela

KONSORCJUM.PL TRADE & TRAVEL COMPANY

PATRONATY HONOROWE NAD ROKIEM JUBILEUSZOWYM O. PIO:

KONFERENCJA EPISKOPATU POLSKI

PATRON:

Fundacja NIEDZIELA. Instytut Mediów

eprasa.pl b95f64bea9





Pamięć o Wołyniu

Ten obraz nie miałby takiej siły, gdyby prezydent Andrzej Duda złożył kwiaty na najbardziej nawet okazałym i pięknym pomniku ofiar wołyńskiego ludobójstwa. Monument im się oczywiście należy, ale rzeczywistość jest taka, że Polaków stamtąd wyrwano, pozostawiając dziurę. Bezkres pola zamiast wsi Pokuta, która kiedyś tam była. Tyle zostało po polskich Kresach. I nasza pamięć.

Wiele razy słyszałem pretensje do polskich władz o to, że zbyt mało uwagi poświęcają sprawie upamiętnienia ofiar Wołynia, że środowiska kresowe nie mogą się doczekać słów prawdy o tym, co się tam wydarzyło latem 1943 r. Rzeczywiście, do tej pory Sejm raczył nas protezami uchwał ze zniuansowanymi stwierdzeniami w stylu „zbrodnia o znamionach ludobójstwa". Tym razem, w przededniu 75. rocznicy bestialskiego mordu, padły wszystkie słowa, które paść powinny, i to z ust polskiego prezydenta. Było i o ludobójstwie, i o czystce etnicznej, i o braku równowagi pomiędzy ofiarami polskimi oraz ukraińskimi. Bo jak tu równoważyć prawie 100 tys. ofiar naszych rodaków z 5 tys. zabitych w polskich akcjach odwetowych?

Pytanie jest inne: czy gest prezydenta przełoży się w jakikolwiek sposób na porozumienie z Kijowem w kwestii polityki historycznej? Na razie nie ma na to widoków, mimo deklaracji i zapewnień Petra Poroszenki. Przewiduję, że w najbliższym czasie może być nawet gorzej, bo na Ukrainie zbliżają się wybory, a głosy z zachodniej części kraju można zdobyć, tylko flirtując z neobanderowskimi frakcyjkami. Wciąż nie ma zgody Kijowa dla polskich specjalistów na wznowienie poszukiwań i ekshumacji nawet polskich żołnierzy legionowych, a co dopiero Polaków pomordowanych przez nacjonalistów na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej. Niestety, Ukraińcy dialog traktują jak handel. Jakikolwiek gest dobrej woli odczytywany jest jako oznaka słabości, a tkwiący w naszych wschodnich sąsiadach homo sovieticus słabości się wstydzi. Stąd takie dążenie do równania i zasług, i win. Na to zgodzić się nie możemy, dlatego do tego porozumienia dochodzimy po takich wybojach.

Jeśli oni nie są na to jeszcze gotowi – trudno. My musimy mówić prawdę. To zadanie dla każdego Polaka.

Marcin Wikło

obrasa.pl b95f64bea9

NATO

Między młotem a kowadłem

Szczyt NATO w Brukseli okazał się szczytem paradoksów. Z jednej strony, w sferze wojskowej, zatwierdzone zostały na nim decyzje o dalszym wzmocnieniu wschodniej flanki, a w sferze politycznej członkowie Sojuszu, z USA na czele, wyrazili wsparcie dla ukraińskiej suwerenności oraz integralności terytorialnej, potępiając rosyjską nielegalną aneksję Krymu. Z drugiej strony prezydent Trump ostro atakował swoich zachodnich sojuszników, przede wszystkim Niemcy, za „ich zbyt mały finansowy wkład w kolektywną obronę Europy".

Podczas zamkniętych obrad w pierwszym dniu szczytu wezwał innych przywódców do podniesienia wydatków na obronność do 4 proc. PKB, choć obecny natowski cel (spełniany teraz przez USA, Wielką Brytanię, Estonię, Łotwę i Grecję) to 2 proc. PKB – do osiągnięcia najpóźniej w 2024 r. Następnie zmienił zdanie i mówił znów o 2 proc. PKB, ale do osiągnięcia przed 1 stycznia 2019 r. Inaczej „USA zrobią, co zechcą", co w przełożeniu oznacza, że zmniejszą swój finansowy wkład w sojusz. Jak zwykle Trump licytował wysoko, uznając swoje propozycje jako wstęp do negocjacji, ale zostało to odebrane przez zachodnioeuropejskich sojuszników USA jako kolejna próba szantażu.

Obawy, że gospodarz Białego Domu połączy kwestie bezpieczeństwa i handlu, jednak się nie spełniły. Wprawdzie przed szczytem prezydent na Twitterze zarzucił członkom sojuszu nieuczciwość, bo jego zdaniem „to USA płacą więcej za ich obronę, a Europejczycy stosują w zamian utrudnienia handlowe i okładają cłem amerykańskie towary". Ostatecznie skupił się jednak na kwestiach gazowych, zarzucając Niemcom (zresztą słusznie), że są „zakładnikami Rosji". „Pozbyli się elektrowni węglowych, elektrowni atomowych, biorą ogromne ilości ropy i gazu z Rosji. Są takie kraje jak Polska, które nie zaakceptowałyby tego gazu. My mamy chronić Niemcy, a one kupują energię od Rosji. Niemcy są całkowicie kontrolowane przez Rosję, bo biorą od niej 60–70 proc. energii przez nowy gazociąg" – powiedział do szefa NATO Jensa Stoltenberga podczas ich roboczego śniadania.

Eksperci widzą w tym próbę pogłębienia podziałów w Europie. Projekt drugiej nitki Gazociągu Północnego w przeciwieństwie do ceł (tu krajom UE udaje się na razie zachować względną jedność) od dawna mocno dzieli UE i można to wzmacniać.

Bezpieczeństwo Europy tymczasem, mimo górnolotnych deklaracji Trumpa, leży także w interesie USA i trudno sobie wyobrazić zmniejszenie zaangażowania Ameryki w NATO. Należy jednak podkreślić, że zgrzyty na linii USA–Europa (a co za tym idzie osłabienie więzi transatlantyckich) stawiają państwa wschodniej flanki NATO w trudnej sytuacji: pomiędzy USA, które są gwarantem ich bezpieczeństwa, a Unią, której są polityczną i gospodarczą częścią. Ten dylemat w najbliższym czasie jeszcze się pogłębi.

Aleksandra Rybińska

Rosja

Piekło w pokojach przesłuchań

Zostały mi tylko dwa zęby, wszystkie pozostałe wypadły" – tak opisuje skutki przesłuchań na policji 26-letni Dmitrij Pczelincew, instruktor strzelectwa z rosyjskiej Penzy. Pczelincew został aresztowany 27 października zeszłego roku pod zarzutem udziału w terrorystycznej organizacji pod kryptonimem „Sieć", która – według Federalnej Służby Bezpieczeństwa – miała planować zamachy bombowe podczas marcowych wyborów prezydenckich oraz zakończonego właśnie mundialu.

Pczelincew to zaledwie jeden z kilku uczestników domniemanego spisku terrorystycznego, których aresztowano i poddano brutalnym przesłuchaniom. Wedle relacji Pczelincewa bito go, wieszano głową w dół i torturowano prądem elektrycznym. „Z bólu tak zaciskałem zęby, że całe usta miałem we krwi" – opowiadał podczas widzenia z żoną. „Znalazłem się w piekle". Większość przyznała się do winy, wielu to przyznanie potem odwołało.

Niektórym internautom działania FSB skojarzyły się ze stalinowskimi represjami. Jest jednak – poza skalą, niewielką w sensie liczby ofiar – inna, znacząca różnica. Otóż torturowanych poddawano – w trakcie tortur – badaniom lekarskim, dopuszczono do nich również przedstawicieli oficjalnych organizacji monitorujących przestrzeganie praw aresztantów. A więc wszystko ma być zgodnie z prawem...

Dlaczego jednak zdecydowano się na tak brutalne metody? Pczelincew – podobnie jak reszta domniemanej „Sieci" – wywodzi się ze środowiska lewicowych anarchistów. Jak sami twierdzą, łączą ich wyłącznie wspólne poglądy, nic więcej. Część z nich wspierała Wiaczesława Malcewa, przebywającego na emigracji anarchizującego opozycjonistę, który nawołuje za pośrednictwem YouTube do rewolucji w Rosji i obalenia Putina. Choć popularność Malcewa jest niewielka (jego kanał został zresztą zablokowany w Rosji), ucieleśnia on największe fobie Kremla obawiającego się sterowanej z zewnątrz rewolucji. Zeszłoroczne wystąpienia młodzieży, które przetoczyły się przez całą Rosję, mogły więc sprowokować Kreml do ostrzejszych działań. W stylu charakterystycznym dla tej szerokości geograficznej.

Konrad Kołodziejski



eprasa.pl b95f64bea9

Ukraina

Parvus naszych czasów

Aleksandr Parvus był ciemną postacią z pogranicza świata biznesu, rozmaitych służb specjalnych i rewolucyjnego podziemia; w latach I wojny światowej przekonał niemiecki sztab do skrytego finansowania bolszewików, co odegrało decydującą rolę w ich dojściu do władzy. Był Żydem. Podobnie jak Borys German, ukraiński biznesmen, który – według tamtejszych władz – miał być najętym przez Kreml organizatorem niedoszłego zabójstwa żyjącego w Kijowie rosyjskiego opozycyjnego dziennikarza, Arkadija Babczenki, a także kilkudziesięciu innych, niewygodnych dla Moskwy osób.

Ów rzekomy spisek, rzekomo zdemaskowany przez ukraińskie specsłużby, był czymś z wielu względów tak niewiarygodnie dziwacznym, że jego realność wzbudza zrozumiałe wątpliwości w miarę trzeźwych obserwatorów. Między innymi ukraińskich dziennikarzy. Jeden z nich, nastawiony do oficjalnej wersji sceptycznie, rozmawiał o sprawie z głównym prokuratorem wojskowym Ukrainy Anatolijem Matiosem. A ten, odpowiadając na pytanie, dlaczego właściwie Rosjanie mieliby powierzyć rolę organizatora takiej masy zabójstw jednemu człowiekowi, odpowiedział: „Na każdej wojnie jest zawsze jakiś Parvus, który dostarczył Leninowi pieniądze na rewolucję, która zalała Słowian potokami krwi. On też był żydowskiego pochodzenia. Teraz z Ukrainą chcą znów zrobić to samo". Innymi słowy: istnieje demoniczny, żydowski, skierowany przeciw Słowianom spisek; Żydzi zawsze chcieli, i teraz chcą, Słowianom, w tym Ukraińcom, zaszkodzić. Najchętniej prowokując masowe zbrodnie.

Schemat znany od zawsze z majaczeń chorobliwych antysemitów. Tylko że mówi to nie jakiś ekstrawagancki aktywista, tylko generalny prokurator wojskowy. Centrum Wiesenthala i inne organizacje żydowskie protestują i pytają władze Ukrainy, czy z takim bagażem rzeczywiście mają nadzieję wstąpić do Unii. A Matios dalej sprawuje swe stanowisko. I nikt go nie dymisjonuje.

Ale to oczywiście Polska jest uznawana za kraj szalejącego antysemityzmu...

Piotr Skwieciński

Węgry

Ofensywa soft power

Każdy, kto uważnie obserwuje życie polityczne w Europie, musi przyznać, że Węgry odgrywają dziś większą rolę, niż wynikałoby to z ich wielkości i potencjału ekonomicznego. Decydują o tym kurs polityczny obrany przez Viktora Orbána i jego talenty dyplomatyczne. Urzędnicy w Brukseli w nieoficjalnych rozmowach przyznają, że Budapeszt pozwala sobie na więcej niż Warszawa, grając unijnym elitom na nosie, a jednak to rząd Polski, a nie Węgier, jest mocniej atakowany na forum europejskim. Fidesz potrafi zapewnić sobie lepszą osłonę dla swych reform za granicą. Wynika to nie tylko z jego przynależności do największej frakcji europarlamentu (EPL), której Orbán był nawet wiceszefem, lecz także z kreatywności w tworzeniu dyplomatycznych sojuszy.

Premierowi Węgier udała się naprawdę duża sztuka: podzielić Niemców. To on pierwszy wbił klin między bliźniacze partie chadeckie. Jadąc na decydujące spotkanie w sprawie polityki imigracyjnej z szefową CDU Angelą Merkel, zdobył po drodze poparcie bawarskiej CSU, a tym samym wytrącił wiele atutów z rąk kanclerz. Publicyści piszą, że stworzył ostatnio razem z Austriakami i Bawarczykami nowy alians w Europie Środkowej: oś Budapeszt–Wiedeń–Monachium.

Wiele mówi się o jego zaangażowaniu w przyjazne relacje z Moskwą, jednak stosunki z Rosją należy widzieć w szerszym kontekście budowania gospodarczych więzi z takimi państwami jak Chiny, Turcja czy Korea Południowa. To dziś kierunki bardzo aktywnej polityki ekonomicznej Węgier. Orbán uważa bowiem, że wiek XXI będzie należał do Azji i chce być silnie obecny na tamtejszych rynkach, nie oglądając się na resztę naszego kontynentu. Nie ma drugiego przywódcy europejskiego, który by tak często odwiedzał Seul jak właśnie on.

Terenem aktywności Węgier są także Bałkany. Budapeszt był adwokatem przyjęcia Chorwacji do UE. Dziś na głównego sojusznika Orbána w tym regionie wyrasta jednak po czerwcowych wyborach Słowenia. Nowy przywódca tego kraju Janez Janša podobnie diagnozuje kryzys europejski i podziela zdanie Fideszu w sprawie jego przezwyciężenia. To nie przypadek, że węgierscy biznesmeni wykupili większość udziałów w słoweńskich mediach: stacji NOVA24TV, konserwatywnym tygodniku „Demokracija" i tabloidzie „Škandal24". Przejęli też TV Alfa i siedem portali w Macedonii, gdzie sojusznikiem Orbána jest były premier Nikoła Gruewski.

Dzięki temu wizerunek Węgier w tych krajach nie jest dziś kształtowany jedynie przez środowiska lewicowo-liberalne. Węgrzy szybko się uczą, jak posługiwać się soft power.

Grzegorz Górny



Fot. Shutterstock x2

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Lato z żartem



Jan Pietrzak

Jest środek lata. Pozwólcie, Drodzy Czytelnicy, że pójdę na łatwiznę i zamiast opisywać upiorne wygłupy totalnej opozycji, podrzucę kilka tradycyjnych żartów, na długie letnie wieczory.

Wraca *rozchichotana żona do domu. Mąż pyta: – Gdzie byłaś? – W kinie, na wspaniałej komedii. Tak się uśmiałam, że jestem dosłownie półżywa. Mąż: – Idź jeszcze raz na ten film.*

Wraca *chłop z pola po pracy, patrzy na gromadkę dzieci umorusanych po całym dniu i pyta żonę: – To co, Marysia, myjemy te czy robimy nowe?*

W Bytomiu *matka woła do córki: – Zygfryda, co tam robisz we piwnica? – Puszczam się! – To dobrze, bo jużem myślała, że cigarety kurzysz.*

Pociąg *jadący przez Syberię zatrzymał się na małej stacji. Po paru godzinach konduktor wyjaśnia: – Wymienialiśmy parowóz. Ludzie pytają: – Czy to musi tak długo trwać? – Tak, bo wymienialiśmy na wódkę.*

Zza płotu *szpitala psychiatrycznego ktoś woła do człowieka pracującego na poletku z truskawkami: – Co pan tam robi? – Posypuję truskawki nawozem. – Ja posypuję truskawki cukrem, ale ja jestem wariat.*

Minister *zdrowia odwiedza szpital psychiatryczny. W rozmowie z pacjentem mówi: – Jestem ministrem. Pacjent na to: – Jak tu przyszedłem, byłem premierem, i patrz, co ze mnie zrobili.*

Zięć *z podziwem mówi do teścia: – Ale ci się wspaniale powiodło w interesach. Jak się zdobywa takie wielkie pieniądze? Teść na to: – Powiem ci prawdę, uczciwie to trwa najdłużej.*

Klient *banku, który zabrał ostatnie pieniądze z konta, klepie ochroniarza i mówi: – Jeżeli o mnie chodzi, może pan iść do domu.*

Polskę *odwiedził bogaty Rosjanin. Poszedł do dentysty. Ten zagląda mu w jamę ustną, a tam same złote zęby z diamentowymi koronkami. Pyta: – Co ja mam tu zrobić? – Alarm!*

Sędzia *pyta oskarżonego: – Czy wszystko odbyło się tak, jak przedstawił prokurator? – Nie, ale jego plan też jest dobry.*

Rzecz *o dyrektorze biura badania opinii publicznej. Biedak skarży się lekarzowi, że w ogóle nie może w nocy zasnąć. – Niech pan liczy barany. – Barany liczę przez cały dzień.*

Polski top w Gdyni

Z Piotrem Metzem, dziennikarzem muzycznym, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Lato z Radiem w Trójce?

Piotr Metz: Raczej zupełnie nowe wydarzenie, czyli Lato z Radiem Festiwal 2018. Będzie dopełnieniem kultowej audycji, ale wydarzy się przy współdziałaniu wszystkich anten Polskiego Radia.

Skąd pomysł?

Do tej pory to nas zapraszano na festiwale. W tym roku postanowiliśmy zorganizować własną imprezę. Odzew ze strony artystów był zacny, jeśli mogę użyć tego określenia.

Kogo możemy się w tym zacnym gronie spodziewać?

Na scenie „Polski Top" wystąpią: Brodka, Coma, Fisz Emade, Kortez, Ørganek, Smolik [który stworzył nową wersję polki „Dziadek" – przyp. red.]/ Kev Fox i Krzysztof Zalewski. Scena „Idzie nowe" to: Król, MaJLo, Oxford Drama, Rebeka, Tulia, Barbara Wrońska, xxanaxx i Daria Zawiałow.



Fot. Kamil Piklikiewicz/DDTVN/East News

Wiemy kto. A kiedy i gdzie?

26 sierpnia, na Skwerze Kościuszki w Gdyni. Impreza jest w zasadzie całodniowa, ale koncerty rozpoczną się o godz. 13.00 i będą trwały, z minimalnymi przerwami, do północy. W jakiej kolejności – odsyłamy na strony internetowe.

Podkreślacie, że Lato z Radiem Festiwal 2018 jest inny niż wszystkie.

Tak. Z kilku powodów. To największa, na dodatek otwarta impreza muzyczna tego lata. Artyści zgodzili się, co jest absolutnym ewenementem, losować kolejność występów. Po to, by uniknąć problemu: kto przed kim lub po kim. Prowadzenie koncertów, sposób animacji nie będzie tylko zapowiedzią artysty. Nie chcę do końca wszystkiego zdradzać, ale spodziewać się można rzeczy, które nie zdarzą się na żadnej innej imprezie.

BRONISŁAW WILDSTEIN

Braterstwo, czyli samobójstwo

Francja ma powód do ulgi, ale i dumy. Francuski Trybunał Konstytucyjny uznał, że Cedric Herrou nie będzie odpowiadał karnie za pomoc nielegalnym imigrantom, którzy przedostają się do kraju. Ten – według opiniotwórczych środowisk we Francji – bohater narodowy, rolnik, którego farma znajduje się przy granicy włoskiej, przetransportował stamtąd ponad 200 nielegalnych imigrantów z Afryki i pomógł im w osiedleniu się w kraju. Skazany zaskarżył do Trybunału Konstytucyjnego artykuły Kodeksu karnego penalizujące wspieranie nielegalnego pobytu. Sędziowie przyznali mu rację. Od teraz w imię „braterstwa", które wraz z „wolnością" i „równością" figuruje jako dewiza republiki w konstytucji, obywatel Francji będzie miał prawo pomagać przybyszom, nie troszcząc się o ich prawny status. Władze mają obowiązek zmienić ustawę, penalizującą „bezpośrednią lub pośrednią pomoc dla obcokrajowca, który przybywa, przemieszcza się lub pozostaje nielegalnie we Francji".

Tamtejsze lewicowe, dominujące środowiska są w ekstazie. Oto fragment jednego z komentarzy oddających ten nastrój:

„[Decyzja Trybunału] stanowi wyzwanie dla całej Europy, szczególnie dla krajów ogarniętych gorączką populizmu [...], da do myślenia Angeli Merkel, jej ministrowi spraw wewnętrznych, premierom Węgier i Austrii i oczywiście Matteo Salviniemu, skrajnie prawicowemu ministrowi spraw wewnętrznych Włoch. Może mieć wpływ na decyzje innych Trybunałów Konstytucyjnych, zwłaszcza niemieckiego i włoskiego – sędziowie tych najwyższych gremiów nieustannie utrzymują przecież z sobą dialog. Prawdopodobnie zainspiruje Europejski Trybunał Praw Człowieka w Strasburgu".

Komentarz znanego francuskiego prawnika i publicysty, którego niewielkie fragmenty zacytowałem, demonstruje stan ducha elit tego kraju. Wydaje się, że dla autora najważniejsze jest dołożenie znienawidzonym „prawicowym populistom". Równocześnie odsłania mechanizmy kreowania opinii w europejskim establishmencie prawniczym i jest faktycznie wezwaniem do zablokowania w kwestii imigracji działania demokratycznie wybranych władz. Mogą uzyskiwać one poparcie obywateli, ale ideologicznie nastawione sądy będą w stanie zastopować każdą ich decyzję. Bo czy można wyobrazić sobie coś bardziej arbitralnego niż odwołanie do dewizy „wolność, równość i braterstwo"? To pod jej hasłem jakobini rozpętali rewolucyjny terror. Czy w imię równości przestanie być penalizowane okradanie bogatszych? Można je zinterpretować jako redystrybucję dóbr w imię „równości". Literalnie traktowana zasada ta może unieważnić naszą cywilizację. A wolność? Przywykliśmy, że w jej imię jest ona coraz bardziej krępowana. Zasadą braterstwa jesteśmy w stanie uzasadnić co najmniej tyle samo.

Można zarzucić mi przesadę. Przecież francuski TK pieczołowicie analizował zaskarżoną ustawę, aby dojść do wniosku, że „nie wyważyła ona należycie zasad braterstwa i ochrony porządku publicznego". I właśnie to podejście budzić powinno elementarny niepokój. Jeśli to TK wyważać ma rozmaite zasady funkcjonujące w życiu społecznym w oparciu o proste hasła, oznacza to, że uzyskuje pełnię władzy w państwie, a z demokracją możemy się pożegnać. To najlepszy dowód, że powołane w celu nadzoru nad elementarnymi zasadami konstytucji ciała te roszczą sobie dziś uprawnienia do jej najdalej idącej interpretacji, a więc arbitralnego decydowania o wszystkich kwestiach życia społecznego.

Decyzję francuskiego TK uznać można za wcielenie dychotomii wykreowanej przez Maksa Webera, który etykę przekonań przeciwstawił etyce konsekwencji. Modelowi temu wiele można zarzucić, ale decyzja francuskich sędziów dowodzi, że doskonale pasuje ona do niektórych postaw. Weber samobójczą etykę przekonań ilustrował pacyfizmem. Dziś można opisać ją przez stosunek establishmentu europejskiego do muzułmańskiej imigracji. Europa jest ciągle bogatym i bezpiecznym regionem. Jeśli otworzymy go dla wszystkich chętnych, przestanie nim być. Ta dość elementarna konstatacja nie trafia do elit europejskich, ale śmiem wątpić, że ze względu na ich wysoce moralne nastawienie.

A decyzja francuskiego TK podjęta została w trakcie wielodniowych walk ulicznych w Nantes, gdzie „młodzi" – jak umownie określa się mieszkańców muzułmańskich przedmieść – podpalali domy i samochody oraz atakowali policję w odwecie za zabicie w trakcie pościgu poszukiwanego przestępcy ze swojego grona.



Fot. Andrzej Wiktor

OGNIEM NA WPROST

Ku chwale kawalerii



Miejsce wiecznego spoczynku jednego z 12 apostołów św. Jakuba Większego – katedra w Santiago de Compostela w Hiszpanii – osiągnęło historyczny wynik. W ciągu ostatniego pół roku dotarło tam 120 tys. pielgrzymów, czyli nastąpił wzrost o 10 proc. w porównaniu z tym samym okresem 2017 r. Według władz kościelnych archidiecezji obecny rok będzie rekordowy i liczba pątników przekroczy 300 tys. Co ciekawe, wśród 64 proc. wszystkich zagranicznych pielgrzymów prymat wiodą Włosi, Niemcy, Francuzi oraz Portugalczycy. W czasach średniowiecza Santiago de Compostela obok Ziemi Świętej i Rzymu było jednym z trzech głównych celów pątnictwa. Z tamtych czasów pozostała jako symbol – znak ukończonej wędrówki – muszla przegrzebka, zwana również muszlą św. Jakuba. Pielgrzymki nie zawsze odbywały się z woli odwiedzających. Niegdyś nakazywały je również wyroki sądowe. Może należałoby wrócić do tamtej tradycji prawnej i skierować mocą orzeczeń wymiaru sprawiedliwości część przywódców „totalnej targowicy" pieszo do hiszpańskiej katedry. Może stanie się cud ich oprzytomnienia.

Nie od dziś lewactwo dłubie przy mundialu. Nawiedzeni aktywiści, wbrew swoim przypuszczeniom, „niestety" nie odnotowali na rosyjskich stadionach przypadków rasizmu i homofobii. No, ale jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma. Z zaciekłością godną lepszej sprawy zaczęli więc tropić seksizm. Skrajnie lewicowa grupa Fare dopatrzyła się aż 30 przypadków rzekomej „wiary w wyższość mężczyzn i wynikających z niej dyskryminujących zachowań wobec kobiet". Chodzi o pokazywanie w telewizyjnych relacjach z piłkarskich spotkań atrakcyjnych fanek. Koleś o imieniu Federico Addiechi, działacz piłkarskiej centrali zajmującej się równouprawnieniem (do czego już doszło!), powiedział, że jest zakaz dla nadawców telewizyjnych „chętnie skupiających się na urodziwych paniach". FIFA – której działacze bez oporów przyjmują grube pieniądze do ciepłych rączek – natychmiast weszła w lewacką narrację i uznała, że „takie praktyki to seksizm, a nagrywanie odbywa się bez zgody samych zainteresowanych, które mogą być nieletnie". Jak tak dalej pójdzie, widzom pozostanie podziwianie znanych z urody działaczek feministycznych (jak te na X Jubileuszowym Kongresie Kobiet w Łodzi), które przypadkiem znajdą się na trybunach. Zapewne w celu monitorowania „nagannych" zachowań rasistowskich, ksenofobicznych i homofobicznych oraz przede wszystkim wspomnianych seksistowskich.

Jak powszechnie wiadomo, przedstawiciele wszelkiej maści środowisk liberalno-lewicowych wszystko robią w imię wolności i demokracji, z naciskiem na wolność słowa. Ostatnio pod wpływem ich nagonki wyrzucono z pracy zasłużonego lekarza, ojca czwórki dzieci, który przez 26 lat pracował w brytyjskiej Narodowej Służbie Zdrowia (NHS). Powód: odmowa używania poprawnościowego języka wobec osób transpłciowych. Dr David Mackereth, bo tak się ów człowiek nazywa, odważył się stwierdzić, że „płeć jest determinowana przez biologię, a nie przez dowolne przekonania człowieka". Urzędasy z tamtejszego NFZ stwierdzili, że odmowa nazywania kobiety mężczyzną lub mężczyzny kobietą może być uznana za „nękanie" w świetle Aktu Równościowego przyjętego przez brytyjski rząd w 2010 r. Powyższy akt w zasadzie swojego działania jako żywo przypomina niesławne ustawy norymberskie z 1935 r., tylko à rebours .Tamte z pominięciem wolnościowych reguł traktowały „o obywatelstwie Rzeszy i ochronie niemieckiej krwi oraz honoru", te natomiast stosują sankcje, by osłaniać seksualnych dewiantów.

Na koniec coś zdrowszego. W ostatni weekend z inicjatywy Szwadronu Ziemi Hrubieszowskiej im. 2. Pułku Strzelców Konnych oraz Fundacji Niepodległości obchodzono IV Święto Strzelca Konnego. Zawody w Hrubieszowie rozegrano w tym samym miejscu, w którym w 1934 r. przeprowadzono słynne Militari – Mistrzostwa Konne Wojska Polskiego. Nie tylko duch miejsca mobilizował zawodników – również regulamin zawodów oparto na przepisach, według których w zawodach Militari rywalizowali kawalerzyści II Rzeczypospolitej. Punktowano przegląd mundurowy, konkurencje hippiczne (ujeżdżenie, jazdę terenową – cross, skoki przez przeszkody) oraz kawaleryjskie (strzelanie z karabinka, władanie lancą oraz szablą). Patronatu medialnego udzieliły: Grupa Fratria (tygodnik „Sieci", magazyn „wSieci Historii", portal wPolityce.pl, telewizja internetowa wPolsce.pl), portal Polska Zbrojna i magazyn „Polska Zbrojna Historia", Radio Lublin, TVP Historia i TVP Lublin. Natomiast patronat naczelny, nazwany „narodowym", sprawował prezydent RP Andrzej Duda w 100-lecie odzyskania niepodległości. A więc: ku chwale kawalerii!

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl b95f64bea9

Design a współczesność



Marta Kaczyńska

Przełom czerwca i lipca to tradycyjnie już w Gdyni czas spotkań i dyskusji nad szeroko pojętym designem w ramach organizowanych przez miasto cykli wystaw i paneli zatytułowanych „Gdynia Design Days". Tegoroczne dni upłynęły pod hasłem „Error", a twórcy ekspozycji mieli za zadanie przeanalizowanie błędu jako pretekstu do kreacji. Przy okazji dyskusji na temat wzornictwa zostały podniesione problemy wyzwań, przed którymi stawia nas współczesny postęp technologiczny.

Ciekawym spostrzeżeniem podniesionym w opisie wystawy Izabeli Bołoz jest przytoczenie krytycznego poglądu Sokratesa, który obawiał się, że wynalezienie pisma jako sprzecznego z ludzką naturą będzie skutkowało pogorszeniem zdolności ludzi do zapamiętywania i myślenia, a także, że zaprowadzi ludzkość do błędnych interpretacji komunikatów formułowanych za jego pośrednictwem. Wraz z wydaniem pierwszych numerów gazet pojawiły się podobno wątpliwości, czy ich czytanie nie spowoduje, że bardziej zamkniemy się w sobie i zaczniemy z sobą mniej rozmawiać. Izabela Bołoz, za pośrednictwem wybranych przez siebie eksponatów, stawia pytania o konsekwencje wszechobecnych w naszym życiu urządzeń. Według twórczyni wystawy telefon i komputer wtopiły się w nas, zmieniając nasze tempo życia, sposób komunikowania się, tryb naszej pracy i ulubione przez nas formy wypełniania sobie wolnego czasu. Powinniśmy się zatem zastanowić, czy poddawanie się nowym technologiom jest właściwą drogą.

Dorota Stępniak ekspozycją „Overload/Przeciążenie" stara się uzmysłowić publiczności, że przestaliśmy umieć z sobą rozmawiać, kuleją nasze zdolności do nauki oraz umiejętność życia w grupie. Nie weryfikujemy prawdziwości docierających do nas informacji, a nasza pamięć i układ nerwowy nie są przystosowane do ciągłych zmian. Osłabia to naszą zdolność przewidywania przyszłości, poprzestając na egzystencji ograniczonej do teraźniejszości. Prawdziwie relacje międzyludzkie zanikają, ustępując miejsca bardziej i mniej adekwatnym do sytuacji powierzchownym „polubieniom". Docierające do nas w nadmiarze bodźce doprowadzają nas do przemęczenia i rozdrażnienia, znieczulając naszą naturalną zdolność percepcji realnej, a nie wirtualnej rzeczywistości. W nauce została już nawet wyodrębniona jednostka chorobowa o skrócie FOMO (fear of missing out) polegająca na odczuwaniu przymusu ciągłego sprawdzania informacji i powiadomień z obawy przed przegapieniem czegoś wyjątkowego, a wielu ludzi nie zdaje sobie sprawy z tego, jak bardzo oddalają się od tego, co ważne, oddając się scrollowaniu stale zmieniających się obrazów, których liczba wydaje się nieskończona.

W kontraście do ekspozycji poświęconych procesowi wirtualizacji współczesnego człowieka pozycjonuje się wystawa „Empatia, teraz!" o empatycznym designie, do którego tworzenia winny nas skłaniać takie błędy jak wojna czy kataklizmy naturalne. Z doświadczenia wynika, że właśnie zdarzenia o negatywnym charakterze są nas w stanie mobilizować najskuteczniej. Nieszczęście, które dotyka ludzi lub zwierzęta, w błyskawicznym tempie spotyka się z odpowiedzią w postaci inicjatyw wsparcia, które dzięki internetowi w mgnieniu oka zyskują popularność i łącząc z sobą często ogromne liczby nieznających się nawzajem ludzi są w stanie doprowadzić do szybkiego udzielenia pomocy potrzebującym. W życiu codziennym technologia ułatwia nam funkcjonowanie, ale także mocno nas od siebie izoluje. Pochłania zwłaszcza najmłodsze pokolenie, przyklejone do ekranów smartfonów i komputerów, które zastępują spotkania twarzą w twarz wirtualnymi wędrówkami. Gdyński festiwal designu skłania nas do refleksji nad tym, jak pożytecznie wykorzystać współczesne udogodnienia, i zachęca do refleksji nad skutkami bezwiednego poddawania się dominacji technologii i jej nagłego zniknięcia, np. gdy na dłuższy czas zabraknie prądu i stracimy dostęp do internetu.

REKLAMA





43/0618/F

eprasa.pl b95f64bea9

Zebrała ***Dorota Łosiewicz***

Sprawiedliwość według AI

Podczas ostatniego Zgromadzenia Globalnego Amnesty International, które odbyło się w Warszawie, przyjęto nowe wytyczne mające na celu promowanie nieograniczonego dostępu do aborcji. O ile zapisy sprzed 11 lat mówiły o konieczności dostępu do aborcji w pewnych przypadkach oraz przeciwdziałaniu całkowitemu zakazowi, o tyle w najnowszej wersji postulowany jest nieograniczony dostęp do aborcji jedynie na podstawie decyzji i woli matki. O sprawie informował m.in. portal pch24.pl. „Amnesty International jest globalnym ruchem ponad 7 mln ludzi, którzy niesprawiedliwość na świecie traktują osobiście. Razem zmieniamy świat, by każdy mógł korzystać ze swoich praw" – czytamy na stronie AI. „Każdy, pod warunkiem że się urodził" – należałoby dodać.

I jak połączyć wyrok śmierci na dziecko ze sprawiedliwością? To już chyba wiedzą tylko tęgie głowy z AI.



571 tys. dol.

za tyle sprzedano na aukcji w londyńskim domu Sotheby's oryginał mapy Stumilowego Lasu, miejsca, gdzie mieszka Kubuś Puchatek z przyjaciółmi.

33 proc.

o tyle, według Głównego Urzędu Statystycznego, spadły ceny cukru rok do roku.

500 tys. zł

po wpłaceniu kaucji w tej wysokości Stanisław Gawłowski, były sekretarz generalny Platformy Obywatelskiej, opuści areszt.

Na ratunek

Grupa członków Obozu Narodowo-Radykalnego wybrała się do Rimini we Włoszech, gdzie rok temu doszło do napadu na polską parę. Narodowcy patrolują podobno włoskie plaże, by zapewnić bezpieczeństwo turystom. O sprawie informował portal rp.pl. Akcja nie spodobała się jednak feministkom. Panie z Non Una Di Meno podobno nie chcą być chronione przez nacjonalistów. Pod hotelem, w którym mieszkają Polacy, odbył się protest organizacji broniącej praw kobiet. Zupełnie się w tym gubię. Do czego, według nowoczesnych feministek, mają prawo kobiety, jeśli nie do obrony przed gwałtem? Do tego drugiego?



Reklama dźwignią handlu

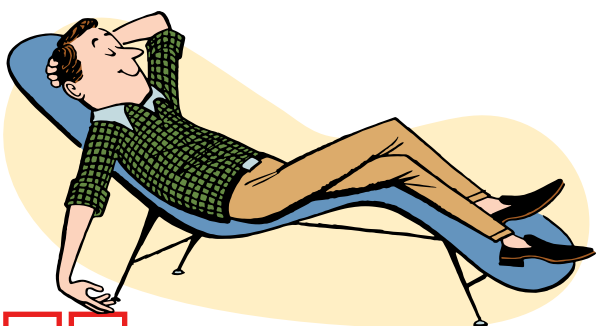


Nowiczok nie daje o sobie zapomnieć. Po próbie otrucia Siergieja Skripala i jego córki w Wielkiej Brytanii zmarła kobieta, która miała kontakt z tą substancją. Tymczasem Rosjanie na nowiczoku postanowili zarobić. I tak do sprzedaży trafiły koszulki, kawa oraz alkohole nawiązujące nazwą do nazwy trującego gazu. „Browar Alaska oferuje piwo Nowiczok, o »bardzo łagodnym, miodowym smaku melona, przechodzącym w pikantność goryczki chmielowej«. Osobom pijącym taki trunek oferuje się »nirwanę paraliżującą nerwy«, co jest jawnym nawiązaniem do działania nowiczoku" – czytamy na Wprost.pl. Żeby było bardziej dramatycznie, a może chwytliwie, na etykiecie piwa Nowiczok umieszczono reprodukcję obrazu Zdzisława Beksińskiego, przedstawiającego jedną z najbardziej przerażających wizji artysty. Chyba wariat to wymyślił i tylko wariat to kupi.

eprasa.pl b95f64bea9

Do roboty!

Sąd w Walencji orzekł dziewięcioletni zakaz pełnienia funkcji w administracji publicznej wobec urzędnika, który ponad dekadę nie pracował, ale pobierał wynagrodzenie" – informuje pb.pl. Niejaki Carles Recio pracował teoretycznie w ratuszu w Walencji. Praktycznie jednak urzędnik pojawiał się w pracy jedynie nad ranem i po południu, aby odbić kartę pracowniczą. I tak przez 10 lat. Za swoje nicnierobienie Recio pobierał pensję w wysokości 50 tys. euro rocznie. Ale, żeby przez 10 lat nie zauważyć, że ktoś nie pracuje? Takie rzeczy tylko w Hiszpanii.



Rozmiar afery reprywatyzacyjnej był szokiem dla wszystkich radnych – powiedziała Jolanta Kasztelan, tłumacząc powody odejścia z PO i przejścia do PiS. Czyli już tam wiedzą, że Patryk Jaki wygra.

Konik nie na biegunach



Minikoń, który zaginął podczas ostatniej powodzi w Japonii, odnalazł się żywy. Dziewięcioletnia klacz o imieniu Leaf, która była używana do hipoterapii w zakładzie opieki dla osób starszych w mieście Mabi w dystrykcie Mabicho w Kakehashi, znalazła się na dachu jednego z japońskich mieszkań. Niby koń jaki jest, każdy widzi, ale żeby umiał łazić po dachach? Sprytna sztuka.

Fot. Andrzej Wiktor, Shutterstock (x4), Twitter.com

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Pyton a sprawa polska



Dominik Zdort

Dziennikarz jednego z programów informacyjnych z trudem powstrzymywał się od śmiechu, gdy przekonywał widzów, że grasujący nad Wisłą pyton tygrysi to poważny temat, a nie typowy motyw sezonu ogórkowego. W materiale filmowym występowali poszukiwacze węża oraz eksperci, m.in. pan, wokół którego szyi okręcała się pytonica Kasia. Pan opowiadał, że wprawdzie Kasia kiedyś go ugryzła, ale – po pierwsze – stało się to z jego winy, a po drugie – potem było jej głupio z powodu krzywdy, jaką zrobiła swojemu panu. A reporterzy ostrzegali, żeby nie spacerować w okolicach, gdzie może się ukrywać pyton uciekinier, a także, aby trzymać psy na smyczy.

Zapytałem redakcyjne koleżanki, co sądzą o pytonie, czy uważają, że to poważne zagrożenie. – Jakbym go zobaczyła, to chybabym dostała zawału. A przecież może zjeść mojego kota... – odpowiedziała jedna z niepokojem. Druga lekceważąco stwierdziła, że do zabicia kota nie potrzeba egzotycznego węża. – Może go przecież zagryźć pies albo przejechać samochód – rzuciła. Sprawa pytonowego zagrożenia pozostała więc nierozstrzygnięta.

Jednak miejsce, jakie zajmuje pyton w najważniejszych programach informacyjnych, to sygnał, że dla dziennikarzy i widzów grasujący na wolności 50-kilogramowy wąż jest zagrożeniem bardziej realnym niż zmiany w sądownictwie. Życiową tragedię pani prezes Małgorzaty Gersdorf nawet Mick Jagger skwitował tylko niejasnym dowcipem na temat swojego wieku – niestety nie poinformowano go, że jest za stary na to, aby być sędzią zarówno w świetle nowych, jak i starych przepisów.

To, że akcja ratownicza w Tajlandii i poszukiwanie nowej nadwiślańskiej Paskudy okazały się dla mediów tematami atrakcyjniejszymi niż kondycja polskiego wymiaru sprawiedliwości, nie może dziwić. Frekwencja na wiecach „obrońców demokracji" jest bardziej niż skromna – tłumów nie przyciągają już nawet tacy „idole" jak Lech Wałęsa. Być może to z powodu wakacji, najwyraźniej dla wielu przeciwników obecnego rządu są sprawy ważne i ważniejsze. Normalni ludzie nie widzą powodu, żeby rezygnować z wylegiwania się na plaży w Dębkach czy na Riwierze Tureckiej.

A poza tym ciągłe pohukiwanie i pokrzykiwanie, że polska demokracja upada, sądy tracą niezależność, a wolność obywateli jest ograniczana, przestaje skutkować, bo obywatele głupi nie są i widzą, jaki jest koń. A jest taki jak zawsze.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl b95f64bea9

RZECZY POSPOLITE

Gradobicie



Tomasz Łysiak

Pamiętam, jak w latach 90. XX w. mój Ojciec informował o tym, że na Zachodzie istnieje niebezpieczne zjawisko pisania o „polskich obozach zagłady" i robienia z nas „antysemitów". Wtedy był atakowany za to, że wymyśla nieistniejące problemy, że pisze o fikcji. Tymczasem już wówczas zaczął się tlić się ogień, który lekceważony długie lata wybuchł teraz z taką siłą, że aż gasić trudno – chociaż zewsząd biegną zawodowi „strażacy wizerunkowi", a wraz z nimi i „ochotnicza straż pożarna". Tyle że co chlusną w płomienie, to te mocniej buchają.

Dziwne jest więc, iż w sytuacji gdy wiadomo było, że wszystko, co związane z Zagładą, jest tematem hiperwrażliwym, nie dokonano hiperuważnej analizy tego, jakie skutki wywoła nowelizacja ustawy o IPN. Dobrze, że rząd Morawieckiego wyszedł z hipertrudnej sytuacji – wspólne oświadczenie z Netanjahu było doskonałym zabiegiem z dyplomatycznego punktu widzenia i tego, jak jesteśmy postrzegani w świecie. Najlepszym dowodem jest wściekła reakcja izraelskich mediów, które oskarżyły swojego premiera nieledwie o „zdradę" interesów izraelskich. Najbardziej jednak boli w tym wszystkim postawa naszej „bundesopozycji" – ta bowiem zamiast odłożyć na bok wszystkie złości i żale wewnątrzpolskich potyczek, także tę sprawę wykorzystuje do ataku na PiS. I oczywiście jednocześnie do ataku na własny kraj. Gdzie jest tego granica, zastanawiam się czasem. Czy w ogóle istnieje? Wydaje się, że gdyby można było ściągnąć na Polskę wszystkie plagi egipskie plus powodzie, huragany, stonkę, morowe powietrze i miliony much tse-tse, to nie zawahano by się i przed tym. Byle tylko przegnać PiS i wrócić do władzy. Ta nonsensowna agresja wynika prawdopodobnie z poczucia słabości – z tego, że ta niemająca pomysłu na siebie „bundesopozycja" w normalnych warunkach po prostu przegrałaby z kretesem. Sondażowo okazuje się, że na szczęście, walenie we własny kraj nie przynosi efektów. Może w końcu to ich ostudzi? Niestety raczej tak nie będzie. Zaraz po błaganiu bogów o trąbę powietrzną zaczną upraszać niebiosa o gradobicie.

Chcą stracić nielicznych orędowników



Piotr Cywiński

Ktoś potrafi wytyczyć dziś wschodnią granicę Ukrainy? Czy Krym można jeszcze uznawać za część jej terytorium? Na mapach drukowanych w zachodniej Europie ten zajęty przez Rosję obszar już zaznaczany jest paskami lub w ogóle odrębnym kolorem. A co z obwodami ługańskim i donieckim, samozwańczymi republikami utworzonymi przez prorosyjskich separatystów? Ba, czy cała tzw. Noworosja to wciąż Ukraina, czy już nie...? I ten obszar został niedawno wyodrębniony na internetowej stronie amerykańskiego magazynu „National Geographic". Więc jak jest?

Konia z rzędem temu, kto na to pytanie precyzyjnie odpowie. Kijów walczy o utrzymanie integralności terytorialnej, którą de facto już stracił. Poza wojną z Rosją Ukraina ma jeszcze jeden, jakkolwiek to zabrzmi, poważniejszy problem: kwestię przynależności do Europy. A w tym cały jest ambaras, żeby dwoje chciało naraz. Unia Europejska nie ma najmniejszej ochoty roztaczać przed Ukrainą wizji pełnoprawnego członkostwa i proponuje różnorakie zamienniki. W rachunku winien–ma ważniejsza jest Rosja. Najbardziej wpływowi w UE Niemcy i Francuzi, mając na uwadze rosyjskie interesy, o perspektywie członkostwa Ukrainy mówią półgębkiem, używając eufemizmów w rodzaju po części realizowanego „uprzywilejowanego partnerstwa". Na skutek sprzeciwu Berlina i Paryża legły też w gruzach ukraińskie plany członkostwa w NATO. Dodatkowo istnieją dwie istotne przeszkody na wyboistej drodze Ukraińców na Zachód: nie jest to społeczeństwo homogeniczne, Ukraińcy dopiero szukają swej tożsamości. Po drugie, na skutek zmęczenia różnymi nieuniknionymi uciążliwościami w okresie przemian ci, którzy w wyborach zepchnięci zostali do kąta opozycji, jutro mogą fetować zwycięstwo – jak na początku transformacji w naszym kraju, gdy po kilku latach od upadku komunizmu do władzy powrócili postkomuniści, z premierem Józefem Oleksym i prezydentem Aleksandrem Kwaśniewskim.

Sytuacja Ukrainy jest jeszcze bardziej skomplikowana: ten – jak mawia Władimir Putin – „sztuczny twór" powstał po rozpadzie ZSRS, co prezydent Rosji uznaje za „największy dramat w jej dziejach". W tym kontekście wszelkie porównania Ukrainy z Polską z okresu, gdy aspirowaliśmy do UE i NATO, są niedorzeczne. Niewielu Ukraina ma orędowników, a jej władze zdają się robić wszystko, by i tych nielicznych, w tym przede wszystkim poparcie Warszawy, stracić. I to jest jedyny efekt bezczelnie prowokatorskiego wypadu Petra Poroszenki w 75. rocznicę rzezi na Wołyniu z bukietem do... naszego kraju, na groby swych rodaków.

eprasa.pl b95f64bea9

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE



SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:
PIOTR SKWIECIŃSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY:
ŁUKASZ ADAMSKI, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI (BERLIN), LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, GRZEGORZ KOSTRZEWA-ZORBAS, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, PIOTR SKWIECIŃSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, EWA WESOŁOWSKA, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE:
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI – KIEROWNIK
ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL,
MACIEJ MAJTCZAK, LIDIA SŁOWIKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA:
EWA FALKIEWICZ, EWA.FALKIEWICZ@FRATRIA.PL,
ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

FRATRIA grupa medialna

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY
PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.
EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
NAKŁAD: 103 310 EGZ.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 616 36 00
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
WOJCIECH KOPACZ – WOJCIECH.KOPACZ@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: PAP/LESZEK SZYMAŃSKI, ANDRZEJ WIKTOR (X3), JAN GRACZYŃSKI/EAST NEWS

eprasa.pl b95f64bea9

Tak knuł Łączewski

Chciał obalać rząd PiS z Tomaszem Lisem, kłamał w zeznaniach przed prokuratorem. To nie koniec. Okazuje się, że sędzia, który skazał na więzienie byłych szefów CBA, przed wydaniem wyroku konsultował się z ekspertem Platformy Obywatelskiej ds. służb specjalnych. Poza jakąkolwiek procedurą, wbrew wszelkim zasadom. Ujawniamy kolejne fakty kompromitujące Wojciecha Łączewskiego jako przedstawiciela wymiaru sprawiedliwości



Fot. Jakub Wosik/REPORTER

epiasa.pl b95f64bea8



MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

Jest jednym z symboli walki o zachowanie dotychczasowego układu w sądownictwie. Ulubieniec „Gazety Wyborczej" i innych mediów KOD-owskich. Jednocześnie to jeden z najbardziej zasłużonych bojowników frontu obrony III RP. Wszak to on w marcu 2015 r. skazał Mariusza Kamińskiego, Macieja Wąsika i ich najbliższych współpracowników na kary bezwzględnego więzienia za rzekome przekroczenie uprawnień w związku z „aferą gruntową" z 2007 r.

Dla zwalczających Prawo i Sprawiedliwość stał się bohaterem. Uosobieniem sędziowskiej odwagi i niezależności. W licznych publikacjach dowiedliśmy, że powinien się pożegnać z togą. Teraz dowiadujemy się, jak przygotowywał wydanie skandalicznego wyroku na szefostwo Centralnego Biura Antykorupcyjnego.

EKSPERT PLATFORMY

W Prokuraturze Rejonowej w Opolu toczy się postępowanie po zawiadomieniu złożonym przez obecnego szefa CBA w sprawie, którą ujawniliśmy w tygodniku w grudniu 2015 r. Chodzi o podanie przez sędziego Łączewskiego w jawnej części uzasadnienia wyroku danych osobowych funkcjonariuszy Biura działających pod przykryciem. To informacje ściśle tajne, sędzia najprawdopodobniej złamał więc prawo. Dotarliśmy do treści zeznań złożonych w toku tego postępowania. Rzucają one nowe światło na okoliczności wydania wyroku na szefów CBA. Okazuje się, że Wojciech Łączewski przed wydaniem orzeczenia szukał porady u Piotra Niemczyka, który w poprzedniej kadencji był ekspertem sejmowej speckomisji z rekomendacji Platformy Obywatelskiej.

Sprawę kontaktów Łączewskiego i Niemczyka poznajemy najpierw z zeznań M., człowieka, który wówczas (w latach 2014–2015) współpracował z Niemczykiem. M. miał na jego polecenie skontaktować się z autorem maila, który przyszedł na firmową skrzynkę. Okazało się, że jest nim sędzia Wojciech Łączewski, co bardzo zdziwiło M., bo prośba mailowa podpisana była innym imieniem i nazwiskiem. Widocznie posługiwanie się różnymi tożsamościami to stała praktyka naszego bohatera.

Łączewski podczas spotkania osobistego przyznał, że jest sędzią, prowadzi sprawę dotyczącą przekroczenia uprawnień przez funkcjonariuszy CBA i potrzebuje od Niemczyka opinii w tej sprawie. Miał dodać, że ma już wyrobione zdanie, ale dodatkowe sugestie bardzo mu się przydadzą. Przekazał też inny numer telefonu (używanie różnych numerów i komunikatorów to także stała praktyka sędziego, o czym pisaliśmy już w „Sieci") zamiast pierwotnie podanego pre-paida. M. przekazał prośbę Niemczykowi. Po pewnym czasie usłyszał od Niemczyka, że ten spotkał się z Łączewskim i sprawa opinii jest już załatwiona.

Łączewski podczas spotkania przyznał, że jest sędzią, prowadzi sprawę dotyczącą przekroczenia uprawnień przez funkcjonariuszy CBA i potrzebuje od Niemczyka opinii w tej sprawie

SPRZECZNE WERSJE

Z zeznań Niemczyka dowiadujemy się, że poprosił współpracownika o wybadanie, kim jest autor tajemniczego maila. M. miał się spotkać z Łączewskim w centrum handlowym, skąd przyniósł szczegóły prośby. Niemczyk przyznaje, że po wykonaniu tej procedury spotkał się w swoim biurze z sędzią, który miał go komplementować jako eksperta i nawiązywać do jego pracy w speckomisji na zlecenie PO. Rozmawiali na temat stworzenia opinii, która jest sędziemu potrzebna do wydania wyroku w sprawie rzekomego przekroczenia uprawnień przez szefów CBA. Niemczyk stwierdził w prokuraturze, że odmówił Łączewskiemu, podkreślając, że ma negatywny stosunek do funkcjonariuszy i to mogłoby wpłynąć na opinię. Dopytywany stwierdza, że z sędzią miał jedynie dwa kontakty – telefoniczny w celu umówienia oraz spotkanie w biurze. Zupełnie inną wersję przedstawił Wojciech Łączewski.

Sędzia zeznał, że Piotra Niemczyka zna od końca 2014 r., gdy spotkał się z nim w jego biurze. Na tym spójność protokołów się kończy. Łączewski twierdzi, że spotykał Niemczyka wielokrotnie (a nie tylko raz, jak zeznał Niemczyk) także na gruncie prywatnym, gdyż mają wielu wspólnych znajomych. Co więcej, w 2016 r. miał go prosić o pomoc w głośnej historii rzekomej prowokacji, której miał paść ofiarą. Twierdził, że był wtedy intensywnie inwigilowany przez ludzi służb metodami „na dosiad" i „na Japończyka". Cóż to może znaczyć? Trudno powiedzieć. Na pewno nie jest to język profesjonalnych służb.

Wróćmy teraz do ich spotkań w 2014 r. Wiemy, że było ich kilka, wbrew słowom Niemczyka. Sędzia twierdzi, że nie chciał od byłego oficera Urzędu Ochrony Państwa żadnej opinii w prowadzonym procesie, jest wręcz oburzony takimi sugestiami. Tematem rozmowy miała być jego praca doktorska: „Operacja specjalna. Aspekty prawne, techniczne, dowodowe" (do dziś nie powstała), przy której Niemczyk miał być pomocny. Z jednej strony to rozmowa tylko o pracy naukowej, z drugiej – Łączewski niepytany przez prokuratora dodaje od siebie passus o tym, że ma wiedzę, iż Niemczyk jest zażartym wrogiem Mariusza Kamińskiego, Macieja Wąsika i Ernesta Bejdy.

Podsumujmy: wszystkie trzy osoby potwierdzają, że przed wydaniem

eprasa.pl b95f64bea9

wyroku na szefów CBA sędzia spotykał się z zaufanym człowiekiem PO ze świata służb. Tylko Łączewski zaprzecza, by konsultacje te miały mieć związek z przygotowywanym orzeczeniem. To nie dziwi. Gdyby się przyznał, potwierdziłby, że złamał podstawowe zasady sędziowskie – samodzielności w orzekaniu, korzystania wyłącznie z zawartej w materiale dowodowym, legalnie zdobytej wiedzy i dokumentacji oraz apolityczności.

Musimy w tym miejscu podkreślić, że Łączewskiemu trudno wierzyć, bo wielokrotnie łapano go na konfabulacjach, również w zeznaniach pod przysięgą.

SPISEK Z LISEM

Wojciech Łączewski to jeden z najbardziej zaangażowanych politycznie sędziów w Polsce. Niedawno w Superstacji pojawił się z opornikiem w klapie – wymyślonym w krakowskim świecie Temidy symbolem sprzeciwu wobec zmian wprowadzanych w sądach.

Zarzeka się, że „jego partią jest konstytucja". Unika wspierania wprost którejś z sił politycznych, ale z lubością odsądza od czci i wiary Prawo i Sprawiedliwość, powtarzając wszystkie slogany o zamachu na demokrację i niekonstytucyjności nowych ustaw, jakie przedstawiciele opozycji parlamentarnej i pozaparlamentarnej wykrzykują na swoich wiecach.

Jest zaprzeczeniem sędziowskiej niezawisłości i obiektywizmu. Alergicznie reaguje na krytykę. Z zeznań jego i jego znajomych można wysnuć wniosek, że cierpi na specyficzny rodzaj manii prześladowczej. Zresztą publicznie się też skarżył na nękanie, jakiego rzekomo doświadcza po objęciu władzy przez PiS.

Największym cieniem na jego życiorysie kładzie się próba spiskowania z osobą podającą się za Tomasza Lisa w celu obalenia rządu PiS. Kulisy tej sprawy ujawniliśmy w tygodniku w 2016 r. To historia z jednej strony kuriozalna, z drugiej – oburzająca, bo pokazuje, do czego zdolny był sędzia, by zaszkodzić demokratycznie wybranej władzy, i jak później kłamał w zeznaniach.

A było to tak. Użytkownik Twittera używający konta „Marka Matusiaka" (Łączewski) podjął rozmowę z kontem „Tomasza Lisa", nie wiedząc, że nie jest to prawdziwy profil dziennikarza. Internauta zaoferował Łączewskiemu pomoc w zwalczaniu politycznych wrogów. Ten odpisał: „Panie Tomaszu! Rozumiem wszystko – ale nie zorientował się pan, że walenie w to towarzystwo przynosi efekt odwrotny od zamierzonego? Sugeruję zmianę strategii – wszystkim nam zależy na Polsce i dobru jej obywateli". Podpisano: „Pewien znany sędzia, chociaż z innego profilu".

Panowie umówili się na spotkanie, by o sprawie porozmawiać. Internauta wskazał „Matusiakowi" termin i adres, a o wszystkim powiadomił dziennikarzy portalu Kulisy24.com. Ci zjawili się na miejscu i rzeczywiście ujrzeli Łączewskiego próbującego się dodzwonić domofonem pod wskazany numer.

Gdy skandal został opisany w mediach, sędzia postanowił brnąć w karkołomną bajkę. Złożył w prokuraturze doniesienie, że ktoś podszył się pod niego, przejął jego twitterowe konto i chciał go skompromitować. Wszczęto śledztwo, w którym Łączewski miał status pokrzywdzonego. Był wielokrotnie przesłuchiwany (na swój wniosek, wciąż miał coś do dodania), wymyślał kolejne elementy nietrzymającej się całości opowieści. Zeznania wszystkich świadków zaprzeczały jego wersji. Podobnie jak opinie biegłych z zakresu informatyki, którzy stwierdzili, że w używanych przez sędziego urządzeniach „nie znajdowały się aplikacje, przy pomocy których możliwe byłoby zdalne przejęcie tożsamości użytkownika, w tym także wysłanie zdjęcia z wizerunkiem Wojciecha Łączewskiego". Dowodziło to, że nikt nie włamywał się do telefonu czy tabletu sędziego i nie mógł zrobić mu zdjęcia bez jego wiedzy, z jego urządzenia, w jego domu. A swoją fotografię – selfie – nieostrożny sędzia wysłał do „Tomasza Lisa", by potwierdzić swoją tożsamość. Pogrążyły go również dane otrzymane w ramach pomocy prawnej z USA – od firmy zarządzającej Twitterem.

Prokuratura miała tylko jedno wyjście – w maju 2018 r. umorzyła śledztwo, stwierdzając, że nikt nie włamywał się na internetowe konta Łączewskiego.

Co to oznacza dla naszego bohatera? Duże kłopoty. Jeśli bowiem świadomie zawiadomił o przestępstwie, którego nie było, sam popełnił przestępstwo (art. 238 Kodeksu karnego). Grożą za to nawet dwa lata więzienia. Można więc się spodziewać, że wszczęte zostanie nowe postępowanie. Trzecie, w którym bojownik o demokrację może usłyszeć zarzuty. Poza tym, prowadzonym w Opolu, toczy się bowiem jeszcze jedno w Krakowie, w sprawie składania fałszywych zeznań.

Naprawa wymiaru sprawiedliwości to jedna rzecz. Ale nawet najlepiej skonstruowany system nie będzie działał prawidłowo, gdy będą w nim funkcjonować sędziowie tak ostentacyjnie lekceważący zasady.

Ujawniane w ostatnim czasie przypadki patologicznych zachowań niektórych sędziów są oczywiście bulwersujące. Ale naprawdę niebezpieczna dla praworządności i demokracji w Polsce jest ich chęć wpływania na scenę polityczną. Przykład Wojciecha Łączewskiego dowodzi, że zmiany systemowe i personalne są niezbędne.



Czy proces przeciw szefom CBA został ustawiony? Na zdj. Mariusz Kamiński i Maciej Wąsik

Fot. Julia Szewczyk

Są fundusze na innowacje dla firm ze wschodniej Polski

150 mln zł – tyle pieniędzy przeznacza PARP na wprowadzanie na rynek nowych produktów i usług przez przedsiębiorców ze wschodniej Polski. Firmy mogą dostać nawet 7 mln zł – pod warunkiem że działania i inwestycje służą wdrożeniu innowacji

WYSTARCZY MIEĆ 30 PROC. NA PROJEKT…

Minimalny budżet projektu, z jakim przedsiębiorca może się starać o dofinansowanie, to 1 mln zł, a maksymalny – 50 mln euro. Jednocześnie dofinansowanie może sięgać nawet 85 proc. wydatków, ale nie więcej niż 7 mln zł.

Wachlarz wsparcia obejmuje m.in. wydatki na realizację inwestycji początkowej, jaką ma być wprowadzenie na rynek nowego albo znacząco ulepszonego produktu. Musi być on innowacyjny, co najmniej na skalę krajową, a innowacja powinna być wynikiem prac badawczo-rozwojowych (nabytych lub własnych). Wsparcie może dotyczyć usługi doradczej w zakresie wzornictwa czy doradztwa technicznego. Dofinansowanie można wykorzystać także na zakup nieruchomości (w tym prawa użytkowania wieczystego), na roboty i materiały budowlane oraz zakup maszyn i urządzeń niezbędnych do uruchomienia produkcji. Poziom dofinansowania wynosi do 70 proc. wydatków kwalifikowanych w przypadku pomocy inwestycyjnej oraz do 85 proc. w przypadku zakupu usług doradczych.

– O dofinansowanie mogą się ubiegać firmy stawiające na innowacje, czyli zgodnie z założeniami konkursu takie, które zainwestowały w opracowanie innowacyjnych produktów, przeprowadzając lub zlecając prace badawczo-rozwojowe albo kupując ich wyniki. Zastosowane rozwiązania muszą być unikatowe przynajmniej na skalę Polski – mówi Izabela Wójtowicz, dyrektor Departamentu Wdrożeń Innowacji w Przedsiębiorstwach PARP.

…I DZIAŁAĆ W KOOPERATYWIE

Wdrożenie innowacji przez MŚP to szczególny konkurs, dotyczy bowiem ponadregionalnych powiązań kooperacyjnych. Firma, która zamierza się zgłosić po dotację, musi (od co najmniej sześciu miesięcy przed dniem złożenia wniosku o dofinansowanie) działać w kooperatywie biznesowej, czyli współpracować z innymi przedsiębiorcami działającymi w podobnych sektorach lub współtworzącymi produkty o charakterze komplementarnym. Taka współpraca musi funkcjonować przynajmniej rok przed złożeniem wniosku, w jej skład musi wchodzić co najmniej pięć firm z dwóch lub więcej województw, z czego jedna koniecznie z Polski Wschodniej.

– Przedsiębiorca wnioskujący o dofinansowanie musi mieć przychody na poziomie przynajmniej 600 tys. zł w jednym z trzech zamkniętych lat obrotowych, przy czym może działać krócej, tj. przez rok obrotowy liczący 12 miesięcy – dodaje dyrektor Departamentu Wdrożeń Innowacji w Przedsiębiorstwach PARP.

100 MLN ZŁ NA INWESTYCJE PRYWATNE W ŚREDNICH MIASTACH

– Konkurs na dofinansowanie kosztów wdrożeń innowacji w małych i średnich firmach z Polski Wschodniej wpisuje się w działania „Pakietu dla średnich miast", realizowanego przez Ministerstwo Inwestycji i Rozwoju wraz z Polską Agencją Rozwoju Przedsiębiorczości. Dlatego aż 100 mln zł z puli konkursowej ma trafić w ręce przedsiębiorców ze średnich miast tego makroregionu. Lista tzw. miast średnich obejmuje około 180 lokalizacji, ponieważ w grę wchodzą również tereny bezpośrednio sąsiadujące z miastami średnimi – wyjaśnia Izabela Wójtowicz.

Pakiet wspomniany przez dyrektor Departamentu Wdrożeń Innowacji w Przedsiębiorstwach PARP jest projektem wpisującym się w Strategię na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju, obejmującym tworzenie warunków dla prywatnych inwestorów.

Cały program Polska Wschodnia jest finansowany ze środków Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego (EFRR). Służy rozwojowi innowacyjności i konkurencyjności województw: lubelskiego, podlaskiego, podkarpackiego, świętokrzyskiego i warmińsko-mazurskiego. Z programu dofinansowywane są projekty związane z aktywizacją start-upów, wdrażaniem innowacji, zdobywaniem zagranicznych rynków, tworzeniem produktów sieciowych, wykorzystaniem wzornictwa przemysłowego oraz projekty infrastrukturalne – drogi, ekologiczny transport miejski, koleje. Budżet programu to 2 mld euro.

Pełna dokumentacja dotycząca konkursu dla poddziałania 1.3.1 POPW, w tym regulamin, znajduje się na stronie internetowej PARP. Wnioski o dofinansowanie projektu należy składać w wersji elektronicznej za pośrednictwem generatora wniosków ze strony internetowej PARP.

Zbigniew Jercki

24/0618/F

Fundusze Europejskie Polska Wschodnia | Rzeczpospolita Polska | PARP Grupa PFR | Unia Europejska Europejski Fundusz Rozwoju Regionalnego

eprasa.pl b95f64bea9



Fot. Andrzej Wiktor

Nieodwracalna

Bitwa o sądy już została wygrana, choćby opozycja i środowiska prawnicze zaklinały się, że można ją cofnąć



STANISŁAW JANECKI

Im bardziej nachalnie na ulicy i w mediach mówi się o tym, że sądy i sędziowie nigdy nie podporządkują się nowym ustawom, tym bardziej rzeczywistość temu przeczy. Kryzys w sądownictwie wygasa nawet szybciej, niż można się było spodziewać. I nic tu nie zmienia zamieszanie wokół I prezes oraz całego Sądu Najwyższego. Wbrew licznym deklaracjom (w istocie politycznym, a nie prawnym), np. uczestniczącego w wiecach sędziego Igora Tulei z Sądu Okręgowego w Warszawie, sędziowie mają świadomość, że art. 2 konstytucji („Rzeczpospolita Polska jest demokratycznym państwem prawnym"), art. 7 („Organy władzy publicznej działają na podstawie i w granicach prawa") oraz art. 176 ust. 2 („Ustrój i właściwości sądów oraz postępowanie przed sądami określają ustawy") obliguje ich do działania zgodnego z ustawami, choćby te ustawy najgoręcej kontestowali. Sędziów obowiązuje też art. 180 konstytucji. Mówi on wprawdzie w ust. 1, że „sędziowie są nieusuwalni", ale w ust. 4 stanowi, że „ustawa określa granicę wieku, po osiągnięciu której sędziowie przechodzą w stan spoczynku" (są nieusuwalni, ale przechodzą w stan spoczynku, czyli przestają być czynnymi sędziami). A w ust. 5 art. 180 zapisano, że „w razie zmiany ustroju sądów lub zmiany granic okręgów sądowych wolno sędziego przenosić do innego sądu lub w stan spoczynku". Przepisy te dotyczą oczywiście także Sądu Najwyższego.

Rzetelni prawnicy mają pełną świadomość, jakie prawo, w tym ustawy, jest obowiązujące, a spór toczy się wyłącznie o tzw. przepisy intertemporalne, czyli o to, czy funkcjonujących już sędziów obowiązują przepisy dawne (istniejące w momencie obejmowania sędziowskiego mandatu i wywołujące „dalszy skutek"), czy jednak nowe (oznaczające bezpośrednie i natychmiastowe stosowanie nowej normy). Te kwestie są przedmiotem sporu, gdyż nigdzie nie zostały jasno sformułowane, ale nie zmienia to faktu, że są obowiązujące, choćby nawet tysiące prawników, w tym sędziów, twierdziło, że jest inaczej. To tylko opinie, które mogą być argumentem na wiecach lub w mediach, ale nie są wykładnią prawa. To tylko gra i przeciąganie liny.

Na pytanie, czy w Polsce istnieje sądowa dwuwładza, odpowiedź jest więc prosta. Nie istnieje. Żaden równoległy system sprawiedliwości nie jest po prostu możliwy i w Polsce obecnie nie funkcjonuje. A w związku z tym kwestie, czy reforma sądownictwa jest trwała, a bitwa o sądy wygrana, zostały rozstrzygnięte pozytywnie.

Ostateczny głos w interpretacji ustaw pod kątem ich zgodności z konstytucją ma wyłącznie Trybunał Konstytucyjny. I dopóki TK nie wydał stosownego orzeczenia, obowiązują nowe przepisy oraz wynikające z nich uprawnienia ministra sprawiedliwości, a także prezydenta RP, choćby każdy zainteresowany oraz ciała zbiorowe, np. Zgromadzenie Ogólne Sędziów Sądu Najwyższego, dokonywały własnych interpretacji. Prawnie i konstytucyjnie nie mają one żadnego znaczenia.

BEZSILNI KONTESTATORZY

Kontestacja nowych ustaw sądowniczych w istocie sprowadza się do deklaracji orzekania z bezpośrednim odwołaniem się do konstytucji, co w gruncie rzeczy nic nie znaczy, skoro faktycznie sędziowie muszą się kierować także ustawami, jeśli nie chcą się narazić na postępowanie dyscyplinarne. Kontestacja polega też na zastraszaniu

eprasa.pl b95f64bea9



reforma

sędziów chcących normalnie pracować, a szczególnie nowo wybranych prezesów sądów różnych instancji, oraz tych, którzy np. kandydowali do Krajowej Rady Sądownictwa. Zastraszanie polega głównie na wyrzucaniu sędziów z sędziowskich stowarzyszeń. Ze stowarzyszenia Iustitia wyrzucono prezes Sądu Okręgowego w Krakowie Dagmarę Pawełczyk-Woicką, sędziego Sądu Rejonowego Poznań-Stare Miasto Marka Jaskulskiego, prezesa Sądu Rejonowego w Olsztynie Macieja Nowackiego, a sam zrezygnował, uprzedzając wyrzucenie, wiceprezes Sądu Okręgowego w Warszawie Dariusz Drajewicz. Wyrzuceni sędziowie są obecnie członkami Krajowej Rady Sądownictwa. Z Iustitii (z funkcji członka zarządu) wyrzucono też wiceministra sprawiedliwości, sędziego Łukasza Piebiaka. Członkostwo w stowarzyszeniu nie ma żadnego znaczenia dla funkcjonowania w roli sędziego, a takie organizacje sędziowskie jak Iustitia czy Themis faktycznie są głównie lobby i grupami nacisku.

Na czym w praktyce polega bunt sędziów, najlepiej widać po Sądzie Okręgowym w Krakowie. Po powołaniu na funkcję prezesa sędzi Dagmary Pawełczyk-Woickiej liczni sędziowie kontestowali tę decyzję, broniąc odwołanej prezes Beaty Morawiec. W maju 2018 r. Zebranie Sędziów Sądu Okręgowego w Krakowie wyraziło wotum nieufności wobec prezes Pawełczyk-Woickiej i wezwało ją do ustąpienia ze stanowiska. Tyle tylko, że taka uchwała nie ma żadnych skutków prawnych. Oczywiście ważna jest atmosfera w sądzie, ale żadna negatywna uchwała nie uwalnia sędziów od zależności służbowej od prezesa sądu ani nie zwalnia od wykonywania obowiązków sędziego zgodnie z ustawami. Faktycznie takie uchwały są formą zastraszenia czy wywierania presji, ale nie powodują skutków prawnych. Oznacza to, że sądy normalnie pracują i choć część sędziów kontestuje reformy, de facto je realizuje.

KUBEŁ ZIMNEJ WODY

Jest znamienne, że najgłośniej przeciwko reformie sądownictwa występują prawnicy niemający żadnego doświadczenia praktycznego w orzekaniu, np. profesorowie Monika Płatek, Marcin Matczak czy Wojciech Sadurski. Ich kontestacja jest głośna, ale oderwana od sędziowskich realiów. Podobnie jak kontestacja organizacji adwokackich i radcowskich – radykalna, ale wynikająca przede wszystkim z tego, że reformy przecinają różne nieformalne układy wypracowane przez lata i dające różne przewagi funkcjonującym w nich adwokatom oraz radcom.

Głośnymi kontestatorami są też sędziowie w stanie spoczynku, tyle że w publicznej debacie nie używają oni sędziowskich argumentów. Sędzia Sądu Najwyższego w stanie spoczynku prof. Adam Strzembosz używa np. argumentu z autorytetu. Był przez osiem lat I prezesem SN, więc wie lepiej i nie musi niczego uzasadniać. Stwierdza coś na zasadzie prawdy objawionej. Podobnie, choć jednak trochę odwołując się do prawnej argumentacji, postępuje prof. Andrzej Zoll, sędzia i prezes Trybunału Konstytucyjnego. A już zupełnie bez powoływania się na cokolwiek, tylko bazując na bezgranicznej niechęci do rządów PiS, wypowiadają się byli prezesi TK, sędziowie w stanie spoczynku Andrzej Rzepliński czy Jerzy Stępień. Ich nagłaśniane wypowiedzi sieją zamęt w głowach części społeczeństwa, jednak na pracę sądów nie mają żadnego wpływu.

Jedyną osobą będącą zarówno praktykiem, jak i używającą argumentów prawnych oraz znaną z tego, że nie sprzyja obecnej władzy, jest prof. Ewa Łętowska, będąca najpierw sędzią Naczelnego Sądu Administracyjnego, a potem TK. Ona oczywiście nie podziela argumentów ustawodawcy ani prezydenta Dudy, ale podchodzi do nich całkowicie realistycznie. I to musi być bardzo zimny prysznic dla wielu kontestatorów, w tym jej kolegów z profesorskimi tytułami. W wywiadzie dla „Kultury Liberalnej" (z 10 lipca 2018 r.) prof. Łętowska mówi bez ogródek, że w implementacji ustaw dotyczących sądownictwa liczy się to, „kto ma ostatnie zdanie". Wtedy bowiem „argumentacja tego kogoś musi wygrać, niezależnie od tego, czy przekonała i czy jest słuszna". Ostatecznie rozstrzygająca jest „walka na kompetencję". Chociaż „bywają głupie wykładnie, bywają mądre wykładnie", ta, którą proponuje PiS, „nie jest zupełnie głupia". „Ona »tylko« nie uwzględnia argumentu z art. 180 ust. 1 Konstytucji RP, czyli zasady nieusuwalności sędziów. [...] Ale rację ma ten, dla kogo ustawodawca przewidział ostatnie słowo. A ostatnie słowo przewidział dla prezydenta, który wygasza mandaty. W takiej sytuacji jako prawnik z bólem serca muszę powiedzieć: trudno. To samo powiedzieli sędziowie w SN – nie zgadzają się z tą ustawą, ale się jej podporządkują, bo wywiera konkretne skutki prawne".

Prof. Łętowska przyznaje nawet, że argument z „nieusuwalności sędziów" wiąże się z interpretacją „problemu intertemporalnego", lecz nie zatrzymuje działania przepisu nowej ustawy, jeśli prezydent wygasi mandaty. Takie konkluzje najwyraźniej przyjęli sędziowie NSA, którzy, w przeciwieństwie do sędziów SN, podporządkowali się nowej ustawie.

Używając realistycznej interpretacji konstytucji i ustaw, de facto prof. Łętowska podziela część argumentacji

eprasa.pl b95f64bea9

ustawodawcy, prezydenta oraz ministra sprawiedliwości. Dlatego twierdzi, że I prezes SN „powinna powiedzieć, iż uważa, że ta ustawa jest niekonstytucyjna, ale w sytuacji, gdy prezydent przyśle jej i sędziom prawidłowo sporządzone postanowienie, że z mocy obowiązującego prawa kadencja I prezes oraz innych sędziów wygasa, to uznać fakt". I to mimo upierania się, że została powołana na sześcioletnią kadencję i ten przepis ma oparcie wprost w konstytucji. Tyle że jednocześnie nie sposób rozpatrywać przepisu o kadencji I prezesa w oderwaniu od przepisów dotyczących przechodzenia sędziów w stan spoczynku.

Straszna musi być dla wielu kontestatorów opinia Łętowskiej, że „wykładnia prezydenta, jego widzenie tego problemu – jeżeli nawet diabelnie nam się to nie podoba – musi faktycznie przeważyć". Na miejscu Gersdorf prof. Łętowska „chodziłaby do pracy, dopóki nie dostałaby wydanego lege artis aktu prezydenta, z którego by wynikało, że już nie jest czynnym sędzią". Z tego zdają sobie sprawę liczne prawnicze autorytety, choćby w mediach i na wiecach mówili coś zupełnie innego. I z tego zdają sobie sprawę także sędziowie SN, z Małgorzatą Gersdorf i zastępującym ją Józefem Iwulskim. Dlatego zarówno sędzia Iwulski, jak i rzecznik SN sędzia Michał Laskowski otwarcie przyznają, że ustawa o SN jest wdrażana, a kolejni sędziowie przechodzą w stan spoczynku. Wynika to z tego, że „wojna na argumenty może toczyć się do pewnego momentu. Jeżeli odmawia wysłuchania ten, kto ma ostateczną decyzję, to ta wojna się kończy".

NIEREALNY STATUS QUO ANTE

Prof. Łętowska zauważyła coś, czego nie chcą zauważyć inni – reforma sądownictwa, w tym SN i KRS, weszła w życie i jest nieodwracalna. Wszelkie mrzonki polityków opozycji, że można jednym aktem prawnym przywrócić status quo ante, są nierealistyczne. W kwietniu 2018 r. Grzegorz Schetyna poinformował, że jego partia przygotowuje „Akt Odnowy Rzeczypospolitej", czyli plan hurtowego cofnięcia zmian w ustawach sądowniczych. Ale coś takiego można by porównać wyłącznie z działaniami bolszewików, a nawet oni wypadliby w tym kontekście korzystniej niż PO. Odwrócenie ustaw sądowniczych wymagałoby wielkiej pracy, i to przez lata, co w praktyce oznacza, że nie jest to realne, mimo najbardziej rewolucyjnego zapału. Nic dziwnego, że prof. Łętowska mówi: „Jak najdalej od tego!". I przestrzega, że odkręcanie zmian „to będzie ciężka harówa", a nie pstryknięcie palcami, o ile w ogóle będzie to możliwe. Nawet uwzględniając zaskarżenie przez Komisję Europejską ustawy o SN do Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej.

> Prof. Łętowska zauważyła coś, czego nie chcą zauważyć inni – reforma sądownictwa, w tym SN i KRS, weszła w życie

Kontestatorzy i przeciwnicy reform wymiaru sprawiedliwości wiedzą, że ich ostatnią nadzieją jest TSUE, ale też, że może to być nadzieja płonna. Do TSUE można wnieść skargę na uchybienie zobowiązaniom państwa członkowskiego w związku z unijnymi dyrektywami i rozporządzeniami, czyli „prawem wtórnym" UE. Chodzi o przepisy przyjmowane na podstawie unijnych traktatów w dziedzinach, w których państwa członkowskie podzieliły się z instytucjami UE swoimi kompetencjami. Łamanie dyrektyw i rozporządzeń skarży się do TSUE z art. 258 Traktatu o Funkcjonowaniu UE. Dotychczas na podstawie tego artykułu nie wszczynano postępowań odnoszących się do „prawa pierwotnego", czyli odnoszącego się np. do ustawy o SN. Teraz są naciski, żeby odwołać się do art. 19 Traktatu o UE (funkcjonowanie skutecznego sądownictwa) w powiązaniu z art. 47 Karty Praw Podstawowych UE (prawo do bezstronnego sądu). Chodzi o to, żeby polskich sędziów uznać za sędziów UE, gdyż mogą orzekać także w sprawach dotyczących stosowania prawa UE. I w ten sposób można by zrobić sąd nad sądami w Polsce. Tyle że kwestie funkcjonowania i organizacji sądów w państwach członkowskich nie są regulowane dyrektywami ani rozporządzeniami w „prawie wtórnym".

Gdy Komisja Europejska skarżyła do TSUE Węgry (w sprawie obniżenia wieku emerytalnego sędziów i prokuratorów), odwołała się do „prawa wtórnego – dyrektywy o niedyskryminacji w pracy ze względu na wiek i płeć". Także na podstawie „prawa wtórnego" Komisja złożyła w grudniu 2017 r. skargę do TSUE przeciwko Polsce w związku z ustawą o sądach powszechnych. Na „prawo wtórne" KE powołała się w sprawie sędziów Trybunału Obrachunkowego Portugalii (obcięcie zarobków w związku z koniecznością spłacania zagranicznych kredytów). I portugalscy sędziowie tę sprawę przegrali. W uzasadnieniu sędziowie TSUE stwierdzili jednak, że tam, gdzie sądy w poszczególnych państwach mogą się zajmować wykładnią lub stosowaniem unijnego prawa, ustawy sądownicze powinny gwarantować sądom niezależność, a sędziom niezawisłość zgodnie z zasadą skutecznej ochrony sądowej (art. 19 ust. 1 Traktatu o UE). Z tej perspektywy można by osądzać pod kątem art. 19 TUE w powiązaniu z art. 47 Karty Praw Podstawowych UE np. ustawowe obniżenie wieku emerytalnego sędziów Sądu Najwyższego z 70 do 65 lat czy uprawnienie prezydenta do przedłużenia pełnienia funkcji przez sędziego SN mimo osiągnięcia wieku przejścia w stan spoczynku. W ten sposób TSUE ingerowałby w kwestie, w które dotychczas nie ingerował, dlatego ani skarga, ani orzeczenie nie są wcale pewne. Ale nawet gdyby do tego doszło, cofnięcie zmian w sądownictwie też nie będzie proste, a wręcz jest nierealne. Ogromna większość przepisów i tak by się ostała.

Ostatnia instancja, z którą opozycja i środowiska prawnicze wiążą takie nadzieje, nie musi być więc wcale taka groźna. To oznacza, że w praktyce cofnięcie polskiego wymiaru sprawiedliwości do stanu z 2015 r. nie jest wykonalne.

eprasa.pl b95f64bea9

Legalizm czy solidarność?



Fot. Materiały prasowe CJUE

Wszystko wskazuje na to, że Komisja Europejska planuje wniesienie oskarżenia przeciwko Polsce do Trybunału Sprawiedliwości UE na podstawie Karty Praw Podstawowych, która w odniesieniu do naszego kraju nie może być stosowana

eprasa.pl b95f64bea9

Dopiero w poniedziałek 2 lipca Komisja Europejska potwierdziła, że zamierza oskarżyć Polskę przed unijnym Trybunałem Sprawiedliwości. Ten czas był nie bez znaczenia co najmniej z dwóch powodów.



JAN ROKITA

Po pierwsze, dzień później upływał ustawowy termin odejścia z Sądu Najwyższego grupy sędziów, w tym zagorzałej przeciwniczki obecnych władz – I prezes Małgorzaty Gersdorf. A polskiej opozycji zależało na tym, aby zarówno okazujący swe obywatelskie nieposłuszeństwo sędziowie, jak i zgromadzeni tego dnia na pl. Krasińskich przeciwnicy rządu mogli mieć pewność czynnego wsparcia ze strony Komisji. Z tego punktu widzenia termin 2 lipca był ostatnim, w jakim tak postawiony cel był jeszcze możliwy do osiągnięcia. To, co jednak uderzające, to fakt, że decyzja komisarzy zapadła tak późno, w zasadzie w ostatnim momencie, i to na dodatek po wypuszczanych w ciągu wcześniejszych dni sprzecznych przeciekach.

Prasę polską (ale także co bardziej interesujące się Polską media zachodnie) najpierw obiegła puszczona w Brukseli pogłoska, że komisarze już dużo wcześniej dali Fransowi Timmermansowi wolną rękę, zarówno jeśli idzie o termin, jak i o zakres oskarżenia przeciw Polsce. Po czym pojawiło się nieoficjalne dementi owej pogłoski, sugerujące istnienie konfliktu pomiędzy komisarzami, którego stronami mieliby być Timmermans i jego szef Jean-Claude Juncker. Powagi temu ostatniemu przeciekowi dodawał znany nie od dziś fakt, że Juncker, w daleko większym stopniu niż jego podwładni, zwykł działać w ścisłej zależności od głównych europejskich stolic, zwłaszcza od Berlina. A gdzie jak gdzie, ale w berlińskim Kanzleramcie entuzjazmu dla wytaczania procesów sąsiadom Niemiec nie ma i nigdy nie było.

NACISKI OPOZYCJI

Ów informacyjny chaos miał jednak swoje głębsze podłoże. Nie ulega wątpliwości, że w Komisji, a zwłaszcza na jej ekspercko-prawniczym zapleczu, długo trwały kontrowersje co do sensu sądowej skargi przeciw Polsce.

Kłopot komisarzy polegał na tym, że z jednej strony w ciągu całego czerwca eskalowały się naciski płynące z Warszawy, aby jak najszybciej wszcząć proces przeciw Polsce, gdyż jest to wprawdzie nie najmocniejsza, ale ostatnia szansa polskiej opozycji politycznej na wygranie personalnego starcia o skład Sądu Najwyższego. Jeszcze w połowie czerwca pojawił się apel byłych polskich prezydentów i premierów, mocnymi słowy wzywający Komisję, aby w sporze z rządem polskim wykazywała więcej ofensywności oraz prawnej inwencji. A z kolei liderzy Platformy Obywatelskiej (wśród nich zwłaszcza Grzegorz Schetyna) też utwardzili swoją linię, kategorycznie żądając, aby komisarze nie szli na żadne, nawet najdrobniejsze ustępstwa wobec Warszawy. Dla Junckera, liczącego się z poglądami dużych partii należących do EPP (z tej chadeckiej rodziny wywodzi się sam szef Komisji), musiał to być silny motyw skłaniający do działania, tym bardziej że nie od dziś wiadomo, iż obie główne stolice europejskie (tzn. Paryż i Berlin) życzyłyby sobie, aby polskiej Platformie jakoś pomóc w demokratycznym powrocie do władzy.

Z drugiej strony jednak komisarze, dysponując analizami prawnymi swoich urzędników, mieli też świadomość tego, że skarga do Luksemburga jest z ich perspektywy działaniem ryzykownym ze względu na wątłe podstawy prawne takiego oskarżenia, a co za tym idzie – nieoczywisty wynik hipotetycznego procesu. Łatwo sobie wyobrazić, że u ostrożnego Junckera pewien niepokój mógł budzić entuzjazm Timmermansa przekonanego, iż z zamkniętymi oczami należy się rzucić w proces przeciwko Polsce, licząc na to, że sukces da się osiągnąć potem za pomocą zwiększonej politycznej presji, a unijni sędziowie z Luksemburga będą w końcu i tak zmuszeni okazać korporacyjną solidarność z polskimi kolegami po fachu, walczącymi z prawicowym, katolickim i nielubianym w Brukseli rządem.

JAK UDERZYĆ W POLSKĘ?

Jakie są źródła owych prawniczych wahań, gdy idzie o proces przeciwko Polsce? Najpierw jest to samo meritum przygotowywanego oskarżenia. Nie znamy wprawdzie dotąd w szczegółach jego argumentacji, gdyż sam tekst „aktu oskarżenia" najprawdopodobniej na razie jeszcze nie istnieje. Unijne procedury wymagają bowiem, aby jego złożenie w Luksemburgu zostało poprzedzone dwukrotnym „ping-pongiem" między Brukselą a Warszawą, polegającym na wymianie pisemnych zarzutów i wyjaśnień.

Niemniej jest jasne, że sednem owych zarzutów ma być to, iż uchwalona przez PiS ustawa przenosi w stan spoczynku tych sędziów Sądu Najwyższego, którzy po ukończeniu 65 lat albo nie będą się ubiegać o przedłużenie swego wieku spoczynku, albo nie otrzymają takiego przedłużenia od głowy państwa. Do tej pory ów wiek był pięć lat dłuższy, a prezydent nie miał kompetencji do ingerowania weń w jakikolwiek sposób.

Chodzi jednak o to, że kwestia wieku emerytalnego żadnej grupy zawodowej nie jest przedmiotem regulacji w prawie europejskim. W związku z czym, ilekroć w Brukseli próbowano podobnych ingerencji (np. w odniesieniu do Węgier), to tylko pod pretekstem płciowych nierówności emerytalnych dla kobiet i mężczyzn, gdyż rygoryzm genderowego egalitaryzmu jest – jak wiadomo – jednym z filarów unijnego „acquis communautaire". Jednak polskiej ustawy taki zarzut nie dotyczy.

Na dodatek problemem dla Komisji jest polska konstytucja. Bo choć opozycja używa jej jako sztandaru w swoim sporze z rządem, nie zmienia to przecież tego, że całkiem jednoznacznie deleguje ona prawo do regulacji wieku spoczynku sędziów do ustawodawstwa zwykłego (art. 180). Bardzo trudno zatem podważyć prawo większości parlamentarnej do swobodnego regulowania tej kwestii w ustawie zarówno z perspektywy prawa europejskiego „acquis communautaire", jak i polskich reguł konstytucyjnych.

Dość prawdopodobne zatem, że przedmiotem prawniczego „ataku" przed Trybunałem stanie się nie tyle sama

eprasa.pl b95f64bea9



Fot. Shutterstock

niższa granica wieku spoczynku sędziów, wprowadzona pisowską ustawą, ile raczej swobodne uprawnienie prezydenta do jej podwyższania. Byłby to swego rodzaju prawniczy psikus, gdyby się okazało, że w Luksemburgu zdecyduje się, iż sędziów można wcześniej wysyłać na emeryturę, ale trzeba to robić wobec wszystkich na równi, bez żadnych wyjątków.

Ale jeszcze poważniejszy kłopot Komisji z tym procesem polega na jego formalnych podstawach. O ile bowiem wiarogodne są dotychczasowe wyjaśnienia samego Timmermansa i jego współpracowników, ich pomysł polega na dowiedzeniu przed Trybunałem, że większość parlamentarna w Polsce, skracając wiek emerytalny sędziów w Sądzie Najwyższym, naruszyła gwarantowane każdemu Europejczykowi prawo do „niezawisłego i bezstronnego sądu". Co prawda to rozumowanie samo w sobie dość karkołomne, ale gdyby jednak założyć, że daje się ono jakoś przeprowadzić przed Trybunałem („nowi sędziowie muszą być posłuszni wobec władzy, a więc nie będą bezstronni"), to znaczyłoby, iż jego podstawą są gwarancje zawarte w europejskiej Karcie Praw Podstawowych (w jej art. 47), która jest swego rodzaju „załącznikiem" do traktatu lizbońskiego.

Tyle że przy ratyfikacji traktatu Polska zgodziła się jedynie na warunkowe stosowanie Karty, wyłącznie wtedy, gdy prawa w niej gwarantowane pozostają w zgodzie z treścią polskich ustaw. Zastrzeżenie to brało się wówczas z obawy, że stosowanie Karty może zmusić Polskę do ustawowego zagwarantowania swobody aborcji oraz małżeństw jednopłciowych, i było wynikiem kompromisu pomiędzy premierem Tuskiem a prezydentem Kaczyńskim. Skądinąd zresztą premier Tusk, składając w 2008 r. dokumenty ratyfikacyjne traktatu, zachował się lojalnie wobec swojego przeciwnika i rywala (jakim wtedy był prezydent), podtrzymując owo zastrzeżenie, wbrew licznym wezwaniom w PO i na lewicy, aby Kartę ratyfikował bezwarunkowo. W ten sposób Polska stała się stroną tzw. Protokołu nr 30 (zwanego czasem Protokołem brytyjsko-polskim, gdyż jego tekst sformułowali Anglicy). A w „Przeglądzie Legislacyjnym" z lat rządów Tuska można znaleźć uchwałę Rady Legislacyjnej przy ówczesnym premierze, która wyjaśniając prawny sens owego protokołu, stwierdza: „Uniemożliwia on wnoszenie przez Komisję lub inne państwo członkowskie skarg przeciwko Polsce o naruszenie Karty do Trybunału Sprawiedliwości" (uchwała z 17 marca 2008 r.).

> Dość prawdopodobne, że przedmiotem prawniczego „ataku" na Polskę stanie się nie tyle sama niższa granica wieku spoczynku sędziów, ile raczej swobodne uprawnienie prezydenta do jej podwyższania

CO ZROBI TRYBUNAŁ?

Tymczasem większość polskich mediów informowała, że owe gwarancje „prawa do sądu", na które powołuje się Komisja, zawarte są w samym traktacie lizbońskim (niemal wszystkie gazety i TV przywoływały w tym kontekście art. 19 traktatu). Rzecz ma raczej charakter anegdoty na temat stanu polskiego dziennikarstwa, gdyż – jak się zdaje – niemal nikt z mówiących i piszących na ten temat nie sprawdził treści przywoływanego artykułu traktatowego. Prawniczy pech Timmermansa polega jednak właśnie na tym, że w art. 19 traktatu lizbońskiego nie ma ani słowa na temat „prawa do sądu". Gdyby było inaczej, oskarżenie miałoby silniejsze podstawy formalne. Wszystko na razie wskazuje jednak na to, że Komisja planuje wniesienie oskarżenia właśnie na podstawie Karty, która w odniesieniu do Polski nie może być stosowana.

Jeśli tak się stanie, to Trybunał luksemburski może mieć tym razem twardy orzech do zgryzienia. Z jednej bowiem strony będzie pod presją, aby wspomóc swoich kolegów i koleżanki – sędziów Sądu Najwyższego, którzy ryzykownie zaangażowali cały swój zawodowy prestiż w zaciekłą walkę z uchwaloną przez polski parlament ustawą. Z drugiej zaś – dostanie do ręki oskarżenie oparte na traktatowym załączniku, którego Polska nigdy nie uznała za obowiązujący.

Ciekawe zatem, co w przypadku luksemburskich sędziów okaże się silniejsze: prawniczy legalizm czy korporacyjna solidarność?

eprasa.pl b95f64bea9

Ze mną nie ma dilowania



Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl b95f64bea9

Śmieszą mnie pytania, czy nie powinnam zrezygnować z pracy w komisji ds. Amber Gold, bo to niby jakaś forma reklamy. Ciężko pracuję, a w Krakowie od dwóch miesięcy toczy się ukryta kampania wyborcza prezydenta Majchrowskiego – mówi **Małgorzata Wassermann**, kandydatka PiS na prezydenta Krakowa, w rozmowie z Markiem Pyzą i Marcinem Wikłą

Wisła czy Cracovia?

Małgorzata Wassermann: I Wisła, i Cracovia.

Ależ to się nie łączy!

To nie ma żadnego znaczenia, czy ja sympatyzuję z jednym, czy z drugim klubem sportowym. Zresztą w mieście jest ich więcej i każdy powinien być równo traktowany, a dzisiaj nie mam wrażenia, by tak było.

Nie lepiej dać największym klubom, które będą dobrą wizytówką miasta?

To nie jest kwestia tylko dobrego wizerunku. Jeśli zostanę prezydentem Krakowa, będę się starała dowartościować przede wszystkim małe kluby, które działają na osiedlach. Po pierwsze, dają frajdę uprawiania sportu dzieciom z okolic, a po drugie, to tam będą się kształtować, mam nadzieję, przyszli piłkarze reprezentacji Polski.

Czyli to w małym krakowskim klubie ma się wychować kolejny Robert Lewandowski?

Ma zacząć, ma zostać odkryty! I to byłoby wspaniale, ale dotując małe kluby, chciałabym się zająć problemem, który jest według mnie bardziej naglący. Radykalnie zmieniły się sposoby spędzania wolnego czasu przez młodzież i dzieci. Musimy podjąć ogromną walkę o to, by w atrakcyjny sposób zorganizować im zajęcia na świeżym powietrzu. Będziemy realizować bardzo potrzebny program uświadamiający zagrożenia związane z dopalaczami, narkotykami, ale także np. dotyczący uzależnienia od internetu i konsekwencji, jakie ono z sobą niesie. Wszystko to bardzo łączy się ze sportem.

A dlaczego teraz dla tych małych klubów nie ma pieniędzy?

Są, ale za małe! Nikt nie ukrywa, że uwaga władz miasta skupiona jest przede wszystkim na dwóch potentatach, czyli Cracovii i Wiśle. Mniejsze starają się pozyskać sponsorów, ale to są bardzo skromne środki, które często wystarczają zaledwie na ogrzanie zimą sal treningowych. Cała reszta opiera się w dużej części na wolontariacie. W ten sposób nie można normalnie działać. To się musi zmienić.

No to łatwiejsze pytanie: Turnau czy Maleńczuk?

Nie jest mi po drodze z Maleńczukiem, jeśli chodzi o jego sposób patrzenia na świat, co nie znaczy, że nie podobają mi się jego piosenki. Mam sentyment do starych płyt Homo Twist, ich teksty nieźle opisywały rzeczywistość. A z nowszych rzeczy? Komu nie wpada w ucho „Ostatnia nocka"? To był przebój. A na Brackiej cały czas jest pięknie – bo Turnau cudownie przenosi nas w klimat Krakowa. Generalnie cenię artystyczne dokonania obu panów.

Pani ulubione miejsca w Krakowie?

Nie będę oryginalna. Uwielbiam Bielany i Lasek Wolski. Są też miejsca, które wspaniale kojarzą mi się z czasu studiów, to oczywiście Stare Miasto i okolice Rynku. Później niestety niezbyt często tam bywałam. Bardzo lubię Kazimierz, ale też Nową Hutę, która jest bardzo zielona i nie zdążyli jej jeszcze tak bardzo „zdemolować" deweloperzy. W ogóle kocham Kraków!

Powiedziała pani niedawno, że brakuje jej refleksji u Jacka Majchrowskiego na temat jego ludzi. Sugerowała pani, że „gdyby mieli odrobinę honoru, to podaliby się do dymisji". Jest aż tak źle?

Pan prezydent Majchrowski bezustannie opowiada, że największe zło, jakie może spotkać nasze miasto, to ludzie, którzy przyjdą ze mną. Ale bardzo się myli, bo ja otaczam się osobami o nieposzlakowanej opinii, bardzo doświadczonymi. Na którąś z kolejnych zaczepek odpowiedziałam, że powinien się wreszcie rozejrzeć wokół siebie. Przez 16 lat jego rządów w Krakowie było kilka sporych afer, niektóre skończyły się nawet aktami oskarżenia, pewne osoby współpracujące z Jackiem Majchrowskim mają wyroki. Chciałabym być elegancka, ale jeśli pan prezydent nie pozostawi mi wyboru, to będziemy w szczegółach rozmawiali o zarzutach, które mam wobec jego środowiska.

Abstrahując od otoczenia, on mówi o sobie bez zażenowania, że należy mu się w Krakowie pomnik i ulica jego imienia. Że zrobił dla miasta więcej niż jego poprzednicy: Leo czy Dietl. Chyba czas murować kamień węgielny...

Zależy, jak patrzeć na miasto. Czy jest ładnie na Rynku i w centrum? Nie będę negować wszystkiego, co pan prezydent zrobił dla Krakowa, bo byłabym niesprawiedliwa, ale wystarczy wyjechać nieco dalej i często chce się płakać. Dosłownie tak miałam, gdy niedawno znalazłam się na ul. Wrocławskiej, przy której wiele lat mieszkałam. Dzisiaj to miejsce zamieniło się w wielkie, makabryczne blokowisko. Nie mogłam uwierzyć, że ktoś pozwolił, by na tak małym terenie dobudować tak dużo tak wysokich budynków. A gdy jeszcze bardziej oddalimy się od centrum, to przekonamy się, jak zatrważający jest stan ulic i chodników, a komunikacja zupełnie niewydolna. Jak można bezmyślnie

eprasa.pl b95f64bea9

budować ogromne osiedla bez miejsc postojowych? Efekt – mieszkańcy stawiają samochody gdzie się da. To problem np. Osiedla Podwawelskiego, nieco starszego, budowanego trochę luźniej, ale zastawionego teraz autami z sąsiednich osiedli.

Ciasne, zastawione ulice i korki. To jest problem, o którym słyszymy praktycznie od każdego w Krakowie.

I to powoduje ogromne konflikty. Dlatego mieszkańcy chcą utworzenia stref parkingowych, dlatego mamy zakazy wjazdu na teren wielu osiedli. I automatycznie robi się paraliż miasta. Każdy, kto próbuje się przedostać po południu z Ruczaju do centrum albo wyjechać w kierunku Warszawy, wie, że zajmie mu to, lekko licząc, prawie dwie godziny.

Ma pani koncepcję, jak temu zaradzić?

Nie chcę jeszcze zdradzać szczegółów mojego planu, bo może się nagle okazać, że na ten sam wspaniały pomysł akurat teraz wpadnie prezydent Majchrowski, ale będziemy rozmawiali o udrożnieniu już istniejących ulic poprzez budowę tuneli i estakad oraz podjęcie na poważnie budowy metra. Na pewno skończy się budowanie mieszkań, w których nie ma miejsc parkingowych, i to nie tylko dla mieszkańców, lecz także z pewnym zapasem dla odwiedzających.

Dużo się mówi o propozycji Jacka Majchrowskiego likwidacji Zarządu Infrastruktury Komunalnej i Transportu. To dobry pomysł?

A czy od tego ulice staną się przejezdne? Znikną korki? To typowy zabieg przed kampanią wyborczą. Nadzorujący ZIKiT wiceprezydent Trzmiel nie poniósł odpowiedzialności. Chyba nie na tym polega rozwiązywanie problemów.

To co należałoby zrobić?

Zmienić całą filozofię działania tej jednostki! Mieszkaniec musi być najważniejszy. Na przykład gdyby to ode mnie zależało, to już przed rokiem kazałabym ludziom odpowiedzialnym za remonty usiąść i skorygować plany. Teraz kilka inwestycji zaczyna się w tym samym czasie i w tym samym rejonie, co prowadzi do komunikacyjnego paraliżu. Trzeba zawsze najpierw myśleć o mieszkańcach.

Druga sprawa, która w takim samym stopniu wzburza, to smog.

W tym zakresie dużą i skuteczną akcję podjął polski rząd. W Skawinie działa program pilotażowy, będzie także odrębny program dla Krakowa. Jeśli zostanę prezydentem, to będziemy w tej komfortowej sytuacji, że program miejski będzie w pełni skorelowany z planami rządu, który pierwszy zajął się tym problemem tak poważnie.

A na czym powinien się opierać miejski program?

To jest kwestia przede wszystkim pozyskania finansowania dla ludzi, którzy będą musieli wymienić piece. Ich strach nie jest związany z samą zamianą, ale z tym, że nie będą mieli na rachunki za gaz. Trzeba zadbać o tę stronę socjalną.

W jaki sposób?

Na przykład obliczyć różnicę w kosztach po zamontowaniu pieca gazowego i zwracać ją najbardziej potrzebującym przez co najmniej 10 lat. Można też negocjować z dostawcami gazu, aby te osoby miały niższą cenę za dostarczane paliwo. Sposobów jest wiele – ważne, by działać, bo cały czas kilka tysięcy pieców jest niewymienionych.

W Warszawie jednym z głównych tematów kampanii będzie dzika reprywatyzacja. A w dawnej stolicy?

U nas sprawa ma nieco inną naturę, bo nie mieliśmy decyzji administracyjnych, lecz sądowe. Dwa razy zetknęłam się z tym zawodowo. Mieszkańcy ul. Benedykta jakimś cudem zostali dopuszczeni do postępowania i poprosili mnie o pomoc. Wcześniej uczestnikiem postępowania był przedstawiciel prezydenta i nie mógł sobie poradzić. Po zaangażowaniu się naszej kancelarii sprawa zakończyła się pozytywnie dla mieszkańców. Wygraliśmy ją. Wystarczyło dynamicznie wejść do procesu i walczyć o prawa miasta. Teraz trzeba wziąć do ręki każdą teczkę, prześledzić, jak było prowadzone postępowanie, sprawdzić, czy jest podstawa do jego wznowienia. A jeśli były zaniedbania, trzeba będzie pomyśleć o konsekwencjach.


Fot. Andrzej Wiktor

Powinna powstać komisja weryfikacyjna, taka jak w Warszawie?

Raczej specjalny wydział w urzędzie miasta utworzony do audytu związanego z mieszkalnictwem, przy pełnej współpracy z prokuraturą. Z czasów, gdy pracowałam z ojcem, pamiętam, że już wtedy byliśmy na granicy przedawnień w niektórych przypadkach. Minęło kolejnych kilka lat. Może niestety być tak, że

eprasa.pl b95f64bea9



kamienice przejęte w latach 90. czy na początku tego wieku będą już nie do odzyskania.

Skoro przy nieruchomościach jesteśmy – w ostatnich dniach sporą dyskusję wywołuje sprawa dofinansowania remontu kamienicy przy rogu Gołębiej i Wiślnej. Należy ona do firmy Biuro Rozwoju Krakowa, którą kieruje syn pani wiceprezydent Elżbiety Koterby, a szefem rady nadzorczej jest jej mąż. Do 2011 r. prezesem spółki była sama Koterba. W ciągu ostatnich pięciu lat firma dostała od miasta 1 mln zł, czyli 1/19 wszystkich wydatków na remonty zabytków. Jest najmocniej dofinansowywanym obiektem, bo pozostałe 171 nieruchomości musiało się podzielić 18 mln.

Jeżeli nawet stało się to zgodnie z prawem, to zupełnie wbrew wszelkim standardom. W Prawie i Sprawiedliwości nie do wyobrażenia byłaby sytuacja, by ktoś z rodziny wiceprezydenta w ogóle starał się o takie dofinansowanie. To jest nie do zaakceptowania.

Urzędnicy w Krakowie mają podstawy, by bać się pani zwycięstwa? Jaki będzie los współpracowników dotychczasowego prezydenta?

Jeżeli wygram te wybory, to dojdzie do kilku zmian personalnych, to jest oczywiste. Najwyższa kadra kierownicza to ludzie, do których muszę mieć zaufanie. Natomiast nikt o zdrowych zmysłach, a za taką osobę się uważam, nie będzie zwalniał urzędników uczciwie pracujących w dziesiątkach wydziałów w całym Krakowie. Po co miałabym wyrzucać ludzi, którzy są wykwalifikowani, znają i lubią swoją pracę? To byłoby pozbawione logiki. Zrobię to, co robię zawsze, gdy przychodzę gdzieś do pracy. Bardzo dużo wymagam od ludzi, ale staram się im jak najlepiej płacić, dlatego przejrzę budżet i postaram się zrobić tak, by moi pracownicy dostawali bardzo dobre wynagrodzenia.

Będą podwyżki?

Budżet będzie tak dopasowany, że tam, gdzie tylko będzie to możliwe, pensje wzrosną.

eprasa.pl b95f64bea9

To brzmi trochę jak próba kupienia sobie urzędników.

Absolutnie nie. W każdym miejscu, w którym pracowałam, najpierw szukałam miejsc, gdzie pieniądze są marnotrawione, a zaoszczędzone kwoty zawsze przeznaczałam dla współpracowników.

W wywiadzie dla tygodnika „Sieci" prezes Jarosław Kaczyński wymienia panią jako jedną z trzech największych nadziei PiS w wyborach samorządowych. Mówi też, że „gdy już pani Wassermann ruszy z kampanią, to na pewno będzie ona dynamiczna". To wsparcie czy zobowiązanie?

Dziękuję za miłe słowa, podejmując decyzję o kandydowaniu, myślę oczywiście o tym, że wygram. A jeśli tylko partia udzieli mi jakiegokolwiek wsparcia, to kampania z pewnością będzie dynamiczna.

Czasem wsparciem jest nierzucanie kłód pod nogi, a słyszymy, że tak się właśnie dzieje. Czyli jest coś w powiedzeniu, że „twój największy wróg czai się w twojej partii"?

Wolałabym nie myśleć, że mam wrogów w partii. Moja kampania sejmowa sprzed trzech lat została przeprowadzona głównie dzięki ludziom, którzy chcieli zmian. Oni raz mają szyld partyjny, a raz go nie mają. To nie ma znaczenia, ważne jest, czy mogę się na nich oprzeć. Mam szczęście otaczać się ludźmi, którym ufam i którzy mnie nie zawodzą.

Jacek Majchrowski przypomniał ostatnio słowa Andrzeja Dudy, który miał mu kiedyś powiedzieć, że „łatwiej wygrać wybory na prezydenta RP niż Krakowa". Coś w tym jest?

To jest rzeczywiście bardzo trudne starcie. Wystarczy spojrzeć na to, co się dzieje w mieście od maja, czyli od ogłoszenia przez pana Majchrowskiego, że jednak będzie kandydował. Mamy jedną wielką imprezę. Zatrważająca jest ilość uroczystości z udziałem pana prezydenta, podziękowań, przecinania wstęg. Dlatego śmieszą mnie pytania, czy nie powinnam zrezygnować z pracy w komisji ds. Amber Gold, bo to niby jest dla mnie jakaś forma reklamy. Ciężko pracuję, czasem przed kamerą, a w Krakowie od dwóch miesięcy toczy się ukryta kampania wyborcza prezydenta Majchrowskiego. Starcie z taką maszynerią jest bardzo trudne, ale nie traktuję tego wyzwania w kategorii niemożliwych. Uważam, że mi się uda.

Według jednego z ostatnich sondaży Jacek Majchrowski może nawet wygrać w pierwszej turze (52 proc., przy 30 proc. dla pani), w ewentualnej drugiej obecny prezydent ma 58 proc., a pani – 32.

Znam to badanie. Zleciła je Platforma Obywatelska. Dobre wyniki pana prezydenta są w nim uwarunkowane poparciem PO. Ten sondaż wygląda na element presji na pana Majchrowskiego, aby czuł, że musi się związać z tą partią.

Nie obawia się pani, że ta pozycja startowa nie jest wymarzona?

Nigdy nie przejmowałam się sondażami. Na etapie startowania do Sejmu nie znałam szacunków, jakie są moje szanse. Okazało się, co się okazało...

...piąty wynik w kraju.

Czyli nie było źle. Ku mojemu zdziwieniu przeczytałam niedawno w jednym z tygodników, iż jestem jedną z trzech osób, która będzie rządzić naszym państwem za 10–15 lat. Najwyraźniej przez wielu ludzi moja praca jest dobrze odbierana i szanowana. Mogę panom tylko powiedzieć, że znów będę walczyć do końca i mam nadzieję, że z bardzo dobrym wynikiem.

Skąd to umiłowanie Majchrowskiego przez krakowian? Nie możemy się temu nadziwić, czytając o kolejnych aferach, o panu Janie Tajsterze, byłym dyrektorze zarządu dróg skazanym za przekręty przy przetargach, który skuwał pracownice kajdankami, o milionie na kamienicę, w której mieści się siedziba firmy syna i męża pani wiceprezydent, o utopionych milionach przy projekcie igrzysk olimpijskich i wielu, wielu innych skandalach. Przy tym wszystkim można zażartować, że w Warszawie mamy modelowe, uczciwe władze samorządowe.

Pytają panowie o bardzo umiejętnie prowadzoną politykę. Jacek Majchrowski wmówił krakowianom, że jest apolityczny, że polityki wcale nie uprawia. A przypomnijmy sobie, skąd on się wywodzi, jacy radni go popierają i kto zasiada w jego klubie. I wszystko staje się jasne: jego zaplecze to PSL i SLD, jak w koalicjach z lat 90. Te targi prowadzone pomiędzy nim a Nowoczesną i Platformą jasno wskazują na całkowite uzależnienie jego słupków popularności od poparcia partii. Pan prezydent dość dobrze kierunkuje też przekaz, że wszystko, co dobrego dzieje się w mieście, jest jego zasługą, a winowajców zła trzeba szukać w radzie miasta. Tak nie jest.

Krakowianie są tak podatni na te manipulacje?

Krakowianie to bardzo inteligentni, mądrzy ludzie. Być może wcześniej nie było dobrych kandydatów, może kampanie wyborcze kontrkandydaci źle prowadzili? Rządzący w Krakowie sprytnie przedstawiają niektóre negatywne dla nich sytuacje. Wystarczy popatrzeć na ostatnie problemy z uchwaleniem miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego. Pułapka polegała na tym, iż do większości planu nie można było mieć zastrzeżeń, ale jego drobne elementy rujnowały życie pewnej grupy mieszkańców, zwłaszcza na obrzeżach miasta. Prezydent mówi: radni, zdecydujcie, czy uchwalamy plan dla całego miasta, czy ratujemy tę grupę? A przecież ten plan nie musiał być tak przygotowany i nie odpowiadają za niego radni. Cokolwiek by rada teraz zrobiła, ktoś będzie niezadowolony.

Jak dużym handicapem dla Majchrowskiego jest to, że rządzi miastem od 16 lat?

Ogromnym. To lata pielęgnowania potężnego układu zależności. Gdy ogłosiliśmy mój start, a prezydent wysyłał jeszcze jasne sygnały, że nie będzie kandydował, skala poparcia dla mnie ze strony tzw. znanych osób w Krakowie była ogromna. Deklarowali się z wejściem w tworzenie programu, w komitety poparcia. Gdy swój start ogłosił pan prezydent, większość

eprasa.pl b95f64bea9

tych ludzi się cofnęła. Słyszałam: „Wie pani, pracuję w tym mieście, nie chciałbym mieć problemów, oczywiście wspieram panią, ale muszę zachować wstrzemięźliwość”.

To strach?

O własny byt. Mówimy np. o pewnych uzależnieniach finansowych od miasta.

Z kim pani idzie do wyborów, kto jest w pani drużynie?

Nie jest tajemnicą, że współpracuję np. z panem prof. Mariuszem Andrzejewskim, ekonomistą z UEK. Mam pewien zespół ludzi, ale wolałabym nie ujawniać ich nazwisk, by mogli spokojnie jeszcze tych kilka miesięcy popracować.

Zmieńmy temat. To kiedy te igrzyska olimpijskie w Krakowie?

Pytanie, czy mieszkańcy będą ich chcieli.

A mieszkanka Wassermann chciałaby?

Dotychczasowe doświadczenia z przymiarką do organizacji igrzysk są fatalne. Mieliśmy wielki wstyd i stratę sporych pieniędzy. Ale jeśli taka będzie wola mieszkańców, to odpowiednio się do takiego wyzwania przygotujemy. Na dziś ważniejsze jest dla mnie to, jak zmniejszyć kolejki w szpitalach, jak poprawić dostępność przedszkoli i żłobków, jak rozładować korki. Na to przede wszystkim będą szły pieniądze.

Rozumiemy tę odpowiedź: są poważniejsze problemy w mieście, nie zawracajcie mi głowy igrzyskami.

Bo naprawdę jest co robić. Niech panowie poczekają jeszcze chwilę, a usłyszą, jak można wyjść naprzeciw potrzebom np. seniorów czy młodych rodziców.

Turyści są dla Krakowa problemem czy błogosławieństwem?

To źle postawione pytanie. Jest oczywiście pewien problem związany z turystyką „weekendową”, czyli osobami przyjeżdżającymi tylko na dobrą zabawę, a co za tym idzie – trochę za głośno się zachowującymi. Kraków żyje z turystyki, więc musi się pod tym kątem rozwijać, ale walcząc o nieco innego turystę, na trochę wyższym poziomie. Nie może być tak, że wszystko robimy pod turystów, a mieszkańcom miasta ciężko się przez to żyje. Chciałabym tak konstruować ofertę, żeby Kraków był atrakcyjny nie tylko dla osób, które chcą przyjechać na weekend, zostawić kilkaset funtów i w niedzielę wrócić do domu na zachodzie Europy, lecz też dla tych, którzy przyjadą na dłużej i będą odkrywać inne uroki Krakowa niż tylko puby i bary.

> Mam nadzieję, że moje środki na kampanię wyborczą będą pochodziły z PiS. Propozycjom wsparcia finansowego grzecznie odmawiam. Nie jestem zainteresowana wpłatami np. od firm deweloperskich, a takie oferty już się pojawiły

W mediach społecznościowych ciepło się o pani wypowiada i nawołuje do pomagania Patryk Jaki, którego konkurentem jest Rafał Trzaskowski, człowiek w szpagacie między Krakowem a Warszawą. Jak pani ocenia tę krakowskość kandydata PO?

Krakowski był on tylko w kampanii wyborczej przed trzema laty. Teraz jest już rdzennie warszawski. Trzymając kciuki za Patryka, mogę mu powiedzieć tak: Trzaskowski jest nieprzyjemnym kontrkandydatem. Potrafi się posuwać do mało eleganckich gestów, za które później pokątnie przeprasza.

Doświadczyła pani tego osobiście?

W ostatniej debacie przed wyborami parlamentarnymi kilkukrotnie zarzucił mi kłamstwo, gdy przypominałam, że rząd PO odznaczył dyrektora jednej z sieci handlowych Krzyżem Kawalerskim. Wiedział, że mam rację, a jednak w ważnej dyskusji radiowej szedł w zaparte. Później, po nocy, napisał na Twitterze: „Sorry”.

Prezydent Majchrowski mówi o pani w wywiadach: „Ładna, miła, kulturalna, ale nie samodzielna”, sugerując, że będzie pani musiała się liczyć z nakazami partii, która wystawia panią w wyborach.

Pan prezydent mówi to po raz kolejny i prowokuje mnie do mocnego komentarza. Spójrzmy na jego samodzielność. Przez wiele miesięcy deklarował, że nie będzie startował do kolejnych wyborów. Myślę, że to było szczere, on w mieście nie przejmował się nikim ani niczym. Ludzie z jego otoczenia mówili nawet, że skoro nie startuje, to nie musi się przejmować korkami, smogiem etc. Potem powiedział, że do startu przekonało go jego środowisko. To jaka jest prawda? Startuje, bo ma jakąś wizję Krakowa, czy wypycha go do władzy jego środowisko, które drży o posady?

Wielokrotnie słyszeliśmy i czytaliśmy, że Majchrowski i jego współpracownicy próbowali się dogadać w obawie przed wyświetleniem afer po pani zwycięstwie: on nie będzie kandydował, a pani nie będzie później grzebać w papierach miasta. Ile w tym prawdy?

Też o tym słyszałam, ale nie było żadnych prób dogadywania się. W ogóle nie podjęłabym takich rozmów. Powiem więcej, mam nadzieję, że moje środki na kampanię wyborczą będą pochodziły z Prawa i Sprawiedliwości. Wszelkim propozycjom wsparcia finansowego grzecznie odmawiam. Nie chcę, by ktokolwiek w mieście był – lub choć się czuł – uprzywilejowany. Nie jestem zainteresowana wpłatami np. od firm deweloperskich, a takie oferty już się pojawiły. Dilowania ze mną nie ma, nie było ani nie będzie.

eprasa.pl b95f64bea9

Skandal już się tak nie sprzedaje

Manuela Gretkowska oświadczyła, że zrywa z polityką, i natychmiast przykuła uwagę mediów. Znalazła się nawet na plotkarskich portalach, wśród celebrytów. Jak twierdzą wtajemniczeni, cel Gretkowskiej był prosty: ożywić podupadającą karierę pisarską i nakręcić sprzedaż ostatniej książki, która jest wydawniczą katastrofą



MAJA NARBUTT

Bez wątpienia Manuela Gretkowska jest mistrzynią autopromocji. Pokazała to już w początkach kariery: prywatny list Czesława Miłosza, który z zasady życzliwie odpisywał początkującym pisarzom, zamieściła jako wstęp do swej debiutanckiej książki „My zdies' emigranty". Udało się jej zostać ikoną popkultury, fascynującą czytelniczki luksusowych magazynów kobiecych. Nazwisko Gretkowskiej było rozpoznawalne nawet wśród tych, którzy nigdy jej książek nie czytali.

Popularność jeszcze wzrosła, gdy ponad 10 lat temu założyła Partię Kobiet, co – dziwnym trafem – zbiegło się wówczas z kampanią promocyjną jej nowej powieści. Ówczesny wydawca Gretkowskiej opowiadał mi z zachwytem, że wszystko złożyło się cudownie: pisarka przebiła się do telewizji, a książka nie ma żadnych intelektualnych udziwnień, za to drastyczne sceny łóżkowe, brutalny język i obsceniczne opisy.

Ale te czasy prosperity już minęły. Kariera Gretkowskiej znalazła się w martwym punkcie. – Chce ją znów ożywić. Manuela wie, jak wielka jest teraz potęga mediów społecznościowych. Dwa lata temu modne było komentowanie na Facebooku polityki, więc się tym zajęła. To nie przypadek, że zrobiła to też Maria Nurowska, która również nie może zrozumieć, dlaczego czytelnicy nie chcą już kupować jej książek. Jednak facebookowe komentarze o polityce też się już znudziły i nie prowadzą do niczego – mówi, zastrzegając anonimowość, znajoma Gretkowskiej.

Metoda, jaką przyjęły obie pisarki, jest mało wyrafinowana – ostro krytykować PiS, zarzucając mu niszczenie demokracji, i szczególnie dużo uwagi poświęcać Jarosławowi Kaczyńskiemu. Gretkowska w ostatnim wpisie określiła go mianem „skurdupla", co – rzecz jasna – wywołało entuzjazm jej fanów. Zmęczona toczoną na Facebooku walką polityczną pisarka oświadczyła też, że ma już dość i wycofuje się z komentowania polskiej rzeczywistości.

Zamierza za to zająć się wreszcie „sztuką, pięknem i turystyką", a także będzie szukać „egzystencji, duchowości i przyjemności". Symbolem poszukiwania duchowości jest zapewne zdjęcie, które przy okazji zamieszcza – ubrana w stringi Jane Birkin siedzi okrakiem na kolanach Serge'a Gainsbourga.

Wydaje się oczywiste, że histeryczna deklaracja pisarki to rozpaczliwa próba zwrócenia na siebie uwagi. Cel osiągnęła. Gdy jednak znów popadnie w medialny niebyt, zapewne dojdzie do wniosku, że musi o sobie przypomnieć, i oświadczy, iż ponownie musi dać wyraz swym politycznym emocjom.

OBLAĆ KRYTYKA

– Gretkowska chciała mnie czymś oblać czy uderzyć. Napisała o tym w niedawno wydanej książce, o czym dowiedziałem się z pewnym opóźnieniem od znajomych. Bo ja już po jej książki nie sięgam – mówi mi znany krytyk literacki Krzysztof Masłoń. Furię pisarki wywołała opublikowana kilka lat temu miażdżąca recenzja.

Masłoń nie przebierał w słowach – twórczość Gretkowskiej określił mianem „gównianej", stwierdził, że pisarka nie umie konstruować fabuły, prowadzić narracji ani pisać dialogów. Uznał wręcz, że to, co pisze Gretkowska, jest pornografią. I pojechał po bandzie, cytując w tym kontekście Hłaskę: „Dlaczego ona nie może zostać po prostu dziwką? Dlaczego musi jeszcze pisać?".

Zapewne posunął się za daleko w swej brutalności, choć można uznać,

eprasa.pl b95f64bea9



Fot. Kamil Piklikiewicz/DDTVN/East News

eprasa.pl b95f64bea9

że kto mieczem wojuje, od miecza ginie, a sama Gretkowska bez skrupułów przekracza wszelkie granice.

– Nic z jej twórczości nie zostanie, wszystko rozsypie się w pył i proch – mówi dziś Masłoń, najwyraźniej nie żałując bezlitosnej oceny.

Można się zastanawiać, czy równie boleśnie nie ranią pisarki ci literaccy krytycy, którzy o jej książkach po prostu milczą. Powoli staje się to regułą. Recenzję ostatniej publikacji Gretkowskiej „Na linii świata" zamieściła jedynie przyjazna jej zwykle „Polityka", zauważając jednak, że przez powieść „trudno się przebić". Brzmi to dla pisarza zabójczo.

– Tajemnica handlowa – słyszę w wydawnictwie Znak Literanova, gdy pytam o najnowszą książkę Gretkowskiej. Z nużącą monotonią, jak w grze w pomidor, pada odpowiedź: „tajemnica handlowa", niezależnie od tego, czy chodzi o nakład książki, liczbę sprzedanych egzemplarzy, wręcz zdawkową informację, czy sprzedaje się dobrze czy źle.

– Jest tak fatalnie, że można powiedzieć, iż w ogóle się nie sprzedaje. Zaliczka, którą dostała Manuela, jest większa niż to, co należy się jej ze sprzedaży – przyznaje znajoma pisarki.

Kampania promocyjna była efektowna – rozesłano książkę w czarnych okładkach, bez nazwiska autora. Rzekomo miał być nim młody, świetnie zapowiadający się pisarz. Złośliwi mogliby powiedzieć, że zrobiono tak dlatego, że nazwisko Gretkowskiej nie jest już magnesem, a nawet mogłoby zniechęcać do lektury. Koncepcja była jednak inna – zafascynowani recenzenci mieli się zachwycić, a potem nastąpiłoby wielkie „bum!": proszę państwa, tak, to dzieło Manueli Gretkowskiej!

Ale tak się nie stało. Z prostej przyczyny – książka nie zachwyciła nikogo. Nawet blogerki, które zasypano lawiną egzemplarzy, grzecznie podziękowały za miły gest i napisały o swoich odczuciach, z których wynikało, że powieść jest poplątana, chaotyczna i raczej nie wiadomo, po co powstała.

Ostatnią powieścią Gretkowskiej, która jeszcze wywierała wrażenie, był „Trans", ale od tego czasu minęło aż siedem lat. Trudno zresztą, by powieść nie wywierała wrażenia – była to w sposób oczywisty opowieść z kluczem. Wszyscy wiedzieli, że Gretkowska opisała swój romans ze znanym reżyserem Andrzejem Żuławskim, kryjącym się w powieści pod nazwiskiem Laski. Opisała mściwie, jak przystało na porzuconą kobietę, która nie może darować swych kiedyś akceptowanych upokorzeń. Sadomasochistyczny romans z Żuławskim, reminiscencje z małżeństwa z prawicowym publicystą Cezarym Michalskim, które rozpadło się na emigracji w Paryżu, były jak lep przyciągający czytelników. A wszystko brutalnie ekshibicjonistyczne, z elementami koprofagii i opisem odoru części intymnych kochanka. Po raz kolejny Gretkowska przesunęła wówczas granice pojawiającej się w literaturze wulgarności.

> Granice obrzydliwości dawno zostały przekroczone, ale najboleśniejsze dla Gretkowskiej musi być to, że jej prowokacje przestały się przekładać na literacki sukces

PLAYBOY I DOMINIKANIE

– Duża indywidualność – mówi krótko Krystyna Kaszuba, legendarna była naczelna „Twojego Stylu", i nie chce powiedzieć o Gretkowskiej nic więcej. A przecież mogłaby powiedzieć dużo. To właśnie dzięki niej pisarka przebojem wdarła się do prasy kobiecej. Ściśle rzecz biorąc, spory w tym udział miał właśnie Andrzej Żuławski. – Przekonał Kaszubę, że powinna się zainteresować zdolną dziewczyną, która w połowie lat 90. właśnie wróciła z emigracji z Paryża. Żuławskiemu trudno było odmówić, Gretkowska została wicenaczelną „Elle" – wspomina dziennikarka Liliana Śnieg-Czaplewska.

To spory paradoks. Nie tylko dlatego, że Gretkowska opisała swoją relację z Żuławskim jako niszczącą. Przede wszystkim dlatego, że chociaż założycielka Partii Kobiet jak mantrę powtarza slogany o zdominowaniu i wykorzystywaniu kobiet przez mężczyzn, jej życie świadczy o zupełnie czymś innym.

Luksusowa prasa kobieca wydawana w setkach tysięcy egzemplarzy sprawowała w latach 90. rząd dusz znakomitej części Polek. W zgrzebnej rzeczywistości okresu transformacji chłonęły nowinki z wielkiego świata, uczyły się, jak mają się ubierać, co czytać i czego pragnąć. Gretkowska szybko stała się ikoną popkultury – była modną pisarką, dziennikarką i scenarzystką.

Skandale sprzedawały się wówczas dobrze, a Gretkowska miała do nich talent, umiała szokować, choćby wtedy, gdy jako scenarzystka filmu „Szamanka" – oczywiście wyreżyserowanego przez Żuławskiego – wymyśliła słynną scenę, w której bohaterka je łyżeczką mózg kochanka. Jej popularność sięgała wówczas zenitu.

W pewnym momencie niemal nie można było otworzyć lodówki, by nie wyskoczyła z niej Gretkowska. W zadziwiający sposób udawało jej się połączyć wodę z ogniem, zjeść ciastko i je mieć.

Trudno to sobie wyobrazić, ale w tym samym czasie pisała do polskiej edycji „Playboya" i pisma dominikanów „W drodze", promując na zmianę seksualne wyzwolenie i rodzinne wartości. Publikowanie u dominikanów musi zdumiewać, bo w wypadku „Playboya" sprawa była oczywista – kiedy na kolegium redakcyjnym uznano, że należy znaleźć felietonistkę „atrakcyjną prowokatorkę", nikt nie miał wątpliwości, kogo wybrać.

– Mężczyznom zawsze się podobało, jak pisze Gretkowska. Kobiety mają tendencję do owijania rzeczy w bibułkę, tworzenia klimatów i nastrojów. A Manuela pisała fizjologicznie i obscenicznie, co podniecało czytelników – mówił mi kiedyś krytyk filmowy Tomasz Raczek, twórca i wieloletni redaktor naczelny polskiego „Playboya".

38/0618/F

eprasa.pl b95f64bea9

Wszystkich trochę zdumiewał kontrast między wulgarnością tekstów Gretkowskiej a jej powierzchownością – mówiąca kulturalnie modulowanym głosem, eteryczna, niemal bezcielesna kobieta z aureolą siwych natapirowanych włosów nie kojarzyła się z literaturą, którą nie tylko krytyk Krzysztof Masłoń uznawał za pornograficzną.

PODPASKA NA STOLE

– W towarzystwie kobiet Gretkowska nie brylowała, raczej była na drugim tle, wyciszona. Tak zapamiętałam ją ze spotkania w pałacyku Fanshawów, siedzibie Ireny Eris, gdy zakładała Partię Kobiet – opowiada Liliana Śnieg-Czaplewska.

Nie może uwierzyć, gdy mówię, że Gretkowska słynęła z towarzyskich prowokacji, a jej znajomi wspominają, jak podczas jednej z imprez położyła na stole, wśród talerzy i butelek, zakrwawioną podpaskę. – W takim razie doskonale wie, kiedy może sobie na coś takiego pozwolić – mówi zdumiona dziennikarka, nieświadomie podsuwając klucz do osobowości pisarki.

Niewątpliwie Gretkowska chłodno kalkuluje, kiedy prowokacje i skandale są dla niej użyteczne, a kiedy by jej zaszkodziły. Jest jednak pewien problem. Skoro zaczęła przygodę literacką od epatowania bohaterką o dwóch łechtaczkach, przeżywającą stereofoniczny orgazm, to wysoko ustawiła poprzeczkę literackiego skandalu. Podbijając bębenek, doszła do wulgarnej profanacji hostii i trudno sobie wyobrazić, by można było pójść dalej. Granice obrzydliwości dawno zostały przekroczone, ale najboleśniejsze dla Gretkowskiej musi być to, że jej prowokacje przestały się przekładać na literacki sukces.

Nie pomagają nawet histeryczne i obraźliwe wpisy na Facebooku, co najwyżej mogą zagwarantować krótkotrwały szum medialny. A najwyraźniej właśnie tak postanowiła funkcjonować Gretkowska, która nie ograniczała się wcale do krytyki polityków PiS. Na jej celowniku znaleźli się też uczestnicy „Tańca z gwiazdami". Małgorzata Rozenek i Radosław Majdan zostali wyśmiani jako przedstawiciele kiczowatych aspiracji polskiej klasy średniej. Rozenek natychmiast się zresztą zrewanżowała. Facebookowe starcie obu pań przypominało walkę w błocie, cios za cios, wyszydzenie wybotoksowanej twarzy i riposta w postaci wytknięcia siwych włosów. Portale plotkarskie miały prawdziwą ucztę i niewątpliwie Manuela Gretkowska jeszcze niejednokrotnie dostarczy im pożywki.

– To jest lekcja, którą już przerobili inni. Można się dostać na Pudelka, przez jakiś czas zawalczyć o klikalność, ale zupełnie nic z tego nie wynika. Tak nie sprzeda się ani jednej książki i każdy, kto dziś radzi pisarzowi, by obrał strategię skandalu, jest kretynem – mówi dziennikarka Karolina Korwin-Piotrowska, doskonale znająca mechanizmy medialne.

REKLAMA



25 lat
KASA STEFCZYKA
Zawsze u siebie

Już teraz złóż wniosek!
801 600 100
(koszt wg taryfy operatora)

kasastefczyka.pl

Przykład reprezentatywny z dnia 1.04.2018 r. dla Pożyczki Zaratka: Całkowita kwota kredytu wynosi 1000,00 zł. Zmienna roczna stopa oprocentowania dla całkowitej kwoty kredytu wraz z kredytowanymi kosztami (prowizją 0 zł) wynosi 9%. Rzeczywista roczna stopa oprocentowania (RRSO): 9,38%. Czas obowiązywania umowy – 48 miesięcy, 47 miesięcznych rat równych: 24,89 zł oraz ostatnia, 48. rata: 24,93 zł. Całkowita kwota do zapłaty: 1194,76 zł, w tym odsetki: 194,76 zł.
Pożyczka Zaratka dostępna wyłącznie w kwotach 1000 zł, 2000 zł, 3000 zł lub 4000 zł, dla Członków nieposiadających pożyczek lub kredytów w Kasie w okresie co najmniej 6 miesięcy przed dniem złożenia wniosku. Decyzja kredytowa zależy od indywidualnej oceny zdolności kredytowej. Wyprodukowano dnia 22.06.2018 r.

eprasa.pl b95f64bea9

Bronicie zachodniej cywilizacji



Fot. Daniel Pipes

Rządy w Polsce i na Węgrzech nie są idealne. Mają wady. Ale w jednej kwestii działają bezbłędnie: w kwestii kontroli granic przed imigrantami. A to dla mnie jest fundamentalne. Dlatego te kraje będą dalej kwitły i się rozwijały

***Z Danielem Pipesem**, amerykańskim politologiem i historykiem, prezesem ośrodka badawczego Forum Bliskowschodnie (Middle East Forum), rozmawia Aleksandra Rybińska*

Przyjmować muzułmańskich uchodźców czy ich nie przyjmować? – ta kwestia doprowadziła w ostatnich dwóch i pół latach do powstania głębokich podziałów w Europie. Kryzys imigracyjny pogrąży Unię Europejską?

Daniel Pipes: Kryzys imigracyjny to największy problem, z którym zmaga się cały Zachód. A podziały, które się pojawiły w toku tego kryzysu, są bardzo głębokie. Po latach budowania wielokulturowych społeczeństw nastąpił pewien zwrot. Ten zwrot symbolizują nie tyle kraje Europy Środkowo-Wschodniej, ile Austria i Włochy, gdzie powstały od końca 2017 r. rządy eurosceptyczne i antyimigranckie. Jest to zwiastun poważnych zmian, które moim zdaniem czekają Stary Kontynent. Wytwarza się nowy konsens mówiący o „nasyceniu" Europy imigrantami, szczególnie z kręgu kulturowego islamu. Coraz więcej państw UE uważa, że nie może ich więcej przyjąć.

Nie za późno na taką refleksję? Kanclerz Niemiec Angela Merkel w ostatnich latach wielokrotnie powtarzała, że „islam jest częścią Niemiec", a muzułmanie mieszkający w Europie będą integralną częścią europejskich społeczeństw.

Rywal pani kanclerz, były premier Bawarii i szef MSW Niemiec Horst Seehofer powiedział coś wprost przeciwnego, czyli że islam „nie jest częścią Niemiec". Jest to więc – jak widać – przedmiot sporu. A ten spór wygra moim zdaniem ostatecznie Seehofer. Tak naprawdę mamy jednak do czynienia z dwoma problemami: pierwszym jest imigracja, czyli przybywanie kolejnych obcych kulturowo ludzi do Europy, a drugim jest integracja tych, którzy już tu są. Pierwszy problem łatwo rozwiązać. Wystarczy chronić granice, patrolować Morze Śródziemne, krótko mówiąc: zamienić Europę w twierdzę. Jeśli Europejczycy będą chcieli podjąć takie kroki, to zapewne to zrobią. To nie takie trudne, to kwestia woli i pieniędzy. A brakuje na razie głównie tego pierwszego. Drugi problem jest o wiele trudniejszy do rozwiązania. Deportacja nielegalnych imigrantów czy przestępców nie jest zbyt skomplikowana. Ale co z tymi, którzy żyją w krajach zachodniej Europy od pokoleń, tworząc równoległe społeczeństwa? To będzie głównym wyzwaniem dla europejskich rządów i widać, że niektóre z nich już szukają jakiejś drogi wyjścia z tego impasu. Choćby duński rząd, który wprowadza nowe przepisy mające regulować wszystkie aspekty życia w imigranckich gettach w celu promowania asymilacji. Takich prób wymuszenia integracji, także środkami represyjnymi, będzie więcej. Będzie to trudne

eprasa.pl b95f64bea9

i zapewne doprowadzi do napięć, a może nawet do przemocy.

Kreśli pan dość ponury obraz przyszłości. Zapytam więc wprost: czy islam jest kompatybilny z liberalną demokracją?

Historycznie islam zawsze był religią, która dążyła do pełnej kontroli życia społecznego. I to jest zrozumiałe, by żyć bowiem w pełni muzułmańskim życiem, potrzebne są władze stosujące prawo islamskie, czyli prawo szariatu, i historycznie zawsze tak było. To oczywiście nie oznacza, że musi tak być w przyszłości, ale to zakłada inne rozumienie tego, co to znaczy być muzułmaninem, i inną relację muzułmanów z władzą. A o to będzie bardzo trudno.

Czyli potrzebna byłaby reforma islamu w kierunku – jak niektórzy to określają – „islamu light", czyli islamu w wersji oświeconej?

Tak. Islam może, a nawet powinien zostać zreformowany. Ale nic takiego obecnie się nie dzieje. Wręcz przeciwnie. Pierwsi muzułmańscy imigranci, którzy przybyli do Europy, nie dążyli do kontroli goszczącego ich społeczeństwa. Chcieli żyć spokojnie wśród swoich, zarobić na lepsze życie. Ale z biegiem lat, a minęły już dziesięciolecia, ich aspiracje wzrosły. Wielu przywódców społeczności muzułmańskich ma ambitne cele: zmianę natury społeczeństw, w których żyją, a nawet przejęcia nad nimi kontroli. Pojawiają się partie islamskie, od Bułgarii po Szwecję, i one mogą odegrać dużą rolę w przyszłości. Liczba muzułmanów w Europie stale rośnie i część z nich aspiruje do roli politycznego języczka u wagi, który będzie w stanie wymusić różne koncesje.

Mimo rosnącej świadomości co do zagrożeń wywodzących się z masowej imigracji takie kraje jak Polska czy Węgry są ostro krytykowane za to, że nie chcą przyjmować uchodźców z krajów muzułmańskich. Mówi się o „rosnącym populizmie" i ksenofobii na kontynencie, które mają mieć swoje epicentrum właśnie w Europie Środkowo-Wschodniej.

Byłem kilka tygodni temu w Polsce, a obecnie jestem na Węgrzech, i to właśnie dlatego, że fascynuje mnie to zjawisko. Zamierzam także odwiedzić pozostałe państwa Wyszehradu. Jestem zafascynowany tym, że kraje te powiedziały wyraźnie „nie" muzułmańskim imigrantom. Osobiście nazywam takie partie jak PiS czy Fidesz, holenderską PVV czy niemiecką AfD „cywilizacjonistami". Nie jest to skrajna prawica, bo partie te, jeśli chodzi o politykę gospodarczą i społeczną, sytuują się na lewicy. Nie nazywam ich także partiami populistycznymi, bo populistów można znaleźć również na skrajnej lewicy, choćby we Francji, ani nacjonalistami, bo nie o naród w tym wszystkim chodzi. Tylko o cywilizację, zachodnią cywilizację. Te partie rosną w siłę, ale co jest zdumiewające, jeśli chodzi o kraje Wyszehradu, to to, że nie reagują one na kryzys u siebie, tylko na kryzys, który ma miejsce gdzie indziej, u ich zachodnioeuropejskich sąsiadów. Uczą się na błędach innych, których nie chcą powtarzać. I jest to bardzo sensowna postawa. To naturalne i racjonalne chcieć kontrolować własne granice i zachować własną cywilizację. Nie dziwi mnie to wcale. Co mnie dziwi, to zaproszenie przez kanclerz Merkel ponad miliona imigrantów do Niemiec, niemających żadnych dokumentów tożsamości, bez żadnej kontroli.

Zwolennicy otwartych granic argumentują, że żyjemy w zglobalizowanym świecie, gdzie ciągle dochodzi do ruchów migracyjnych, nie da się więc stworzyć „społeczeństwa zamkniętego". Mylą się?

Znam te argumenty i mnie nie przekonują. To, co polski rząd robi i – jak rozumiem – chce dalej robić, to kontrolować, kto przybywa do kraju. Jest to rzeczą konieczną, a wręcz podstawową. Polska nie jest zresztą społeczeństwem zamkniętym, bo przyjęła ponad milion Ukraińców. W Polsce żyją też muzułmanie, i to nie tylko Tatarzy, lecz także imigranci z krajów islamskich, którzy przybyli niedawno. W końcu chodzi o to, by Polska pozostała taka, jaka jest. Sympatyzuję z tą postawą i nie rozumiem, dlaczego zachodnioeuropejskie kraje jej nie podzielają ani nie chcą zachować swojej tożsamości. Ma to coś wspólnego z poczuciem winy, z ich historią, szczególnie jeśli chodzi o Niemcy, ale także z demografią, czyli brakiem rąk do pracy. Jest wiele powodów, ale doprowadziło to do poważnego kryzysu w tych krajach wokół tożsamości, kultury, suwerenności i bezpieczeństwa. A to jest dopiero początek, bo ten kryzys w najbliższych latach jeszcze się zaostrzy. Zamachy terrorystyczne, do których doszło we Francji, to dopiero początek. Czekają nas gorsze rzeczy. Jestem pod tym względem pesymistą.

Polska jest także krytykowana za tzw. dobrą zmianę, czyli reformy przeprowadzane przez PiS, w tym reformę systemu sprawiedliwości. Był pan niedawno w Polsce. Podziela pan obawy jej zachodnich partnerów i Komisji Europejskiej?

Jestem Amerykaninem i nie podoba mi się próba rządu polskiego przejęcia kontroli nad sądownictwem. Tak jak nie podoba mi się obecna sytuacja mediów na Węgrzech. Jednocześnie uważam to za sprawy drugorzędne. Bledną wobec zagrożenia wywodzącego się z kryzysu imigracyjnego. System sądownictwa, system podatkowy to są rzeczy, które można zmienić. Można pozwolić sobie więc na błędy. Inaczej jest w przypadku imigracji. Tu nie stać nas na błędy, bo bardzo trudno je naprawić. Podsumowując: rządy na Węgrzech i w Polsce nie są idealne. Mają wady. Ale w jednej kwestii działają bezbłędnie: w kwestii kontroli granic. A to dla mnie jest fundamentalne. Dlatego te kraje będą dalej kwitły i się rozwijały. W przeciwieństwie do krajów zachodniej Europy, gdzie dojdzie do coraz większych wewnętrznych napięć. Kiedyś Polska będzie przyjmowała emerytów z Niemiec i Francji, gdy kryzys się tam zaostrzy, firmy z tamtych krajów przeniosą się nad Wisłę. Bo tu będzie bezpiecznie. W przyszłości kraje Europy Środkowo-Wschodniej prześcignę gospodarczo swoich zachodnich sąsiadów. Czy Unia Europejska do tego czasu przetrwa, jest jednak więcej niż wątpliwe.

eprasa.pl b95f64bea9



Fot. Krystian Maj/KPRM

Kogo boli deklaracja?

Przeciwnicy PiS zachowali się analogicznie do izraelskiej opozycji, tak jak ona próbują bojkotować osiągnięte z wielkim trudem porozumienie, bo nie służy im ono politycznie. O ile jednak w Izraelu – gdzie opozycja próbuje przedstawić deklarację jako klęskę – rozlega się emocjonalny wrzask, o tyle w antypisie panuje wokół niej zimne milczenie



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Każdy kolejny dzień, który upłynął od ogłoszenia 27 czerwca wspólnej deklaracji premierów Morawieckiego i Netanjahu, jest dowodem na to, że z konfliktu z Izraelem Polska wyszła z podniesioną głową. Choć z naszego punktu widzenia w dokumencie podpisanym przez obu premierów nie znalazło się nic przełomowego – ot, stwierdzono oczywiste fakty – to wrzawa i histeria, jakie podniosły się wkrótce potem w Izraelu, pokazują, jak głęboko cofnął się – przynajmniej w oczach własnej opinii publicznej – Beniamin Netanjahu.

eprasa.pl b95f64bea9

AMOK TRWA

Coś, co z naszej polskiej perspektywy nie jest żadnym ustępstwem (bo jakimż znowu ustępstwem jest przypomnienie faktu, że Polska nigdy nie była sojusznikiem Hitlera), dla wielu Żydów – przekonywanych od dziecka, że Polacy wraz z Niemcami ochoczo mordowali ich przodków – jest nawet nie tyle fałszem, ile wręcz bluźnierstwem. Nic dziwnego, że Netanjahu stał się celem ostrzału nie tylko ze strony politycznych przeciwników w rodzaju znanego z antypolskich oszczerstw Yaira Lapida, lecz i własnych koalicjantów, takich jak minister oświaty Naftali Bennett z partii Żydowski Dom.

Ataki na Netanjahu mają oczywiście polityczny charakter, jego rywale dostrzegli bowiem w zapisach deklaracji doskonały pretekst, aby uderzyć w szefa rządu i przyśpieszyć kolejne wybory. Jednak amok, w który wpadli, nie jest udawany, wynika on bowiem z głęboko zakorzenionych w Izraelu antypolskich emocji, które rozpalone w ostatnich miesiącach do czerwoności nie dadzą się tak łatwo ugasić.

Wspomniany wyżej Bennett określił deklarację jako „kompromitację pełną kłamstw" i wezwał premiera do jej odwołania. Zapowiedział też, że wprowadzi do szkół nowy blok edukacyjny oparty na omówieniu „szerokiej współpracy Polaków z nazistami, ich donoszeniu na Żydów, wydawaniu i mordowaniu". Odrzucenia deklaracji domagała się również podczas posiedzenia Knesetu w ostatnią środę Tamar Zandberg – deputowana z ramienia lewicowej partii Merec. Zandberg stwierdziła, że wspólny polsko-izraelski dokument jest „częścią haniebnego zjawiska, w którym Netanjahu oraz jego partia Likud połączyli siły z ugrupowaniami antysemickimi i neonazistowskimi na całym świecie".

Wątek oportunizmu Netanjahu, który dla własnych politycznych korzyści i utrzymania stanowiska gotów jest przehandlować największe świętości Żydów, pojawia się w Izraelu dość systematycznie. Publicysta dziennika „Yedioth Ahronoth" Sever Plocker napisał, że „ideologia nacjonalistyczna, populistyczna i lekceważąca prawa obywatelskie łączy Morawieckiego i Netanjahu, obaj mają wspólny światopogląd, więc znajdują wspólnotę interesów". A zatem rysuje nam się z tamtej strony taka linia ataku: oto polscy antysemici i potomkowie masowych morderców (czyli – z grubsza rzecz biorąc – wszyscy Polacy) wykorzystali oportunizm Netanjahu do oczyszczenia się ze swoich zbrodni, a Izrael im to umożliwił. Dlatego trzeba za wszelką cenę przywrócić stan poprzedni i odwołać deklarację. A jeśli to się nie uda, działać wbrew jej zapisom, czyli jeszcze głośniej krzyczeć o „polskich zbrodniach".

> Gdy kryzys udało się w końcu rozbroić, liberalne media poświęciły deklaracji polsko-izraelskiej krótką notkę lub zbyły ją milczeniem. Bo przecież nie tak to miało się skończyć

Na razie uchwała Knesetu odrzucająca deklarację Morawieckiego i Netanjahu nie będzie rozpatrywana. Parlament ma się nią jednak zająć po wakacjach, a więc najwcześniej w październiku. Trudno jednak liczyć na to, że przeciwnicy porozumienia z Polską tak łatwo ustąpią.

OKRĘŻNĄ DROGĄ

Podobnie jak wcześniej poszukują oni teraz wsparcia wśród żydowskiej diaspory w Ameryce. Po wydaniu przez instytut Yad Vashem oświadczenia, w którym twierdzi się, iż w deklaracji znajdują się „poważne błędy i oszustwa", głos zabrali również przedstawiciele waszyngtońskiego Muzeum Holokaustu. Nie odnosząc się bezpośrednio do deklaracji obu premierów, uderzają oni w jej treść nieco okrężną drogą. Otóż twierdzą, że usunięcie z ustawy o IPN spornych artykułów penalizujących przypisywanie Polakom udziału w zbrodniach niemieckich jest niewystarczające. Dlaczego? Bo – jak czytamy w komunikacie – „nadal możliwe jest, aby państwo angażowało się w postępowanie cywilne przeciwko osobom oskarżającym naród polski lub państwo polskie o udział w zbrodniach nazistowskich popełnionych przez Trzecią Rzeszę Niemiecką".

Wniosek, jaki płynie z tego komunikatu, jest czytelny. Polska powinna zrezygnować z jakiejkolwiek obrony swojego dobrego imienia i pogodzić się z tym, że będzie oskarżana – również jako państwo – o udział w hitlerowskich zbrodniach. Co w konsekwencji prowadzić musi do konkluzji, że brała udział w tych zbrodniach, a zatem była sojusznikiem Hitlera. Jest to całkowite zaprzeczenie deklaracji polsko-izraelskiej z 27 czerwca i próba odwrócenia jej skutków. Jeżeli bowiem państwo polskie będzie bronić swojego imienia, to wówczas – jak można wnioskować z komunikatu Muzeum Holokaustu – zwolni tym samym Izrael z jakichkolwiek zobowiązań wynikających z podpisanej deklaracji.

Wszystko to pokazuje, jak wielką furię wywołuje wśród wielu środowisk żydowskich jakikolwiek opór wobec narzuconej przez nie wizji historii i wynikających z niej przekłamań i fałszu. Wydaje się, że nawet odrzucenie sądowej formy rozstrzygania sporów i próba obrony faktów na poziomie debaty historycznej spotka się z agresją. Tym bardziej że trudno tu liczyć na szersze wsparcie.

ZIMNE MILCZENIE

Spójrzmy bowiem, jak zareagowały na deklarację Morawieckiego i Netanjahu liberalne media w Polsce, z „Gazetą Wyborczą" na czele. Wcześniej większość z nich głośno rozpaczała nad kryzysem w stosunkach z Izraelem i Stanami Zjednoczonymi. Gdy kryzys udało się w końcu rozbroić, poświęciły temu krótką notkę lub zbyły to milczeniem. Bo przecież nie tak to miało się skończyć.

eprasa.pl b95f64bea9



JOINT DECLARATION OF PRIME MINISTERS OF THE STATE OF ISRAEL AND THE REPUBLIC OF POLAND

1. Over the last thirty years, the contacts between our countries and societies have been based on a well-grounded trust and understanding. Israel and Poland are devoted, long-term friends and partners, cooperating closely with each other in the international arena, but also as regards the memory and education of the Holocaust. This cooperation has been permeated by a spirit of mutual respect for the identity and historical sensitivity, including the most tragic periods of our history.

2. Following the conversation between Prime Ministers Netanyahu and Morawiecki, Israel welcomes the decision taken by the Polish government to establish the official Polish group dedicated to the dialogue with its Israeli partners on historical issues relating to the Holocaust. It is obvious that the Holocaust was an unprecedented crime, committed by Nazi Germany against the Jewish nation, including all Poles of Jewish origin. Poland has always expressed the highest understanding of the significance of the Holocaust as the most tragic part of the Jewish national experience.

3. We believe that there is a common responsibility to conduct free research, to promote understanding and to preserve the memory of the history of the Holocaust. We have always agreed that the term "Polish concentration/death camps" is blatantly erroneous and diminishes the responsibility of Germans for establishing those camps.

The wartime Polish Government-in-Exile attempted to stop this Nazi activity by trying to raise awareness among the Western allies to the systematic murder of the Polish Jews.

We acknowledge and condemn every single case of cruelty against Jews perpetrated by Poles during the World War II.

We are honored to remember heroic acts of numerous Poles, especially the Righteous Among the Nations, who risked their lives to save Jewish people.

4. We reject the actions aimed at blaming Poland or the Polish nation as a whole for the atrocities committed by the Nazis and their collaborators of different nations. Unfortunately, the sad fact is that some people – regardless of their origin, religion or worldview – revealed their darkest side at that time. We acknowledge the fact that structures of the Polish underground State supervised by the Polish Government-in-Exile created a mechanism of systematic help and support to Jewish people, and its courts sentenced Poles for collaborating with the German occupation authorities, including for denouncing Jews.

5. We support free and open historical expression and research on all aspects of the Holocaust so that it can be conducted without any fear of legal obstacles, including but not limited to students, teachers, researchers, journalists and – with all certainty the survivors and their families – who will not be subject to any legal charges for using the right to free speech and academic freedom with reference to the Holocaust. No law can and will change that.

6. Both governments vehemently condemn all forms of anti-Semitism, and express their commitment to oppose any of its manifestations. Both governments also express their rejection of anti-Polonism and other negative national stereotypes. The governments of Poland and Israel call for a return to civil and respectful dialogue in the public discourse.

Liczono zapewne na upokorzenie Polski, jej międzynarodową kompromitację, tymczasem nie tylko do tego nie doszło, lecz wręcz przeciwnie – udało się wypracować dokument, który pozwolił obu stronom wyjść ze sporu z twarzą.

Pozostały więc tylko zgryźliwe komentarze w rodzaju kiepskiego żartu przewodniczącego klubu parlamentarnego PO Sławomira Neumanna, który stwierdził, że Mosad podyktował Polsce treść deklaracji, co można uznać za sugestię istnienia żydowskiego spisku. Sugestię tyleż niesmaczną, ileż – w świetle znanych i przytoczonych wyżej faktów – wręcz idiotyczną. Rzecz jasna, nikt z liberalnych mediów nie skrytykował wypowiedzi Neumanna (a wyobraźmy sobie, co byłoby, gdyby podobna bzdura wyrwała się z ust polityka PiS).

Deklaracja nie wzbudziła też znaczącego zainteresowania środowisk zajmujących się zawodowo pojednaniem polsko-żydowskim. A szkoda, bo była to dobra okazja, aby rozpocząć debatę na ten temat. Uznanie treści polsko-izraelskiego dokumentu jest absolutnym warunkiem takiego pojednania, i choć wydaje się ono dziś – w obliczu rosnącej fali antypolonizmu w Izraelu – całkowicie niemożliwe, to przecież jest to, obiektywnie rzecz oceniając, ogromny krok naprzód.

Niestety, wiele wskazuje na to, że przeciwnicy PiS zachowali się analogicznie do izraelskiej opozycji, tak jak ona próbują bojkotować osiągnięte z wielkim trudem porozumienie, bo nie służy im ono politycznie. O ile jednak w Izraelu – gdzie opozycja próbuje przedstawić deklarację jako klęskę – rozlega się emocjonalny wrzask, o tyle w Polsce – gdzie nikt poważny nie kwestionuje jej treści – panuje zimne milczenie.

GROSS Z GRABOWSKIM

Oczywiście to milczenie jest wymowne. Jawne kwestionowanie treści deklaracji byłoby politycznie zbyt ryzykowne – prowadziłoby bowiem do zgody na uznanie Polski za współsprawcę zagłady Żydów. A przecież w styczniu podczas pierwszej nowelizacji ustawy o IPN nawet PO nie odważyła się głosować przeciwko ściganiu takich poglądów. Chwalić deklaracji też nie można, bo tym samym należałoby uznać ją za sukces PiS, a to absolutnie nie wchodzi w rachubę.

Nie oznacza to jednak, że rozmaite kręgi antypisowskie – m.in. na liberalnej lewicy, w mediach i wśród historyków powielających jedynie słuszną wizję najnowszych dziejów – nie są wobec deklaracji krytyczne. Wręcz przeciwnie, z punktu widzenia ich interesów najbardziej pożądanym rozwiązaniem byłoby głuche uderzenie się w pierś. Ileż byśmy nasłuchali się pochwał na temat naszej dojrzałości, ileż padłoby słów o oczyszczającej prawdzie, o odwadze w zmierzeniu się z przeszłością. Jedyna deklaracja, jaką mogłyby zaakceptować te grupy, byłaby syntezą interpretacji Grossa z liczbami Grabowskiego. Uznanie za niezaprzeczalny fakt liczby 200 tys. Żydów zamordowanych przez Polaków (co równałoby się pogromom w całym kraju) to punkt wyjścia. Naturalną konsekwencją takiego założenia byłoby zapewne uznanie Polski za współsprawcę Holokaustu, a co za tym idzie – za sojusznika Hitlera. W tym kontekście wszelki opór przed komunizacją Polski po wojnie rzeczywiście można byłoby uznać za ostatnie podrygi faszystowskiej bestii. A ubeków za walczących z tą bestią rycerzy wolności. Efektem takiej wizji historii byłoby sprowadzenie prawicy (jako ideowych potomków dawnych antykomunistów) do roli formacji faszystowskiej i antysemickiej oraz – w rezultacie – próba jej eliminacji z życia publicznego, co zresztą już się gdzieniegdzie dzieje. I tak koło się domyka.

Tyle że ta wizja nie ma zbyt wiele wspólnego z rzeczywistością. Środowiska, które dla utrzymania własnej pozycji lub po prostu dla świętego spokoju byłyby gotowe tę fałszywą wizję przyjąć, na razie milczą. Ale nie liczmy za bardzo na ich dobrą wolę.

eprasa.pl b95f64bea9

Pacjent nie jest klientem



Mam wrażenie, że za dużo reform przeprowadzano z myślą o szpitalach, sprzęcie, personelu, gubiąc gdzieś po drodze pacjenta i jego potrzeby

Jacek Karnowski rozmawia z Łukaszem Szumowskim, ministrem zdrowia

Fot. Andrzej Wiktor (x2)

Jaki ma pan pomysł na służbę zdrowia? Czy to będzie rewolucja, czy mozolne poprawianie tego, co jest?

Łukasz Szumowski: Nie da się oddzielić jednego od drugiego. Na pewno Polacy nie oczekują rewolucji w służbie zdrowia. Służba zdrowia w ogóle nie lubi rewolucji. System ochrony zdrowia charakteryzuje się dużą inercją, na zmiany reaguje z opóźnieniem. Trzeba czekać co najmniej pół roku, czasami rok lub nawet dłużej, by zobaczyć efekty podejmowanych decyzji. Dlatego tak trudno tu o spektakularne, szybkie sukcesy. Niemniej jednak jest kilka głębokich zmian, które trzeba przeprowadzić.

Jakie to zmiany?

Dwie kwestie są kluczowe: dostępność świadczeń, czyli – potocznie mówiąc – kolejki, oraz kadry medyczne. Problem dostępności do świadczeń jest o tyle złożony, że można zwiększać ilość pieniędzy przeznaczonych na leczenie, a co za tym idzie – zwiększyć liczbę wykonanych zabiegów, a jednocześnie czas oczekiwania nie musi się skrócić – bo jest więcej pacjentów. Podam przykład operacji zaćmy: dużo zainwestowaliśmy, wykonujemy znacznie więcej zabiegów. Kiedyś mieliśmy najmniej operacji zaćmy w Europie w przeliczeniu na liczbę mieszkańców, dziś jesteśmy już w niezłym miejscu. Kolejki się skróciły, ale nie tak bardzo, jak można było oczekiwać, ponieważ wiele osób nadrabia zaległości albo zapisuje się na zapas.

Nie mam wątpliwości, że będzie pan rozliczany głównie z kolejek. Poza zaćmą są jakieś sukcesy?

Mogę wskazać także na operacje stawu biodrowego czy kolanowego. Koncentrujemy się również na badaniach rezonansu magnetycznego oraz tomografii komputerowej, które są kluczowe w onkologii, kardiologii, ortopedii, chorobach wewnętrznych, w zasadzie wszędzie. Dlatego musimy polepszać wskaźniki dostępności.

eprasa.pl b95f64bea9

Myślę, że po przełomie roku będzie to już odczuwalne. Czas oczekiwania powinien wynosić najwyżej kilkanaście, a nie kilkadziesiąt dni.

System służby zdrowia sprawia wrażenie rozwibrowanego. Pan podziela tę opinię?

Tak. To rozwibrowanie dotyczy przede wszystkim grup zawodowych z obszaru zdrowia. Z jednej strony wciąż występują zapóźnienia w sferze warunków pracy i płacy. Z drugiej strony mamy ludzi, którzy jakoś sobie radzą, okupując to ciężką pracą; śmiertelność wśród lekarzy zabiegowców czy np. anestezjologów jest znacznie wyższa od średniej. Dostrzegamy również zjawisko polegające na tym, że niepokoje w obszarze zdrowia przekładają się na szeroko pojęty niepokój społeczny.

Informacja o proteście pielęgniarek w Rzeszowie rezonuje bardzo szeroko.

Tak. W tym konkretnym przypadku i w kilku innych szpitalach pielęgniarki poszły na zwolnienia. Nie chcę tego oceniać, niech robią to odpowiednie instytucje kontrolujące, bo przecież nie mamy żadnej epidemii. Każdy z nas ma kontakt z pielęgniarkami i lekarzami, dlatego niezadowolenie tych środowisk, ich ocena rządu i obozu politycznego rozchodzą się szeroko.

Nikogo nie obrażając, wydaje się, że środowiska medyczne stają się coraz bardziej roszczeniowe. Właściwie nic innego się nie liczy. W tych warunkach kulturowych odbudowa powszechnej, publicznej służby zdrowia jest chyba niemożliwa.

Mam nadzieję, że jednak jest możliwa. Pielęgniarki podnoszą argument demograficzny: spośród 250 tys. pracujących sióstr tylko 40 tys. ma mniej niż 40 lat. Problem więc istnieje. Ale płace pielęgniarek są już bardzo zróżnicowane: od rzeczywiście niskich do całkiem niezłych wynagrodzeń pielęgniarek funkcyjnych. To komplikuje rozmowy z całym środowiskiem. Chcę jednak rozmawiać i z każdą grupą zawodową rozmawiałem już kilkakrotnie. Proponujemy nowe metody wspierania, np. stypendia zawodowe dla pielęgniarek wchodzących bądź powracających do zawodu. Są pierwsze dobre sygnały: w 2017 r. pracowało 10 tys. pielęgniarek więcej niż rok wcześniej.

Po proteście rezydentów można się zastanawiać, czy część służby zdrowia nie zechce rzucić rządowi wyzwania z powodów politycznych. Widać było w tym środowisku silne wpływy lewicy.

Może tak było, ale akurat te osoby, które ze mną negocjowały, nie były ideologicznie podburzone. Rozwiązanie, które wspólnie wypracowaliśmy, a które zakłada co najmniej dwa lata pracy w Polsce po zakończeniu specjalizacji, ma wręcz charakter patriotyczny.

> Jest kilka głębokich zmian, które trzeba przeprowadzić. Dwie kwestie są kluczowe: dostępność świadczeń, czyli potocznie mówiąc kolejki, oraz kadry medyczne

Może warto ten model rozszerzać?

Na pewno warto, choć pamiętajmy, że od innych grup zawodowych, za których kształcenie też płaci państwo, choć znacznie mniej, nikt nie oczekuje obowiązkowej pracy w kraju. Problem wyjazdów za granicę dotyczy przede wszystkim lekarzy. Pielęgniarki najczęściej migrują do innych zawodów, np. kosmetycznych. W tym przypadku decydujący jest poziom zarobków.

Czy wobec emigracji lekarzy nie warto rozważyć ułatwień dotyczących nostryfikacji dyplomów i prawa wykonywania zawodu dla lekarzy np. ukraińskich?

To jest bardzo delikatna materia. Nikt przecież nie chce, byśmy obniżali jakość świadczeń. Z drugiej strony Polska ma wyjątkowo niesprzyjające aplikantom procedury nostryfikacji. Dlatego rozważamy wprowadzenie niemieckich zasad, czyli lokalnego prawa do wykonywania zawodu u jednego świadczeniodawcy na określony okres. Pracodawca nadzoruje wówczas również jakość pracy takiej osoby.

Rozwibrowanie służby zdrowia dotyczy też perspektywy pacjentów. Wielu ludzi, którzy rzadko widzą lekarza, nawet nie wie, gdzie się zgłosić w razie choroby. Tyle razy zamieszano w garnku, że trzeba sporego wysiłku, by wiedzieć gdzie i co.

System opiera się na lekarzach rodzinnych, którzy mają koordynować leczenie na poziomie najniższym, ewentualnie kierować dalej. Faktycznie osoby, które mało korzystają ze służby zdrowia, często nie wiedzą, gdzie jest ich lekarz rodzinny. Ta wiedza powinna być bardziej powszechna.

Przez lata wiele osób sądziło, że wystarczy prywatne ubezpieczenie z dostępem do prywatnej kliniki i problem publicznej służby zdrowia już nas nie dotyczy.

Dziś już wiemy, że rynek nie ureguluje wszystkiego. Leczenie ludzi nie jest usługą taką jak każda inna. Pacjent nie może przyjść i powiedzieć: „Proszę mi amputować prawą nogę". Pacjent nie jest klientem. To jest zupełnie inna relacja. W dodatku ogromna większość pieniędzy na leczenie pochodzi z kasy publicznej. Dziś chcemy iść w kierunku systemu bardziej scentralizowanego. Stąd wdrożenie sieci szpitali czy upaństwowienie ratownictwa medycznego.

Socjalizm, można powiedzieć.

To przesada. Ciekawe, że inne państwa europejskie podejmują bardzo podobne ruchy. Wiele krajów doszło do podobnego wniosku: wycena wszystkiego i bazowanie na zasadzie kupna-sprzedaży nie do końca się sprawdza w opiece nad ludźmi. Tym bardziej że dla zdrowia populacji kluczowe znaczenie mają profilaktyka, edukacja,

eprasa.pl b95f64bea9



opieka nad przewlekle chorymi. Tego już nie da się w prosty sposób wycenić jako jednorazowej sprzedaży usługi.

Z tej naszej rozmowy wynika, że rewolucyjnych zmian pan jednak nie planuje. Będzie powolne poprawianie, ulepszanie, korygowanie.

Bieżąca działalność jest bardzo ważna, bo bez spokoju nie ma mowy o głębszych zmianach. A co do planów – toczymy debatę pod hasłem „Wspólnie dla zdrowia". Chodzi o wypracowanie wizji tego, gdzie chcemy być za lat pięć, a gdzie za lat 15. Co zrobić, by system poprawiał się stabilnie? System zdrowia musi być bowiem stale reformowany. Nie ma kraju, który by powiedział: wszystko jest świetnie, niczego nie zmieniamy. Czasem są to zmiany wręcz rewolucyjne, np. Dania radykalnie zmniejsza liczbę szpitali, z kilkudziesięciu do wręcz kilku.

Gdy pacjenci słyszą o debatach, które mają odpowiedzieć na pytanie, co robić, to pewnie od razu czują się gorzej.

Jesteśmy naprawdę w szczególnym momencie. Rząd Prawa i Sprawiedliwości pierwszy powiedział jasno, że zdrowie jest priorytetem, i dlatego zwiększamy nakłady. I to skokowo. W latach 2018–2024 przeznaczymy na ochronę zdrowia 830 mld zł, a w latach 2008–2014 było to 460 mld zł.

Będzie więc prawie dwukrotnie więcej pieniędzy?

Dlatego warto pomyśleć nie tylko, jak łatać dziury i jak przeżyć, lecz także jak zbudować naprawdę dobrą służbę zdrowia.

Bo – jak pan powiedział, przywołując św. Marka – nikt nie wlewa młodego wina w stare bukłaki. Bo ono albo rozsadzi bukłaki, albo wycieknie.

Stary system trzeba też stale uszczelniać, choćby w obszarze leków. W Polsce mamy bardzo dobry system refundacyjny, któremu zawdzięczamy niskie ceny leków. To jednak napędza mafie lekowe, które wywożą medykamenty za granicę. Dlatego zmieniamy prawo, współpracujemy z inspekcją drogową, z Krajową Administracją Skarbową. Do tej pory inspekcja farmaceutyczna była niemal bezradna, nie mogła np. kontrolować transportu. Nie będzie też można posiadać jednocześnie hurtowni i zakładu leczniczego, co do tej pory pozwalało prowadzić obrót lekami bez dokumentów. W najbliższych tygodniach przedstawimy kolejne rozwiązania, także dotyczące wysokości kar za nielegalne działania. Dziś kara 50 tys. zł jest taka sama dla rodzinnej apteki i dla wielkiej sieci, która ma miliardowe obroty.

Przemysł farmaceutyczny należy do najbardziej agresywnych graczy na świecie. Czy mam pan pewność, że w Polsce wielkie koncerny nie czerpią nienależnych korzyści z relacji z państwem? Czy nie ma wymuszania refundacji, zawyżania cen?

Mamy też manipulowanie pacjentami, np. przekonywanie ich, że dany lek, kosmicznie drogi, uzdrawia. Podczas gdy na podstawie badań wiadomo, że on nie uzdrawia, a jedynie odrobinę przedłuża życie. Na refundację leków przeznaczamy publiczne pieniądze i musimy je wydawać tak racjonalnie i efektywnie, jak to tylko możliwe. Na szczęście w zakresie lobbingu mamy nie najgorsze prawo. De facto prowadzimy zakupy centralne pod parasolem i ochroną służb za to odpowiedzialnych. Wszystkie osoby, które uczestniczą w tym procesie, podlegają weryfikacji. Nasz system zakupów jest zresztą doceniany i podpatrywany przez kraje sąsiednie.

Jeśli już mówimy o podpatrywaniu: czy my także w służbie zdrowia chcemy wzorować się na jakimś państwie?

Nie ma idealnego modelu do naśladowania, ponieważ każdy kraj jest inny. Występują różne systemy składkowe, modele konkurencyjnych kas chorych, modele budżetowe. Nasz system, biorąc pod uwagę nakłady, nie jest wcale taki zły. Główny problem przez całe lata był boleśnie prosty: strasznie mało pieniędzy. To było ledwie 4 proc. PKB.

Realnie więcej, jeśli dodać koszty ponoszone z kieszeni prywatnych.

Tak, ale chcemy przecież budować system dla wszystkich. Powoli idziemy do przodu. Mamy coraz lepiej wyposażone szpitale i coraz lepsze warunki leczenia. Zdarzają się oczywiście niedociągnięcia, a to kiepskie jedzenie, a to zaniedbany oddział, ale baza lokalowa ewidentnie się poprawia.

To rzeczywiście widać.

Poprawiają się też wynagrodzenia. Pielęgniarki dostają 1,6 tys. zł brutto więcej, co jest wzrostem ogromnym w stosunku do tego, ile zarabiały kilka lat temu. Lekarze też mają przyzwoite dochody, inna sprawa, że ciężko pracują. Oczywiście wciąż są grupy, które mają gorzej, i dlatego np. zaproponowaliśmy 6750 zł dla tych lekarzy, którzy pracują w jednym miejscu. Powoli się poprawia. Powoli, ale jednak.

To wszystko na tle, jak mówił premier Morawiecki w tygodniu „Sieci", „małego cudu gospodarczego". Mamy ogólny wzrost aspiracji ekonomicznych i właściwie zanik bezrobocia w wielu regionach. Presja płacowa będzie z pewnością jednym z pana głównych problemów.

eprasa.pl b95f64bea9

Zwiększają się nakłady na służbę zdrowia, ale oczekiwania rosną jeszcze szybciej. Dlatego musimy działać w sposób rozsądny i pamiętać, że dla Polaków najważniejsze są nie płace lekarzy czy pielęgniarek, ale namacalne efekty, czyli dostęp do lekarza i jakość leczenia. Mam wrażenie, że za dużo reform przeprowadzano z myślą o szpitalach, sprzęcie, personelu, gubiąc gdzieś po drodze pacjenta i jego potrzeby.

Pacjenta łatwo zgubić. Nie brakuje doniesień o wręcz brutalnym traktowaniu, zwłaszcza ludzi starszych.

Zdarzają się sytuacje patologiczne i trzeba z nimi walczyć. Jeśli ktoś uległ znieczulicy, powinien pójść na urlop i odpocząć od pacjentów. To także jest efekt przeciążenia, zabiegania, ciągłych nerwów. Wiele zależy od kierownictwa, od ordynatora. Ryba psuje się od głowy. Mnie uczył zawodu prof. Franciszek Walczak, który mógł mieć najgorszy dzień, ale dla pacjentów zawsze był uprzedzająco miły i tego od nas wszystkich wymagał.

Każda służba zdrowia musi się dziś mierzyć ze stałym rozszerzaniem granic tego, co możliwe. I co jednocześnie jest strasznie drogie.

Żadnego kraju, nawet USA czy Szwajcarii, nie stać dziś na finansowanie leczenia, które by wykorzystywało wszystkie dostępne leki i technologie medyczne. Mamy w Polsce bardzo szeroki koszyk świadczeń gwarantowanych, pacjent dostaje u nas niemal pełną obsługę. Koszyk jest oczywiście stale przeglądany. Staramy się też na nowo wycenić procedury leczenia. Ledwie 20 proc. pacjentów było dotychczas przeanalizowane pod względem kosztów leczenia. Dlatego niektóre szpitale zawsze przynoszą straty, a inne są dochodowe.

Nie wiemy, ile co kosztuje?

Tak, wciąż nie wiemy wszystkiego. Na wiosnę przyszłego roku, kiedy zakończymy analizy, powinniśmy dysponować głębszą wiedzą. Wówczas będzie się można przymierzyć do zbilansowania systemu na nowo.

Pan mówi, że koszyk gwarantuje niemal wszystko. Skąd więc te zbiórki na leczenie osób ciężko chorych?

Do zbiórek trzeba podchodzić ostrożnie. Wiem z własnego doświadczenia, że zdarzają się zbiórki na sfinansowanie operacji za granicą, które są wykonywane w Polsce, a co więcej – finansowane ramach koszyka świadczeń gwarantowanych.

> Musimy polepszać wskaźniki dostępności do badań rezonansu magnetycznego oraz tomografii komputerowej. Myślę, że po przełomie roku będzie to już odczuwalne. Czas oczekiwania powinien wynosić najwyżej kilkanaście, a nie kilkadziesiąt dni

Jeśli już mówimy o zagranicy: kontakt ze służbą zdrowia, także zachodnią, np. brytyjską, często przywraca proporcje. I Polak zaczyna doceniać to, co ma.

To jest prawda. Wszyscy Polacy wracający z Wielkiej Brytanii deklarują, że już nie będą narzekali. Tam na SOR często czeka się wiele godzin i nie ma zmiłuj, choćbyś ledwo dychał.

U nas na SOR też zdarzają się dantejskie sceny.

Niestety tak, dlatego staramy się to zmienić. Na SOR muszą trafiać ludzie najciężej chorzy, potrzebujący pilnej pomocy. Dziś jeśli kogoś boli głowa, to też idzie na SOR. A przecież powinien trafić do gabinetu nocnej pomocy lekarskiej, dostępnego obok SOR. SOR to Szpitalny Oddział Ratunkowy, a więc obejmujący najcięższe przypadki.

W naszej rozmowie wspomnieliśmy o profilaktyce. Tu na plan pierwszy wysuwa się jeden problem: epidemia otyłości. Naprawdę zatrważająca. Trzeba działań radykalnych.

Problem całego świata zachodniego. Kultura fotela, kanapy i telewizora robi swoje. W sklepikach szkolnych są wciąż produkty wysokosłodzone, których spożywanie prowadzi do uzależnienia od cukru. Musimy zmienić nawyki żywieniowe całych pokoleń, co jest bardzo trudne. Trzeba także myśleć o zmianach prawnych, podatkowych. To samo dotyczy suplementów diety, które konsumujemy w szalonych ilościach, a których skuteczność jest dyskusyjna.

W krajach zachodnich mówi się nawet o ograniczaniu dostępu do pewnych świadczeń ludziom, którzy nie walczą z otyłością.

Postawił pan ważne pytanie: czy pacjent ma tylko prawa, czy ma także obowiązki. Jeśli uznamy, że ma także obowiązki, to powinien wykonywać badania profilaktyczne, powinien dbać o zdrowie, podejmować aktywność fizyczną, dbać o zbilansowaną dietę. A jeśli pacjent nie wypełnia swoich obowiązków, to czy powinien ponosić większe koszty?

Jaki los czeka Centrum Zdrowia Dziecka – placówkę kluczową dla polskiego systemu służby zdrowia, ale bardzo zadłużoną.

CZD to szpital na poziomie światowym. Koszty nowoczesnego leczenia są jednak tak duże, że rzeczywiście ma już kilkaset milionów długu. Samo przykręcanie śruby niewiele tu jednak pomoże. Oczywiście potrzebny jest dobry zarząd, ale także właściwa wycena tych wysoko specjalistycznych procedur. To wiąże się z koniecznością dostrojenia sieci szpitali: wysoko referencyjne ośrodki muszą mieć zapewnioną odpowiednią wycenę, a szpitale powiatowe nie powinny być obciążane nadmiernymi obowiązkami.

eprasa.pl b95f64bea9



Dodatek sfinansowano z funduszu prewencyjnego

PZU

Organizatora akcji Pomoc To Moc

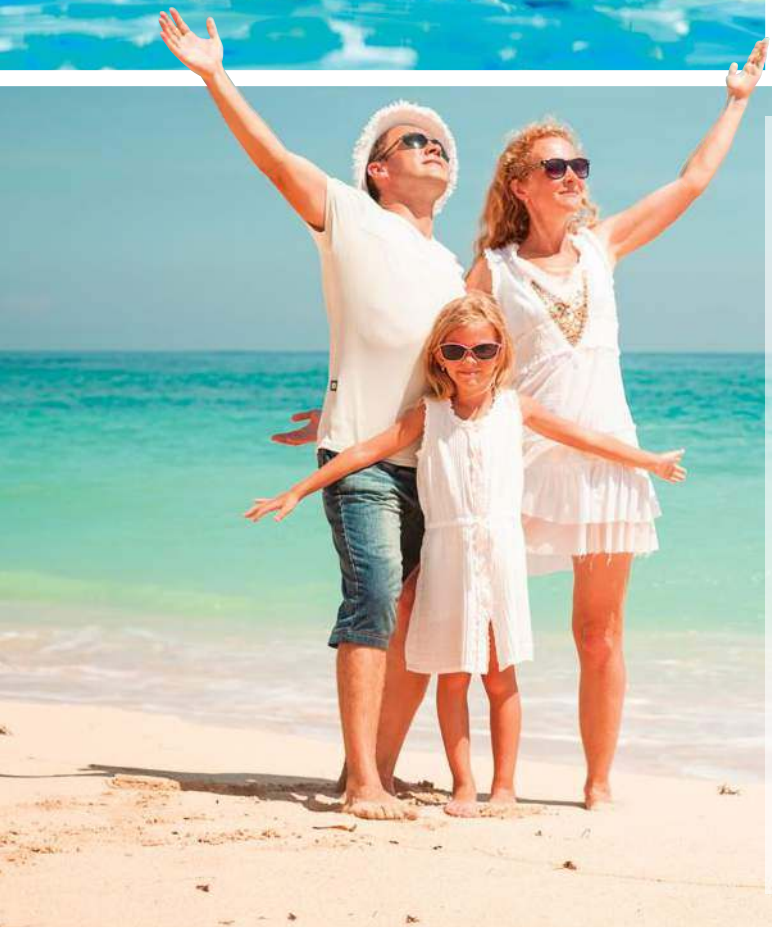
Jak bezpiecznie przeżyć wakacje

Fot. Shutterstock | 650738AF

eprasa.pl b95f64bea9







Mówi się, że najbezpieczniej to z domu nie wychodzić, ale z drugiej strony przecież do odważnych świat należy. Wakacje to z pewnością ten czas w roku, kiedy bliższe nam jest to drugie porzekadło. O domowych pieleszach będziemy marzyć w zimne jesienne wieczory, a latem, nawet kiedy pogoda nas nie rozpieszcza, chcemy wreszcie się wyrwać z naszych czterech ścian. By jednak wybierając się na letni wypoczynek, być równie bezpiecznym jak pod własnym dachem, warto pamiętać o kilku żelaznych zasadach.

Nigdy zatem dość przypominania o zasadach bezpiecznej kąpieli, bezpiecznego podróżowania, bezpiecznego uprawiania sportu czy odpowiedniego zabezpieczenia mieszkania pozostawionego bez opieki. Wskazówki sprzed pół wieku nie straciły na aktualności, ale niestety katalog zagrożeń, z jakimi mamy do czynienia podczas wakacji, stale się poszerza. Wiele z nowych zagrożeń fundujemy sobie sami, chwaląc się swoim prywatnym życiem w internecie lub łamiąc przepisy na autostradach i drogach szybkiego ruchu, śpiesząc się na długo wyczekiwany urlop. Pamiętajmy jednak, że podstawowym warunkiem udanego wypoczynku jest powrót w zdrowiu do własnego bezpiecznego domu.





b95f64bea9



Dlaczego tak często toną dobrzy pływacy?

Ci, którzy nie umieją pływać, boją się głębokiej wody

Fot. Shutterstock x6

eprasa.pl b95f64bea9



Rzadko się słyszy, by przyczyną czyjegoś utonięcia było to, że człowiek ten nie umiał pływać. Osoby nieumiejące pływać zazwyczaj stronią od głębokiej wody, znają swoje możliwości i nie podejmują zbędnego ryzyka. Topielcy to najczęściej dobrzy pływacy, a przynajmniej sami mający o sobie takie zdanie. Brawura, alkohol czy wskakiwanie do wody w miejscach niebezpiecznych to najczęstsze przyczyny tragedii nad wodą od lat. I mimo cyklicznie powtarzanych apeli nic się w tej sprawie nie zmienia. Zasady bezpiecznego korzystania z kąpieli latem zawsze jednak warto przypomnieć.

Po pierwsze, wbrew temu, co sami jesteśmy w stanie sądzić, niewielu z nas pływa naprawdę dobrze. Samo pływanie nie ogranicza się do bezbłędnego pływania żabką, kraulem czy innym stylem. Taka umiejętność nie pomoże nam, gdy złapie nas skurcz, a my będziemy 200 m od brzegu. Najważniejsze jest tzw. półpasywne utrzymanie się na wodzie. Chodzi o to, że w momencie kryzysu większość osób wpada w panikę i idzie na dno. A przecież ciało ludzkie unosi się na wodzie i wystarczy się położyć na plecach, skrzyżować ręce na klatce piersiowej i czekać, aż kryzys minie. Nie jest to łatwe w sytuacji, w której zagrożone jest nasze życie, dlatego warto przejść szkolenie pływackie, na którym specjaliści wyuczą nas takiej techniki.

Brawura to wróg pływaka

Kolejnym problemem jest brawura i przecenianie swoich możliwości. Wiele osób umiejących pływać tonie z powodu własnej nieodpowiedzialności. Często młodzież (choć opisane za chwilę zachowania zdarzają się także dorosłym) decyduje się np. na przepłynięcie całego akwenu. Podczas takiego wyzwania wielce prawdopodobne jest, że opadnie się z sił. Bardzo często ludzie próbują wówczas za wszelką cenę utrzymać się na wodzie, co może skutkować nawet wciągnięciem pod wodę tego, który śpieszy tonącemu na ratunek. Aby uniknąć takich sytuacji, warto czasem schować dumę oraz ambicję do kieszeni i cieszyć się bezpiecznym wypoczynkiem.

Jak pokazują statystyki, do największej liczby utonięć dochodzi w miejscach niestrzeżonych, czyli na tzw. dzikich kąpieliskach. Są one nieprzystosowane do kąpieli, a także niepilnowane przez ratowników wodnych. Nigdy nie wiemy, co może być na dnie ani jak głęboko ono się znajduje, dlatego szczególnie niebezpieczne jest skakanie do wody z pomostów, platform lub drzew. Wiele przypadków, w których skoczek trafia na niezbadany grunt, kończy się kalectwem lub śmiercią. Jeśli chodzi o akweny wodne, to najbardziej niebezpieczne są rzeki. Ich silne prądy mogą nas porwać, a poza tym zmieniają dno tak, że każdego dnia jest inne.

Wiele wypadków zdarza się także na strzeżonych kąpieliskach, ale po godzinach pracy ratowników lub przy zakazie kąpieli. Miejmy na uwadze, że wywieszona czerwona flaga oznacza absolutny i bezwarunkowy zakaz wchodzenia do wody. Pamiętajmy, że ratownicy nie wywieszają jej na złość turystom ani z lenistwa, tylko w trosce o nasze bezpieczeństwo. Nawet jeśli nam się wydaje, że warunki są doskonałe, świeci słońce, jest idealna temperatura, to i tak w wodzie mogą czyhać na nas różne niebezpieczeń-

eprasa.pl b95f64bea9

stwa. Najpoważniejszymi są prądy morskie, które mogą występować nawet w płytkiej wodzie. Potrafią one zwalić człowieka z nóg i wciągnąć kilka metrów w stronę morza, utrudniając powrót na brzeg.

Piłeś? Nie pływaj

Najwięcej utonięć, poza kąpaniem się w miejscach niestrzeżonych, zdarza się w wyniku spożywania alkoholu przed wejściem do wody. W ubiegłym dziesięcioleciu prawie co czwarta ofiara utonięcia była pod wpływem alkoholu. Już nawet wypicie jednego piwa może mieć fatalne konsekwencje. Należy bowiem pamiętać, że w pełnym słońcu upijamy się znacznie szybciej. W wysokiej temperaturze bardziej się pocimy, przez co alkohol dostaje się do naszego organizmu mniej rozrzedzony. To z kolei sprawia że nasze ciało jest osłabione, mamy dłuższy czas reakcji, pojawia się brawura. Wtedy wbiegnięcie rozgrzanego człowieka do zimnej wody może prowadzić do szoku termicznego, który doprowadza do skurczu mięśni i w konsekwencji do utonięcia.



Rozmowa z Tomaszem Wiśniewskim, ratownikiem z Sopotu

Jak skutecznie zabezpieczyć się przed utonięciem, będąc zwyczajnym plażowiczem?

Najłatwiej byłoby w ogóle się nie kąpać, ale to by się mijało z celem wypoczynku nad wodą. Ludzie przeważnie toną z własnej winy, przede wszystkim po spożyciu alkoholu. Często toną też osoby uprawiające sporty wodne, które pływają bez odpowiedniego sprzętu, w tym bez kamizelek. Dlatego przed udaniem się na kąpielisko należy zapamiętać trzy złote zasady bezpiecznej kąpieli: kąpać się w miejscach do tego wyznaczonych, gdzie są ratownicy w pobliżu. Nie wchodzić do wody po spożyciu alkoholu, niezależnie w jakiej ilości. Słuchać się zaleceń ratownika. Nie jesteśmy po to, aby przeszkadzać, ale żeby pomagać i ratować ludzi. Należy zwracać uwagę na wywieszone przez ratownika flagi. No i dodatkowo pamiętajmy o dzieciach, które bardzo łatwo mogą się zgubić na kąpielisku. Zwracajmy przede wszystkim na nie naszą uwagę.

Dlaczego często toną dobrzy pływacy?

Ludzie, którzy trenują pływanie, mają spory respekt do wody, a ci, którym jedynie się wydaje, że pływają wyśmienicie, często przeceniają swoje umiejętności albo są przekonani, że skoro do tej pory nic im się nie stało, to nigdy się nie stanie. Woda to żywioł, a z żadnym żywiołem nie wygramy. Możesz być bardzo dobrym pływakiem, a wystarczy, że złapie cię skurcz, wyziębisz swój organizm i znajdziesz się w trudnej sytuacji, gdy porwie cię prąd wsteczny – ludzie nie wiedzą, jak się wtedy zachować.

Czy miałbyś jeszcze jakieś porady dla naszych czytelników?

Dodam, że warto znać numer alarmowy, pod który należy dzwonić w sytuacji zagrożenia życia. Jest to 601 100 100. Cenne jest także posiadanie aplikacji „Ratunek" dostępnej na IOS oraz na Androida. ●

Tonący nie krzyczy

A jak rozpoznać, że ktoś się topi? Co robić w sytuacji, gdy ktoś w wodzie potrzebuje pomocy? Przede wszystkim osoba, która tonie, tonie w ciszy. Krzyczący i machający rękoma człowiek to stereotyp, który został nam po amerykańskich serialach typu „Słoneczny patrol". Tonący nie mają sił krzyczeć, ich usta wynurzają się na pół sekundy, sekundę, aby zaczerpnąć powierza. Jeśli podejrzewamy, że ktoś może tonąć, powinniśmy zawołać do tej osoby, czy wszystko z nią w porządku. Jeśli nie uzyskamy odpowiedzi, musimy jak najszybciej powiadomić o tym ratownika. A co, jeśli nie ma takiego w pobliżu? Pamiętajmy, że dobry ratownik to żywy ratownik. Przede wszystkim zadbajmy o nasze bezpieczeństwo. Nie wbiegajmy od razu do wody i nie ratujmy tonącego. Osoba bez specjalnego wyszkolenia może z ratownika szybko stać się poszkodowanym, ponieważ tonący będzie nas traktował jak bojkę, po której będzie się wspinać. Nawet jeśli uda nam się złapać ofiarę, holowanie jej do brzegu to olbrzymi wysiłek fizyczny, którego możemy nie udźwignąć. Najlepiej w takiej sytuacji podpłynąć do tonącego łódką, rowerem wodnym albo kajakiem i za pomocą wiosła, liny lub ręki wciągnąć go na pokład.

Czarna statystyka



Statystyka policyjna nie przedstawia się najlepiej. Już w maju i czerwcu tego roku utonęły średnio dwie osoby na dzień. Niestety w skali europejskiej jesteśmy w czołówce państw z wysokim odsetkiem utonięć. Dlatego aby nie być częścią tej smutnej statystyki, pamiętajmy o kilku zasadach, które mogą uratować nam życie. Po pierwsze, przy wyborze miejsca wypoczynkowego sprawdźmy, gdzie są dostępne strzeżone kąpieliska i w jakich godzinach są na nich ratownicy. Po drugie, miejmy trochę wyobraźni. Pływanie i zabawa w morzu są dużo lepsze oraz bezpieczniejsze bliżej brzegu. Nie wypływajmy także poza obszar strzeżony, gdzie wzrok ratownika może już nie sięgać. Po trzecie, nie pływajmy po alkoholu. Niech nasze zachowanie w wodzie determinują dokładnie te same zasady, którymi kierujemy się podczas prowadzenia samochodu. Warto też pamiętać, aby nie wchodzić do wody po obfitym posiłku. I ostatnia zasada, której bezwzględnie musimy przestrzegać – ratownik ma zawsze rację. To osoba, która jest specjalnie wyszkolona do tego, aby zapewnić nam bezpieczeństwo, i widzi zagrożenie nawet wtedy, gdy my go – jeszcze – nie dostrzegamy. ●

Fot. Andrzej Skwarczyński x2, Shutterstock

eprasa.pl b95f64bea9



Wśród ofiar wakacyjnych utonięć jest wiele osób, które chciały pomóc innym

Jak ratować tonących, by samemu nie utonąć

Upalny maj i czerwiec, ciepły lipiec oraz sierpień. Warunki idealne do rozpoczęcia sezonu, w czasie którego można korzystać z kąpielisk na morzu, jeziorach czy rzekach. Wypoczynek, na który czeka każdy z nas. Niestety ten przyjemny relaks ma też swoją ciemną stronę w postaci zwiększonej liczby utonięć. Ostatnie tragiczne wieści dotarły do nas z Karwi, gdzie 8 lipca utonęło dwóch mężczyzn – 41- i 43-letni mieszkańcy centralnej Polski. Jak doszło do tragedii? Jeden z mężczyzn starał się uratować drugiego! Bardzo często zdarza się tak, że toną osoby, które są świetnymi pływakami i śpieszą na pomoc topielcom. Dlaczego tak się dzieje? Jak zapobiec zwiększeniu ryzyka utraty życia podczas próby pomocy? Przedstawiamy porady ratowników WOPR, które pomogą odpowiednio się zabezpieczyć potencjalnym udzielającym pomocy w przypadku akcji ratunkowej, aby pomóc nie tylko tonącemu, lecz przede wszystkim sobie.

Zapewne wielu z nas było świadkami zdarzenia, które doprowadziło lub mogło doprowadzić do utonięcia innej osoby. Przyczyny mogą być różne – poczynając od zasłabnięć na głębokiej wodzie, zahaczenia o jakąś konstrukcję wystającą z dna czy nawet zachłyśnięcie się wodą. Tonięcie możemy podzielić na kilka etapów:

- panika, zanurzenie się i wstrzymanie oddechu;
- kilka nagłych oddechów;
- świadomy opór ze wstrzymaniem oddechu (0,5 do 1 minuty, u wysportowanych osób nawet do 2 minut) – okres kończy się wraz z przekroczeniem progu pobudliwości ośrodka oddechowego przez ilość CO_2 we krwi. Jego nadmiar doprowadzi do pobudzenia ośrodka oddechowego, który wznowi oddychanie;
- połykanie wody (później wymioty);
- silne wdechy i wydechy, podczas których woda dostaje się do płuc;
- niedotlenienie, które powoduje utratę świadomości, zwiotczenie mięśni i dalsze zalewanie wodą płuc;
- zamartwica, czyli zatrzymanie czynności oddechowych;
- oddechy końcowe;
- skurcze i krótkie, nieregularne oddechy połączone z drgawkami toniczno-klonicznymi.

Większość z nas w takiej sytuacji z pewnością starałaby się ruszyć na pomoc osobie tonącej, ale niewielu zdaje sobie sprawę z tego, że może to zrobić źle i narazić się na utratę życia. Być może wynika to z niskiej świadomości oraz wiedzy ratowniczej? A może przyczyną takiego stanu rzeczy są silne emocje towarzyszące próbie ratowania?

Jak zatem skutecznie wcielić się w rolę ratownika, kiedy żadnego nie ma w pobliżu? Z pomocą przychodzą wiedza oraz doświadczenie pracowników WOPR. Jako pierwszą czynność wskazują zawiadomienie odpowiednich służb. Wystarczy zadzwonić na właściwy numer alarmowy. W dobie powszechności telefonów komórko-

eprasa.pl b95f64bea9


Fot. Shutterstock

wych nie powinno stanowić to większego problemu. W celu zaoszczędzenia cennego czasu można zlecić wykonanie połączenia osobom znajdującym się w pobliżu i samemu ruszyć do udzielenia pomocy.

Jeśli mamy taką możliwość, przed wskoczeniem do wody możemy wziąć z sobą koło ratunkowe lub – jeśli nie mamy koła w pobliżu – deskę, wiosło czy jakikolwiek inny przedmiot, który pozwoli oddzielić nas od tonącego. To bardzo ważne. Zachowanie dystansu jest elementem istotnym, a często zupełnie bagatelizowanym. Podpłynięcie zbyt blisko tonącego może spowodować, że ta osoba wciągnie nas pod wodę, a w efekcie, zamiast nieść pomoc, zwiększymy liczbę poszkodowanych. Musimy pamiętać, że osoba tonąca jest w szoku oraz panice, dlatego trudno jej zachować zdrowy rozsądek i spokój. W przypadku podania tonącemu elementu oddzielającego niwelujemy ryzyko ewentualnego zatonięcia. Jeśli na plaży znajduje się odpowiedni sprzęt ratowniczy, a przede wszystkim łódki – korzystajmy z tego. Może to znacznie przyspieszyć oraz ułatwić nam pomoc topielcowi. Pamiętajmy też o odpowiednim przygotowaniu ciała. Zbyt szybkie wejście do wody, której temperatura jest często znacznie niższa niż odczuwalna, może wywołać u nas szok termiczny. Wchodzimy do wody stopniowo, powoli, aby przystosować organizm do nowych warunków. Nie wskakujemy także na główkę.

Jeśli uda nam się wyciągnąć tonącą osobę z wody, należy natychmiast ją położyć na prawym boku i przystąpić do reanimacji. Najlepiej, by zrobiła to osoba znająca się na tym. Jeśli nie umiemy udzielić pierwszej pomocy, zamiast improwizować, warto zapytać, czy któryś z plażowiczów ma w tym zakresie doświadczenie. Wiedza takiej osoby może znacznie pomóc. Jeśli w pobliżu nie ma takiej osoby, sami musimy zacząć działać.

Nim jednak do tego przystąpimy, musimy się upewnić co do kilku rzeczy:

- czy zawiadomiono pogotowie lub inne służby ratunkowe? Jeśli nie, robimy to sami lub komuś to zlecamy – kierując prośbę do konkretnej osoby;
- czy jest możliwość uchronienia osoby ratowanej przed wpływem słońca lub silnego wiatru, które mogą utrudnić nam udzielenie pomocy? Jeśli nie, to staramy się działać niezależnie od panujących warunków;
- czy osoba, której chcemy udzielić pomocy, jest przytomna? Jeśli tak, staramy się ją uspokoić. Panika znacznie utrudni nam reanimację. Jeśli nie, staramy się robić wszystko, aby udrożnić drogi oddechowe osoby, której pomagamy. Istotne jest, aby usunąć wodę, której niedoszły topielec się nałykał.

Udzielamy pomocy aż do przybycia ratowników lub pogotowia, którzy przejmą od nas do dyspozycji ratowaną osobę. Ważne, aby wykonywać polecenia ratowników, dopóki sami nas nie zwolnią z tego obowiązku.

Dzięki zachowaniu powyższych procedur nie tylko będziemy w stanie odpowiednio pomóc topiącemu się, lecz również uchronimy siebie przed potencjalnym ryzykiem utonięcia. Musimy pamiętać przede wszystkim o zachowaniu „chłodnej głowy". Nie podejmujmy czynności ratowniczych, jeśli nie czujemy się na siłach, np. sami jesteśmy przestraszeni albo jesteśmy po obfitym posiłku, który uniemożliwi nam skuteczne ratowanie. Nie starajmy się na siłę robić z siebie bohaterów, bo efekt może być zupełnie odwrotny od zamierzonego. Wielkim czynem będzie samo odnotowanie faktu, że komuś grozi niebezpieczeństwo, z jednoczesnym zaalarmowaniem wszystkich wokoło. Być może wśród plażowiczów znajdzie się osoba, która natychmiast ruszy z pomocą. W takim przypadku starajmy się jak najlepiej wesprzeć ją w ratownictwie, np. wzywając odpowiednie służby czy przygotowując miejsce do ułożenia osoby ratowanej. Kiedy już zostanie wyciągnięta z wody, jest bardzo prawdopodobne, że będzie nieprzytomna. Powinniśmy wówczas jak najszybciej przystąpić do czynności reanimacyjnych.

– Będą to stałe czynności, jakie znamy z kursów udzielania pierwszej pomocy. 5 wdechów ratowniczych, 30 uciśnięć, 2 wdechy, 30 uciśnięć – tłumaczy ratownik Tomasz Wiśniewski. – Oczywiście osobom postronnym będzie trudno kontrolować prawidłowość tych czynności, głównie przez towarzyszące emocje. Musimy jednak pamiętać, że jest to ważne. Osobie, którą ratujemy, będzie potrzebne przywrócenie prawidłowych czynności krążenia. W tym przypadku istotne jest dostarczenie takiej osobie odpowiednich ilości powietrza, które pobudzi komórki w organizmie. Samo uciskanie klatki piersiowej też daje bardzo dużo, gdyż dzięki temu jesteśmy w stanie odpowiednio rozprowadzić natlenowaną krew w organizmie. Zastępujemy tym sam skurcz serca, przez co tłoczymy krew. ●

eprasa.pl b95f64bea9

Skąd złodziej wie, że nie ma nas w domu?



Jak przestępcy wykorzystują portale społecznościowe

Fot. Shutterstock

Urlop, zwłaszcza zagraniczny, podczas którego udajemy się do atrakcyjnych miejsc, to jedno z tych zdarzeń w naszym życiu, którym uwielbiamy się chwalić w internecie. Konta Polaków w tzw. mediach społecznościowych pełne są zdjęć spod egipskich piramid, spod mostu Rialto w Wenecji, znad chorwackich Jezior Plitwickich czy z tarasu widokowego wieży Eiffla. Oczywiście zdjęcia wrzucamy zazwyczaj na bieżąco, bo bardzo zależy nam na tym, aby poinformować wszystkich krewnych i znajomych, że to właśnie teraz, w tym konkretnym momencie, mamy przyjemność przebywać daleko od naszego miejsca zamieszkania. Czy jednak takie zachowanie jest odpowiedzialne? Czy informując wszystkich, że nasz dom stoi pusty, nie zwabiamy do niego włamywaczy?

Policjanci, którzy prowadzą dochodzenia w sprawach włamań do mieszkań, przestrzegają przed zbytnim afiszowaniem się ze swoim życiem w sieci, opowiadając historię, która wydarzyła się kilka lat temu w jednym z miast województwa świętokrzyskiego. Na popularnym portalu społecznościowym pewna nastoletnia dziewczyna postanowiła zaimponować znajomym luksusowymi zakupami dokonanymi ostatnio przez swoich rodziców. W internecie umieściła zdjęcia nowego telewizora, nowego sprzętu AGD w świeżo wyremontowanej kuchni oraz nowego auta zaparkowanego pod tabliczką z nazwą ulicy i numerem domu. Dodatkowo opisała imponujące plany wakacyjne swoich bliskich.

– Kiedy rodzina wróciła z dwutygodniowych wakacji, zastała swój dom ograbiony. Z nowych rzeczy został im jedynie samochód, którym pojechali na urlop – mówi asp. Mariusz Bednarski z Komendy Wojewódzkiej Policji w Kielcach.

Złodzieje byli wyjątkowo bezczelni. Niedawno zakończony remont w mieszkaniu, czym także pochwaliła się nieroztropnie nastolatka, podsunął im pomysł, w jaki sposób przeprowadzić włamanie. Pod dom podjechali autem dostawczym. Sąsiedzi nie zwrócili na to większej uwagi, myśląc, że w mieszkaniu nadal trwają jakieś prace remontowe. Lokal został całkowicie ogołocony.

– Złodzieje nie próżnują – ostrzega asp. Bednarski. – Potrafią znakomicie wykorzystywać naszą niefrasobliwość i uzyskać dostęp do źle zabezpieczonych zdjęć w internecie. Informacja, że nie ma nas w domu, a także wiedza o naszym stanie posiadania może łatwo

eprasa.pl b95f64bea9

trafić do osób, którym nie chcielibyśmy się tym nigdy chwalić.

Każdy złodziej czy włamywacz najpierw zbiera informacje o swoich ofiarach. Kiedyś włamywacze przez kilka tygodni obserwowali mieszkanie, które chcieli okraść. Sprawdzali, kiedy lokal najczęściej stoi pusty, czy domownicy regularnie z niego wychodzą, czy w domu na pewno nikt nie zostaje. Dziś internet znacznie ułatwia im zadanie. Włamywacz nie skorzysta jednak z umiejętności wykradania danych z sieci, jeśli sami mu tego nie ułatwimy i nie zamieścimy w internecie informacji oraz zdjęć o naszym życiu. Wakacyjnymi fotografiami zawsze można się przecież pochwalić po powrocie do domu, nie trzeba wrzucać ich na bieżąco. Jedyny koszt, jaki wówczas poniesiemy, będzie taki, że wrażenie na znajomych zrobimy kilkanaście dni później.

Oczywiście warto pamiętać o tym, że sama powściągliwość w informowaniu świata o naszych planach wakacyjnych nie wystarczy, by ustrzec się przed włamaniem podczas urlopowej nieobecności.

W okresie częstych wyjazdów, kiedy opuszczamy nasze domy, udając się na wakacyjny wypoczynek, starajmy się odpowiedzialnie traktować własne mienie, zapewniając samodzielnie właściwą ochronę. To, co przychodzi nam do głowy moment przed wyjazdem, to zalanie mieszkania, pożar czy wybite szyby. Nasze obawy okazują się zresztą słuszne, co znajduje potwierdzenie w raporcie przygotowanym przez Deloitte dla Polskiej Izby Ubezpieczeń w 2017 r. Wynika z niego, że najczęstsze źródła strat w mieszkaniach są wynikiem zalań – w 77 proc. Włamanie jest przyczyną w 18 proc., pożary są w 9 proc., wandalizm jest w 7 proc., przepięcie elektryczne oraz wichura są w 3 proc.

– Najlepszym opiekunem naszego mieszkania zawsze będzie tzw. wścibski sąsiad. Dlatego warto go poinformować, że planujemy dłuższy wyjazd. Warto także zabezpieczyć dom systemem alarmowym połączonym z telefonem, który poinformuje nas o próbie włamania. Pamiętajmy również o – wydawałoby się banalnej rzeczy – szczelnym zamknięciu okien i drzwi. Jeżeli mamy szczególne obawy o nasze mieszkanie, bo przechowujemy w nim np. wyjątkowo cenne przedmioty, warto wyposażyć w zamki także okna. Drzwi antywłamaniowe to dziś w zasadzie standard, zwłaszcza w nowym budownictwie, ale można rozważyć montaż dodatkowych rolet antywłamaniowych – radzi gdyński policjant Krzysztof Wasilewski.

Dbając o bezpieczeństwo naszego dobytku, postarajmy się również dać wyraźny sygnał ewentualnym złodziejom, że mieszkanie nie zostało pozbawione dozoru właściciela i ktoś w nim przebywa. Polega to choćby na zainstalowaniu specjalnych urządzeń, dzięki którym obserwator odnosi wrażenie, że w mieszkaniu toczy się normalne życie. Urządzenia te działają na podstawie czasowego włącznika prądu i – w zależności od poziomu skomplikowania – mogą włączać i wyłączać w odpowiednim momencie światło, telewizor muzykę czy odsłonić żaluzje. Postęp technologiczny może sprawić, że za kilka lub kilkanaście lat złodziejom będzie bardzo trudno dokonać włamania. Już dziś na rynku deweloperskim można znaleźć inwestycje uplasowane – na razie – w segmencie premium, z rozwiązaniami z obszaru tzw. smart home.

– Przy użyciu smartfona możemy kontrolować nasz dom i funkcjonowanie jego poszczególnych elementów – mówi Kamil Pawlak ze start-upu Paigom, który oferuje systemy inteligentnego domu. – Dzięki aplikacji jesteśmy na bieżąco informowani o zmianach zachodzących w danych pomieszczeniach lub usterkach, a poprzez zainstalowane kamerki możemy monitorować sytuację w naszym mieszkaniu. Zapomnieliśmy zgasić nocną lampkę? Nie zamknęliśmy okna lub nie jesteśmy pewni, czy to zrobiliśmy? Nie ma problemu. Dzięki aplikacji systemowej możemy nie tylko to sprawdzić, lecz także zaradzić sprawie z wysokości panelu własnej komórki. Wystarczy dostęp do internetu.

Technologia smart umożliwia wygodne sterowanie ogrzewaniem, alarmem, oknem, bramą czy roletami. Za pomocą kilku kliknięć w ekran centralki tabletu lub smartfona można schłodzić mieszkanie przed powrotem z wycieczki czy podczas snu, a o poranku może na nas czekać świeżo zaparzona aromatyczna kawa. Dzięki różnym rozwiązaniom w ramach systemu możemy dobrać instalację najlepiej odpowiadającą naszym potrzebom i najlepiej dostosowaną do przestrzeni, w której mieszkamy, jej wielkości i kubatury. Wszystkie wymienione wyżej udogodnienia mają tak naprawdę dwa cele: zwiększenie komfortu mieszkania i jego zabezpieczenie przed zdarzeniami losowymi takimi jak zalanie czy przed działalnością przestępców. ●



Zdaniem eksperta

Większość włamań odbywa się przez okna. Nie zapominajmy zatem zamknąć ich wszystkich przed wyjazdem. Dobrym pomysłem jest zastosowanie atestowanych elementów antywyważeniowych, a także wzmocnionych szyb. Wiele dają rolety. Na rynku obecnie mamy duży wybór pancerzy, które posiadają np. automatyczne rygle utrudniające podniesienie rolet, ale nawet zwykłe rolety bez skomplikowanych zabezpieczeń mogą się okazać skuteczne. Drzwi wejściowe powinny mieć zapory antywłamaniowe oraz certyfikaty. Z obserwacji agentów Metrohouse wynika, że klienci poszukujący domów coraz większą wagę przywiązują do dodatkowych zabezpieczeń drzwi i okien. Pytania o nie powtarzają się niemal przy każdej prezentacji nieruchomości. Najskuteczniejszą formą zabezpieczeń mieszkań są bezprzewodowe systemy ochrony. Umożliwiają one pełny nadzór nad urządzeniami systemu (stan baterii, sterowanie przez telefon, kalibracja czułości itp.), nawet gdy jesteśmy kilkanaście tysięcy kilometrów od domu. Dzięki połączeniu systemu ze smartfonem mamy możliwość sprawdzenia, co się dzieje w naszym domu i w jego najbliższym otoczeniu. Przed wyjazdem włączenie systemu daje nam pewność, że monitorowany obiekt w przypadku zdarzenia z udziałem osób trzecich będzie mógł liczyć na interwencję patrolu z firmy ochroniarskiej. ●

Marcin Jańczuk, Metrohouse

eprasa.pl b95f64bea9



Autostrady coraz bardziej niebezpieczne

Czy polscy kierowcy tak długo czekali na porządne drogi, że kiedy wreszcie mogą z nich korzystać, to ponosi ich fantazja?

Na rozbudowę sieci dróg ekspresowych i budowę autostrad w Polsce czekaliśmy bardzo długo. Rosnąca lawinowo liczba samochodów, a zwłaszcza liczba tirów poruszających się po naszych drogach, sprawiła, że podróżowanie po Polsce jeszcze 10 lat temu było istnym koszmarem. Przejazd z południowych rejonów kraju nad morze czy z Wybrzeża w góry był wielogodzinnym wyzwaniem logistycznym i testem cierpliwości. Sytuację mogło poprawić jedynie szybkie wybudowanie gęstej sieci wielopasmowych dróg szybkiego ruchu, wyposażonych w bezkolizyjne skrzyżowania i węzły drogowe.

Budowa zaplanowanej sieci autostrad i dróg ekspresowych przyśpieszyła wraz z przyznaniem Polsce współorganizacji mistrzostw Europy w piłce nożnej w 2012 r. Nie wszystko udało się zbudować zgodnie z założonym harmonogramem, ale polscy kierowcy zyskali wreszcie do dyspozycji wiele kilometrów nowych, dobrej jakości dróg. Dziś możemy wybierać na przykład, czy trasę Warszawa–Trójmiasto pokonywać przebudowaną dopiero w połowie i wciąż modernizowaną drogą krajową nr 7, czy nadłożyć 70 km i skorzystać z autostrad – w omawianym przypadku z A2 i A1.

O zaletach nowych dróg szybkiego ruchu nie ma potrzeby się rozpisywać. Oprócz skrócenia czasu przejazdu pomiędzy największymi polskimi miastami miały one także poprawić bezpieczeństwo kierowców. Nowoczesne drogi mają tzw. najwyższy standard bezpieczeństwa: są szerokie, przy poboczach brak drzew, kolizyjne skrzyżowania są zastąpione przez wielopoziomowe węzły drogowe, kierowcy nie ryzykują zderzeń czołowych podczas wykonywania manewrów wyprzedzania, bo mają do dyspozycji po dwa pasy do jazdy w tym samym kierunku. Wydawać by się mogło, że drogi ekspresowe i autostrady staną

eprasa.pl b95f64bea9


Fot. Shutterstock

się w Polsce najlepszym sposobem na poprawianie niechlubnych statystyk wypadków drogowych, w których nasz kraj zawsze zajmował jedno z czołowych miejsc w Europie. Czy tak się rzeczywiście stało?

Więcej wypadków na lepszych drogach

O ile w ciągu ostatnich 10 lat da się zauważyć w Polsce spadek ogólnej liczby wypadków, i to mimo znaczącego wzrostu liczby pojazdów poruszających się po naszych drogach, o tyle jeden wskaźnik rośnie w zastraszającym tempie – liczba wypadków i kolizji na autostradach oraz drogach szybkiego ruchu. W ciągu ostatnich sześciu lat liczba wypadków na autostradach w Polsce wzrosła o 100 proc., podobnie jak niestety ofiar śmiertelnych tych zdarzeń drogowych.

Dlaczego tak się dzieje, że nowoczesne, wielopasmowe arterie o łagodnie wyprofilowanych łukach, zamiast być oazą bezpieczeństwa i sprawnego, płynnego ruchu, coraz częściej stają się miejscami, w których dochodzi do tragicznych wypadków, a kierowcy grzęzną w wielogodzinnych korkach bez żadnej możliwości wydostania się z powstałych zatorów.

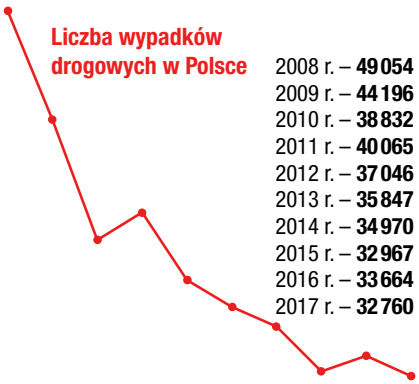
Podstawową przyczyną wypadków na autostradach i drogach ekspresowych jest oczywiście nadmierne przekraczanie prędkości. I niestety dzieje się tak, mimo że polscy kierowcy mogą się cieszyć jednymi z najbardziej liberalnych przepisów regulujących dopuszczalną prędkość dla aut osobowych w Europie. Możemy legalnie pędzić po naszych autostradach 140 km/h, ale niestety dla wielu, zbyt wielu, kierowców to wciąż nadmiernie rygorystyczne ograniczenie. Nowoczesne samochody z łatwością osiągają dziś prędkości przekraczające 200 km/h. Kierowcy uważają więc, że autostrada – szeroka i odpowiednio wyprofilowana – jest idealnym miejscem na sprawdzenie osiągów auta. Niestety jednocześnie zapominają o tym, że przy tak wysokich prędkościach konieczne jest zachowanie podwyższonej czujności i ostrożności.

Wolniej!

Pędząc 140 km/h i więcej, nie można jechać w takiej samej odległości za samochodem przed nami, jak się to robi na drogach miejskich czy powiatowych. Nadmierna prędkość i towarzysząca jej tzw. jazda na zderzaku to gotowy przepis na większość autostradowych wypadków. Kierowca testujący możliwości swojego auta nie da rady przy tak wysokiej prędkości zareagować na czas, by uniknąć zderzenia w sytuacji, gdy konieczne będzie nagłe hamowanie. Ludzki mózg nie jest w stanie przetworzyć odpowiednio szybko informacji o przeszkodzie na drodze, do której zbliżamy się z prędkością 140 km/h w odległości kilkunastu metrów za nią. Zjawisko tak skrajnie niebezpiecznej jazdy chyba najłatwiej zaobserwować na odcinku autostrady A2 między Warszawą a Łodzią. Na tym odcinku mamy ciągnący się kilometrami sznur tirów jadących 80–90 km/h, za to na lewym pasie mamy do czynienia z permanentnym wyścigiem kierowców, którzy dysponując szybkimi samochodami, starają się wymusić na innych łamanie przepisów. W takich warunkach właściwie brak miejsca dla kierowcy, który chciałby jechać bezpiecznie i zgodnie z przepisami 140 km/h. Chcąc korzystać z prawego pasa, musi się wpasować między tiry i wlec 80 km/h. Jeśli chce wyprzedzić sznur ciężarówek, musi zaryzykować zdrowie i życie, by wcisnąć się między osobówki pędzące często po 170 i 180 km/h. Efektem tej sytuacji są coraz częstsze doniesienia o wypadkach na autostradzie A2. Nie sposób bowiem na dłuższą metę poruszać się

eprasa.pl b95f64bea9







bezpiecznie w takich ekstremalnych warunkach drogowych, jakie wielu nieodpowiedzialnych kierowców funduje innym uczestnikom ruchu.

Lewy pas

Przy okazji warto przypomnieć, że z lewego pasa możemy korzystać jedynie wówczas, gdy wykonujemy manewr wyprzedzania, a na pustej autostradzie powinniśmy się poruszać pasem prawym. Oczywiście w przypadku wspomnianego odcinka autostrady A2 trudno się zastosować do tego przepisu w sytuacji, kiedy prawy pas jest praktycznie permanentnie zajęty przez kolumnę ciężarówek.

Właściwie dopasowanie odpowiedniej prędkości jest na autostradzie jedną z najważniejszych zasad zachowania bezpieczeństwa. Natomiast warto podkreślić, że odnosi się to zarówno to jej górnego pułapu, jak i dolnego. Mówiąc wprost – zbyt wolne poruszanie się po autostradzie jest równie nieodpowiedzialne i niebezpieczne co zbyt szybka jazda. Prowadząc auto w tempie spacerowym, narażamy siebie i innych uczestników ruchu na ogromne ryzyko. Do najbardziej niebezpiecznych sytuacji z udziałem pojazdów poruszających się zbyt wolno dochodzi w miejscach, w których kończą się tzw. pasy rozbiegowe służące do powrotu na autostradę z parkingów, stacji benzynowych czy po prostu będące częścią węzłów drogowych. Niektórzy kierowcy zapominają, że pas rozbiegowy, jak sama nazwa wskazuje, służy do rozpędzenia samochodu do bezpiecznej prędkości autostradowej i płynnego włączenia się do ruchu po zjechaniu na prawy pas. Absolutnie niedopuszczalnym i często obserwowanym zachowaniem jest dojazd do końca pasa rozbiegowego, zatrzymanie samochodu i dopiero wówczas podjęta próba włączenia się do ruchu. Takie zachowanie jest skrajnie niebezpieczne i grozi tym, że na drodze szybko poruszającego się auta nagle wyrasta inne, którego kierowca właśnie wrzuca dopiero drugi bieg.

Czujny kierowca

Korzystając z autostrady, warto też pamiętać o tym, że czujność musimy zachować w każdej sytuacji, nie tylko wówczas, gdy siedzimy za kierownicą. Musimy mieć się na baczności w przypadku awarii auta i zatrzymania się na pasie awaryjnym. Kiedy zdarzy się sytuacja, że będziemy musieli się zatrzymać na poboczu, zachowajmy najwyższą ostrożność, opuszczając pojazd. Najlepiej wysiąść z samochodu, o ile jest to oczywiście wykonalne, drzwiami od strony pasażera, z prawej strony, a tych z lewej w ogóle nie otwierać. Pamiętajmy, że gdy stoimy na pasie awaryjnym, kilka metrów od nas pędzą kilkutonowe lub w przypadku ciężarówek kilkudziesięciotonowe „pociski", których kierowcy nie zdążą odpowiednio szybko zareagować, jeśli w najmniejszym stopniu staniemy im na drodze.

Niestety widać, że w Polsce autostrady to wciąż nowość i wyzwanie dla wielu kierowców, którzy nie opanowali podstawowych zasad poruszania się po tych drogach i nie zdają sobie sprawy z niebezpieczeństw, jakie niesie z sobą poruszanie się w otoczeniu samochodów jadących po 140 km/h i więcej. Często dochodzi do sytuacji niebezpiecznej zmiany pasów, bez odpowiedniego upewnienia się, czy nie zajeżdżamy właśnie komuś drogi, do niebezpiecznego nagłego zwalniania czy też wymuszania długimi światłami opuszczenia lewego pasa przez „rajdowców" gnających po 200 km/h.

W internecie można znaleźć także filmy z rzadkich, ale zdarzających się sytuacji ekstremalnych, takich jak cofanie na autostradzie po przejechaniu zjazdu, którym kierowca chciał opuścić autostradę. Są mrożące krew w żyłach przykłady jazdy pod prąd czy też poboczem. Takie zdarzenia należą na szczęście do rzadkości, ale świadczą niestety o tym, że są w Polsce kierowcy zupełnie nieświadomi zasad i zagrożeń, jakie niesie z sobą jazda po autostradzie.

Korytarz życia

Pozytywnym przykładem z ostatnich tygodni jest to, że w Polsce mieliśmy kilka przykładów dobrego zachowania kierowców, którzy tworzyli tzw. korytarze życia dla służb ratunkowych śpieszących na miejsce wypadku. Tworzenie korytarza życia polega na tym, że auta poruszające się lewym pasem, zjeżdżają do lewej krawędzi drogi, a te poruszające się pasem prawym do prawej, zajmując na autostradzie pas awaryjny. Kierowcy pojazdów uprzywilejowanych zgodnie przyznają, że dojazd na miejsce wypadku „korytarzem życia" jest dla nich zdecydowanie bardziej wygodny i szybszy niż przy wykorzystaniu wąskiego pasa awaryjnego, na którym dodatkowo można się przecież natknąć na zepsuty samochód.

Umiejętność tworzenia „korytarzy życia" przez polskich kierowców z pewnością cieszy, ale oby ta umiejętność była wykorzystywana jak najrzadziej, a liczba wypadków na autostradach, zamiast rosnąć, zaczęła spadać. ●

eprasa.pl b95f64bea9

Na rower zabierz rozsądek

Pędząc 40 km/h swoim jednośladem po ścieżce rowerowej w centrum miasta, narażamy siebie i innych

Kiedy polski turysta odwiedzał 20 czy 25 lat temu jedno z miast Europy Zachodniej, w tamtejszym krajobrazie z pewnością uderzała go wszechobecność ścieżek rowerowych, wytyczonych wzdłuż niemal wszystkich ulic. Dziś w Polsce ścieżki rowerowe też już nikogo nie dziwią, ale czy to, że przywykliśmy do ich obecności w naszej przestrzeni miejskiej, sprawia, iż poruszanie się po nich jest coraz bezpieczniejsze?

Warszawa, ciepły wiosenny piątek, godz. 16.00 – popołudniowy komunikacyjny szczyt. Wzdłuż ul. Świętokrzyskiej na stosunkowo nowej i dobrze oznakowanej ścieżce rowerowej tłok nie mniejszy niż na chodniku czy jezdni. Wielu mieszkańców stolicy, zamiast korzystać z zatłoczonej komunikacji miejskiej czy zapchanych autami ulic, przesiada się na rowery, bo tak przecież można zdrowo i często szybciej przemieszczać się po mieście. Z pewnością korzystanie z roweru jest pod każdym względem godne pochwały. Kiedy jednak rowerzystów przybywa na ścieżkach rowerowych, musimy zdać sobie sprawę, że stają się one coraz bardziej niebezpieczne.

Na wspomnianej ul. Świętokrzyskiej trzeba maksymalnie wyostrzyć zmysły, kierując rowerem. Nie tylko z powodu dużej liczby cyklistów poruszających się w obydwu kierunkach, lecz również pieszych, którzy – mimo że ścieżka jest pomalowana na czerwono i przez to bardzo dobrze odróżnia się od chodnika – zdają się nie zwracać uwagi na pędzące rowery.

– Nigdy nie wiem, czy ktoś nie wtargnie nagle bez ostrzeżenia przed mój rower. Zauważyłem, że piesi zwracają uwagę jedynie na samochody, zatrzymują się przed zebrą i rozglądają uważnie, ale podobnej czujności nie wykazują zupełnie w przypadku pasów, które przecinają ścieżkę rowerową. Dlatego przez centrum Warszawy jeżdżę bardzo wolno i ostrożnie, ale mijam mnóstwo ryzykantów, którzy rozpędzają swoje kolarzówki do kilkudziesięciu kilometrów na godzinę. Moim zdaniem to skrajnie nieodpowiedzialne i niebezpieczne – mówi Cezary Falba, zapalony warszawski cyklista.

Policjanci zwracają uwagę, że zarówno rowerzyści, jak i piesi to tzw. niechronieni uczestnicy ruchu drogowego. Oznacza to, że nie są wyposażeni w żadne bariery ochronne takie jak karoseria, strefy zgniotu, pasy bezpieczeństwa czy poduszki powietrzne. Zderzenie pieszego z rowerzystą lub dwóch rowerzystów zawsze będzie oznaczało ryzyko poważnych obrażeń.

„Szczególna prośba do rowerzystów jest taka, by zwalniali, dojeżdżając do miejsc niebezpiecznych, takich jak skrzyżowania czy przejazdy rowerowe przez jezdnie. To jest zachowanie, które przede wszystkim im samym zagwarantuje bezpieczeństwo" – apeluje w internecie asp. sztab. Dawid Krajewski, rzecznik Komendy Powiatowej Policji w Tczewie (woj. pomorskie).

Rowerzyści muszą zrozumieć, że ścieżka rowerowa, często wytyczona tuż obok zatłoczonego chodnika czy ruchliwej jezdni, nie jest eksterytorialnym korytarzem z bezkolizyjnymi węzłami drogowymi. Ryzykowna, bardzo szybka jazda stanowi poważne zagrożenie zarówno dla samego rowerzysty, jak i osób znajdujących się w jego bezpośredniej bliskości. W 2017 r. w Polsce doszło do 165 wypadków, w których rowerzysta ze swojej winy najechał na pieszego. Ranne zostały w nich aż 154 osoby. Wsiadając na rower, pamiętajmy, że to także pojazd, który – choć dużo wolniejszy od samochodu czy motocykla – również pozwala osiągać prędkości, przy których zderzenie może się skończyć tragedią. ●

Dziecko na rowerku to... pieszy

W myśl przepisów dziecko do lat 10, które jedzie rowerem, ma takie same prawa na drodze jak pieszy. Oznacza to, że może swobodnie poruszać się na rowerze, korzystając z chodnika. Mało tego – osoba dorosła, która też jedzie rowerem i jest opiekunem takiego dziecka, również ma prawo do jazdy chodnikiem. Policjanci apelują nawet do dorosłych, by rozważyli, czy dziecko, które jeszcze niezbyt pewnie czuje się na rowerze, powinno korzystać ze ścieżki rowerowej, na której łatwo o spotkanie z szybko jadącymi cyklistami. Zdaniem stróżów prawa lepiej uczyć się jazdy na rowerze w innym miejscu niż ścieżka. ●



Taryfikator mandatów dla rowerzystów

Niekorzystanie ze ścieżki rowerowej lup pasa ruchu dla rowerów, jeśli są wyznaczone – **50 zł**
Jazda obok innego uczestnika ruchu – **50 zł**
Jazda bez trzymania co najmniej jednej ręki na kierownicy oraz nóg na pedałach – **50 zł**
Czepianie się pojazdów – **100 zł**
Jazda po chodniku – **50 zł**
Przejeżdżanie przez przejścia dla pieszych – **100 zł** ●

eprasa.pl b95f64bea9

Jak zdrowo zacząć dbać o swoje... zdrowie



Fot. Shutterstock

Rozpoczęcie aktywności fizycznej to świetny pomysł! Pod warunkiem że jesteśmy do niej dobrze przygotowani

Jak o siebie zadbać? Jak zwalczyć nadwagę? Podobno najtrudniej zrobić pierwszy krok i wytrwać w postanowieniu. Wszyscy motywatorzy zazwyczaj skupiają się na problematyce barier psychologicznych, czyli po prostu zwalczeniu naszego lenistwa. Ale warto wiedzieć też, że przed rozpoczęciem uprawiania sportu, choćby najprostszego, jak bieganie, należy dokonać wiarygodnej oceny możliwości swojego organizmu. Zwłaszcza gdy ostatnie lata spędzaliśmy głównie na siedząco przed komputerem, a wieczory na kanapie z chipsami, nie możemy zbyt forsownie rozpocząć nowego życia.

Zacznijmy od początku. Warto sobie zrobić taki bilans otwarcia. Szczerze przed sobą samym ocenić swoją aktywność fizyczną i odpowiedzieć sobie na pytanie, czy jest żadna, minimalna, czy może wystarczająca, by rozpocząć treningi. Pewnie wystarczająca nie jest, ponieważ gdyby było inaczej, nie zaprzątalibyśmy sobie głowy takimi podsumowaniami. Środkowy poziom pewnie również nas nie dotyczy, bo w przeciwnym wypadku taka myśl mogłaby nas dopaść podczas biegania czy rowerowej przejażdżki. Więc w którym miejscu jesteśmy? Pewnie, że trudno to przyznać, ale powinniśmy jak najbardziej obiektywnie stwierdzić, że nawet nie pamiętamy, kiedy ostatni raz się zmęczyliśmy, wykonując jakiekolwiek ćwiczenia. Oczywiście bywa, że podbiegniemy za właśnie zamykającym drzwi autobusem czy w markecie, widząc otwierającą się właśnie dla nas kasę nr 3. Jednak taka aktywność kończy się trudnościami w łapaniu oddechu, kłuciem w płucach i ogólnym buntem naszego organizmu. To tak, jakby on nam mówił: „przestań, nie jestem przygotowany na takie obciążenia, poczekaj na kolejny autobus, nie śpiesz się, bo tylko się nieprzyjemnie spocisz”.

A więc prawda wyszła na jaw i już wszystko wiadomo. Nasza aktywność fizyczna to dojście do samochodu na drugi koniec hali garażowej albo kluczenie korytarzami korporacyjnego biurowca. Nic więcej.

Jak zacząć

Przynajmniej sami z sobą jesteśmy szczerzy. Już wiemy, że jesteśmy w punkcie zero i do pokonania mamy bardzo długą drogę. W międzyczasie czeka nas mnóstwo upadków i bardzo mało sukcesów – trzeba być na to przygotowanym. Najpierw zmiana myślenia, podejdźmy do tego zmotywowani strachem. Jak to zrobić? Najlepiej iść do lekarza, żeby nas odpowiednio „nastraszył” i przedstawił nam wszystkie minusy niezdrowego trybu życia, jaki dotąd prowadziliśmy. Tu nie musimy dużo inwestować, wystarczy jedna wizyta i przedstawienie wyników badania naszego cholesterolu, który na pewno nie będzie w normie. Bardzo wskazane jest zrobienie testu wysiłkowego. Od razu uprzedzamy – to badanie ma bardzo właściwą nazwę, będziecie po nim całkowicie zdewastowani fizycznie. Podłączeni do mnóstwa kabli będziecie kroczyć bieżnią w morderczym wysiłku.

Ani w górę, ani w dół

Istnieje właściwie nieskończona ilość aktywności, które pozwolą nam się zmęczyć. Ale spokojnie, nie wszystko od razu. Zdobycie się na duży wysiłek po latach przerwy nie przyniesie nam niczego dobrego. To tak, jakby w stojącym od lat w garażu zapomnianym samochodzie zapalić sil-

eprasa.pl b95f64bea9

nik i nie uzupełniwszy wszystkich płynów maszyny, ruszyć od razu na najwyższych obrotach. Podobnie jest z naszym organizmem – nieużywane od dawna mięśnie muszą się rozgrzać, serce odzwyczajone od wysiłku trzeba obciążać powoli.

– Rozpoczynając treningi, przede wszystkim należy uważać, abyśmy nie przeciążyli naszego organizmu, bo wówczas szybko nabawimy się kontuzji i z naszych ambitnych planów nic nie wyjdzie. O zdrowie należy zadbać z głową i stopniowo zwiększać wysiłek – mówi Robert Machnikowski, lekarz rodzinny.

Idealny do powolnego wchodzenia na obroty jest najzwyklejszy spacer. Koniecznie zacznijcie go spokojnie, po płaskim terenie. Żadnych wzniesień, pagórków, schodów – słowem: ani w górę, ani w dół. Na początek pół godziny zupełnie wystarczy, najlepiej w tzw. okolicznościach przyrody – w lesie, na plaży lub na zwykłej łące. Cóż, nie każdy mieszka w pobliżu natury, więc dopuszczone są przechadzki miejskie. Ważne, aby robić to poza ścisłym centrum, gdzie nie będziemy zmuszeni do ciągłego przerywania marszu oczekiwaniem na zielone światło na przejściu dla pieszych.

Biegać, skakać, a może pływać

Jeśli po około dwóch tygodniach nasz organizm nie buntuje się już przeciwko spacerom w umiarkowanym tempie, można przejść do czegoś mocniejszego. Warto przyśpieszyć i przejść naszą tradycyjną trasę w 20 zamiast 30 minut. Od razu poczujemy zmianę. Przede wszystkim powinien się pojawić pot, co będzie oznaczać, że prawidłowo przeszliśmy do fazy większego wysiłku. Kolejne dwa tygodnie takiego bardziej ekstremalnego chodu powinny nas przygotować do rozpoczęcia właściwej przygody ze sportem. Warto się zastanowić nad wyborem aktywności, nie ulegając modzie ani naszym uprzedzeniom.

– Ćwicząc latem na zewnątrz, należy pamiętać o tym, aby przy wysokich temperaturach zadbać o odpowiednie nawodnienie organizmu. Nie należy jednak przesadzać z ilością wypitych płynów, ponieważ ćwiczenie z pełnym brzuchem nie będzie dla nas komfortowe. Dobrym pomysłem jest wykonywanie treningów o poranku lub pod wieczór, gdy temperatura jest niższa niż w południe. Pamiętajmy o jasnym ubiorze, który nie będzie przyciągał promieni słonecznych – przypomina trener personalny Mateusz Kulągowski.

Niech nie zniechęci was wspomnienie nieprzyjemnych lekcji wychowania fizycznego, na których z bólem pokonywaliście kolejne okrążenie po stadionowym żużlu. Zapomnijcie o zimnej wodzie szkolnego basenu i czerwonych piekących od chloru oczach. To ma być czysta przyjemność, niepozbawiona oczywiście przysłowiowych krwi, potu i łez. Na przykład bieganie na początku będzie prawdziwą torturą. Poczujecie, że wasze nogi ważą setki kilogramów, a po każdych kilkudziesięciu metrach posuwania się naprzód będziecie marzyć o chwili wytchnienia. Z pewnością poczujecie też ogromną potrzebę ciągłego nawadniania organizmu, najchętniej nie odklejalibyście swoich ust od butelki wody. Podobne katusze będziecie cierpieć w basenie. Każdy ruch ramion przy kraulu czy żabce będzie niesamowitym wysiłkiem, z każdą kolejną nawrotką woda będzie stawiać ogromny opór.

Jest nagroda

W tej walce z wysiłkiem w końcu to wy będziecie wygranymi. Lekki trucht nie będzie wymagał większego wysiłku niż szybkie chodzenie, a woda w basenie stanie się nagle przyjemna, przestając stawiać tak duży opór. Ale pojawi się większa nagroda, tak cenna, że nie sposób ją wymiernie oszacować. To spokój po treningu, umiarkowane lekkie bicie serca, poczucie jednocześnie odprężenia i gotowości do aktywności mentalnej. Nagle znajdziemy w sobie ogromnie pokłady energii, znacznie zwiększy się nasza odporność na stres, a to, co wydawało się w życiu niemożliwe do wykonania, nagle stanie się proste i łatwe do rozwiązania. I najważniejsze, choć trudne do zmierzenia, będzie przestawienie organizmu na prozdrowotne zwyczaje.

– Ćwiczenia to przede wszystkim dbanie o zdrowie i kondycję. Każda aktywność fizyczna przyczyni się do polepszenia naszego samopoczucia. Z tego względu, że mamy akurat lato, jest to najlepszy moment do wprowadzenia zmian w nasze życie. Nie czekaj – zacznij ćwiczenia już dziś! Jeśli ktoś nie lubi ćwiczyć na siłowni, jest to znakomita okazja do treningów na dworze. Rower, rolki, bieganie, pływanie, otwarte siłownie – to tylko kilka z wielu propozycji na aktywność. Dużą popularność w ostatnim czasie zyskuje również trening kalisteniczny, czyli taki, w którym ciężarem, jaki dźwigamy, jest masa naszego ciała – dodaje trener Mateusz Kulągowski. ●

Od tego zacznij

- spacer;
- rozciąganie;
- siłownia plenerowa. ●

Te badania koniecznie wykonaj, zanim zaczniesz treningi

- morfologia krwi i ogólne badanie moczu;
- warto zainwestować w echo serca;
- przyszli biegacze powinni prześwietlić stawy i kości stóp. Pomoże to wykluczyć ewentualne zmiany ortopedyczne;
- jeżeli trenujesz, a przekroczyłeś już 40 lat, zrób przynajmniej raz na rok test wysiłkowy. ●

Dodatek sfinansowano z funduszu prewencyjnego

Organizatora akcji Pomoc To Moc

eprasa.pl b95f64bea9

Latem pogoda lubi zaskakiwać

Nie lekceważmy zagrożenia burzami

Letni wypad na długi spacer w góry czy do lasu to sama przyjemność. Lato to jednak także okres gwałtownych zjawisk pogodowych, takich jak coraz częstsze u nas trąby powietrzne, burze czy towarzyszące im opady gradu. Latem powinniśmy być szczególnie ostrożni i zadbać o to, aby nasz spacer, zwłaszcza w miejsce odkryte, w góry, gdzie nie ma gdzie się schować w razie nawałnicy, nie skończył się tragedią lub – w najlepszym razie – przemoczeniem i przeziębieniem. O tym, jak groźna bywa aura, przekonali się ostatnio turyści porażeni piorunem w drodze na Giewont.

O zagrożeniach, jakie wiążą się ze zmianami klimatu powodowanymi przez globalne ocieplenie, słyszeli już chyba wszyscy. Nie ma znaczenia, czy wierzymy w to, że emisja gazów cieplarnianych przyczynia się do kataklizmów pogodowych, czy nie, musimy być przygotowani na to, że latem aura może nas zaskoczyć. Piękny, upalny dzień często kończy się przecież nawałnicą, której towarzyszy huraganowy wiatr. Zetknięcie się mas ciepłego, nagrzanego powietrza z zimnym frontem zazwyczaj kończy w sposób gwałtowny i spektakularny.

Rozpoczynając zatem spacer przy pięknej pogodzie, warto jednak mieć świadomość, że ładna aura może nie towarzyszyć nam do końca dnia, i to nawet podczas okresów, dla których ogólne prognozy pogody są pomyślne. Może bowiem dojść do gwałtownych zjawisk, które występują lokalnie, na znacznie ograniczonym obszarze. Przykładem są chociażby tzw. białe szkwały, czyli pojawiające się bez żadnych ostrzeżeń huraganowe wiatry powodowane przez stępujące prądy powietrza. Tym bardziej zatem kiedy aura daje nam wyraźne ostrzeżenia w postaci chmur zbierających się na horyzoncie, powinniśmy zwiększyć naszą czujność. Każda burza może bowiem stanowić dla nas zagrożenie.

– Nie można lekceważyć siły burz. Nawet z początku niepozorna burza w miarę upływu czasu może się stać bardzo groźna. Dla własnego bezpieczeństwa należy założyć, że każda burza jest niebezpieczna i podczas jej występowania podjąć określone zachowania – mówi Julianna Drożdżyńska, synoptyk IMGW-PIB.

Wybierając się na długi spacer, warto zatem przypomnieć sobie podstawowe zasady zachowania na wypadek, gdyby burza nas zaskoczyła.

Satelita nas ustrzeże

Myśląc o pogodzie, pamiętajmy, że to po prostu aktualna sytuacja, w jakiej znajduje się atmosfera ziemska w danym miejscu. Oczywiście wyglądając przez okno i oceniając rozkład chmur na niebie oraz siłę i kierunek wiatru, obserwując przemieszczanie się obłoków, nie jesteśmy w stanie określić pogody na obszarze większym niż kilkadziesiąt kilometrów kwadratowych. Dzisiejsza technika umożliwia nam jednak spojrzenie na nasz region z poziomu orbity okołoziemskiej w niemal rzeczywistym czasie. W internecie w sposób bardzo łatwy znajdziemy serwisy, które na bieżąco, co 15 minut, publikują zdjęcia z satelitów meteorologicznych. Wybierając się rano na spacer, możemy na ekranie swojego smartfona w kilka chwil sprawdzić, czy nad region, w którym przebywamy, nie nadciąga właśnie burzowy front. Zdjęcia można oglądać w trybie „filmowym", klatka po klatce, co daje nam pogląd o kierunku przemieszczania się mas powietrza niosących deszcz lub duże zachmurzenie.

W równie łatwy sposób znajdziemy w sieci dane pochodzące z radarów pogodowych. Przedstawiają one w czasie rzeczywistym rozkład opadów w całej Polsce i ich intensywność. W połączeniu z obrazem satelitarnym mamy więc komplet danych, który pozwoli nam zaplanować dzień urlopowy oraz stwierdzić, czy długa piesza wycieczka jest dziś bezpieczna i nie skończy się poszukiwaniem schronienia. ●

Jak się zachować podczas burzy

- jeśli to możliwe, poszukać schronienia, nie zostawać na zewnątrz;
- unikać wzniesień, bezpośredniej bliskości wysokich obiektów, takich jak drzewa czy słupy;
- nie rozkładać parasola, zdecydowanie lepiej zmoknąć, niż ściągnąć pioruny;
- jeśli nie możemy schować się przed burzą, starajmy się znaleźć zagłębienie terenu;
- nie kładźmy się ani siadajmy na ziemi, lepiej kucnąć i objąć przyciągnięte do siebie kolana;
- jeżeli w czasie burzy jesteśmy w samochodzie, pozostańmy w nim, bo to bardzo bezpieczne miejsce;
- jeżeli burza dopadnie nas na wodzie, jak najszybciej płyńmy do brzegu. ●



Fot. Shutterstock

eprasa.pl b95f64bea9



Ostre cięcie

Familijna publiczność pokochała inną Amy Adams, ale nie dla rodzinnego oglądania powstały „Ostre przedmioty”. Nowy miniserial HBO mocno wyostrzył wizerunek aktorki. Dał jej też szansę na kolejne nagrody. A tych w kolekcji ma już wiele, w tym pięć oscarowych nominacji

Fot. Shutterstock

eprasa.pl b95f64bea9



JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

W sierpniu tego roku skończy 44 lata. I wyraźnie był to dla niej najwyższy czas, by przejść do kolejnego etapu zawodowej kariery. Pokazać widzom, że jest w stanie – także bardzo fizycznie – wydobyć z siebie cierpienie i ból. Odsłonić – razem z graną bohaterką – nie tylko zawiłości zbrodni, lecz również meandry i skutki traumy, która dotkliwie powraca do serialowej dziennikarki Camille Preaker, gdy ta zostaje wysłana przez naczelnego do rodzinnego miasta, by napisać reportaż o zaginięciu kolejnej dziewczynki.

W nowej roli, choć zewnętrznie wciąż przypomina swoje dawne postaci – z otwartym, chwilami trochę naiwnym spojrzeniem jasnych oczu i długimi rudymi włosami (ot, taka dobra amerykańska dziewczyna) – tłumi demony przeszłości. „Zapija" je alkoholem i stępia ból psychiczny fizycznym cierpieniem, gotowa na samookaleczenie.

To wyjątkowo trudne sceny. Również dla widzów. Amy Adams nie poszła tak daleko za swoją bohaterką w żadnym wcześniejszym filmie. Chociaż stworzyła parę pamiętnych ról. I wśród licznych wyróżnień zdobyła za nie m.in. pięć oscarowych nominacji.

FILMEM ZACZAROWANA

Najszersza, familijna publiczność kojarzy ją z wersją księżniczki przykrojoną do współczesnych trendów i wymagań. Bajkową bohaterką, która w 2007 r. trafia do Nowego Jorku i częściej sama pomaga, niż pomocy oczekuje.

Jako tytułowa „Zaczarowana" Adams oczarowała kinową publiczność. Dostała nawet nominację do Złotego Globa i nagrodę Grammy za piosenkę „That's How You Know".

Nim jednak zaproponowano jej główną rolę, pracowicie odrabiała aktorskie lekcje na drugim planie. Miała szczęście do ekranowych partnerów, umiała od nich czerpać i się uczyć. Potrafiła też wykorzystywać kolejne szanse.

W 1999 r. zadebiutowała w komedii „Zabójcza piękność", w której gwiazdą była Kirsten Dunst. Potem występowała m.in. w popularnych serialach dla młodzieży (np. „Buffy: postrach wampirów", „Czarodziejki" czy „Różowe lata 70."). To była dobra szkoła warsztatu, co potwierdziła w 2002 r. W kinowym filmie „Złap mnie, jeśli potrafisz" Stevena Spielberga światła były co prawda skierowane na Leonarda DiCaprio (a także na Toma Hanksa i Christophera Walkena), ale Amy nie zniknęła w ich blasku.

OSCAROWE NADZIEJE

Pierwszą nominację do najważniejszej filmowej nagrody przyniósł jej niezależny obraz „Świetlik" z 2005 r. Jej spodziewająca się dziecka, rozgadana bohaterka najpierw podbiła widzów festiwalu w Sundance, potem zwróciła uwagę m.in. członków Amerykańskiej Akademii Filmowej.

Dwa lata później zagrała główną rolę w „Zaczarowanej", by rok później stanąć na planie filmu „Wątpliwość" obok Meryl Streep i Philipa Seymoura Hoffmana. Postać naiwnej zakonnicy zaowocowała drugą nominacją do Oscara i Złotym Globem, a także propozycją roli w kolejnym filmie ze Streep. Produkcja nosiła tytuł „Julie i Julia", a Amy zagrała w niej kulinarną blogerkę podejmującą wyzwanie, by ciągu roku przygotować wszystkie przepisy z opublikowanej w 1961 r. kultowej książki kucharskiej Julii Child.

Szansa na najważniejszą statuetkę pojawiła się ponownie dzięki filmowi „Fighter" (2010). Tym razem Amy zagrała barmankę próbującą wyciągnąć swojego chłopaka boksera (Mark Wahlberg) z destrukcyjnych rodzinnych relacji.

Minęły dwa lata i Akademia znów doceniła nominacją postać stworzoną przez aktorkę – stojącą mocno u boku swojego mężczyzny. W „Mistrzu" Paula Thomasa Andersona Adams wcieliła się w żonę religijnego przywódcy. Wystąpiła u boku Joaquina Phoenixa i Philipa Hoffmana.

W głośnym „American Hustle" (2013) spotkała na planie m.in. Bradleya Coopera, Christiana Bale'a i Jennifer Lawrence. W tym towarzystwie, za rolę zimnej kochanki zawodowego oszusta, przyznano jej czwartą oscarową nominację oraz Złotego Globa. Podobna nagrodowa konfiguracja powtórzyła się przy „Wielkich oczach" (2014) Tima Burtona. W tym filmie wcieliła się w zdominowaną psychicznie malarkę, której mąż (w tej roli Christoph Waltz) przypisuje sobie autorstwo jej prac.



Fot. Mat. prasowe

WYMYŚLIĆ SIEBIE

Można powiedzieć, że rolę w serialu HBO sama dla siebie wymyśliła i przygotowała. Jeszcze na etapie scenariusza, zainspirowanego debiutancką powieścią Gillian Flynn (autorki głośnej – zarówno w wersji książkowej, jak i filmowej – „Zaginionej dziewczyny"). Adams została jednym z producentów wiodących filmu. Do reżyserii namówiła Jeana-Marca Vallée, który odniósł sukces dzięki serialowi HBO „Wielkie kłamstewka", a także kinowemu obrazowi „Witaj w klubie". Poznała go, gdy mieli wspólnie kręcić film o Janis Joplin. Z tamtego projektu nic nie wyszło, ale na planie „Ostrych przedmiotów" Vallée zafascynowany obserwował, jak aktorka, wchodząc w graną przez siebie postać, coraz bardziej odsuwała się od dawnego wizerunku i przekraczała kolejne granice. Zawodowe i społeczne. Jej bohaterka jest silna, a jednocześnie nie potrafi się wyzwolić z kręgu przemocy. Reżyser uważa, że swoją rolą Adams wyznaczyła nowe szlaki dla ekranowych postaci kobiecych.

eprasa.pl b95f64bea9

Na scenie czuję się jak w raju



Fot. Renata Kwiatkowska

Z Józefem Skrzekiem, liderem grupy SBB, rozmawia Jaromir Kwiatkowski

Na początku lipca skończyłeś 70 lat. Młodsi muzycy pewnie traktują cię jak dinozaura.

Józef Skrzek: Jak będziesz markotny, przygaszony, niezdolny do życia, to zawsze będziesz dinozaurem, nawet gdy będziesz miał 16 lat [śmiech]. Ludzie, którzy są w formie, cały czas są młodzi duchem.

Często podkreślasz swoje śląskie korzenie. Mieszkasz w Siemianowicach Śląskich, na ojcowiźnie, w 120-letnim domu po pradziadkach.

Szeroko patrzę na świat, ale kocham Śląsk, tym bardziej że jestem najstarszy z pokolenia po moich śp. rodzicach. Oni mnie bardzo dobrze przygotowali do życia. Ich opieka, wskazówki, dyscyplina ojcowska, pieszczoty mamusi, wujkowie, którzy stawiali mnie na podest, żeby sobie Józek zaśpiewał – to wszystko wywarło na mnie wielki wpływ. Byłem bardzo chłonny, otwarty na ludzi, nie bałem się świata. To bardzo ważne, abyś – jeżeli chcesz cokolwiek robić – się nie bał. Ślązacy to ludzie odważni. W końcu zjeżdżają do roboty 1 000 m pod ziemię...

Profesjonalne granie zacząłeś na przełomie lat 60. i 70. u Tadeusza Nalepy w grupie Breakout. W latach 70. występowałeś z Czesławem Niemenem, a potem nastał czas totalnej awangardy z grupą SBB. Jak wyglądały twoje początki na muzycznej scenie?

W wieku 20 lat straciłem ojca. Był sztygarem, a jednocześnie ratownikiem górniczym w kopalni Michał w Siemianowicach. Podczas akcji miał niedopasowaną maskę i – jak to mówią – „zagazował się". Umarł po kilku miesiącach. Byłem wtedy na drugim roku studiów w Akademii Muzycznej w Katowicach.

I studia przerwałeś.

Tadek już wcześniej mnie słyszał, nawet proponował mi wspólne granie, ale odmawiałem, tłumacząc, że się uczę. Kiedy zostałem półsierotą, wiedziałem, że muszę wspomóc rodzinę. Po czwartym semestrze wziąłem urlop dziekański i zastanawiałem się, co dalej. A że Tadeusz już dość długo mnie nagabywał, w końcu się zgodziłem. On na to: „Ale to jest zespół gitarowy, musisz grać na gitarze basowej". Bo ja byłem raczej pianistą wychowanym na klasyce. Jako basista byłem samoukiem. Do dziś zresztą gram na tym instrumencie po swojemu. Rok z Breakoutami to był dla mnie bardzo ważny okres, bo zapoznałem się ze sceną. Franciszek Walicki powtarzał mi: „Co z tego, że świetnie grasz, musisz jeszcze świetnie wyglądać". Kolorowe stroje, długie włosy, buty na obcasach... Musiałem wyglądać świetnie, bo miałem duże wzięcie z różnych stron [śmiech].

Klasyczna edukacja muzyczna i granie u „ojca polskiego bluesa". Dobre połączenie.

Byłem ciekawy świata. Podglądałem organistę w kościele. Kiedy chodziłem do ogólniaka w Siemianowicach, koledzy zaczęli grać bluesy... Interesowała mnie także muzyka jazzowa Oscara Petersona.

Ta wielość inspiracji stanie się później charakterystyczną cechą SBB. W 1971 r. z Apostolisem Anthimosem i Jerzym Piotrowskim założyłeś pierwsze wcielenie tej grupy – Silesian Blues Band. Szybko jednak podjęliście współpracę z Czesławem Niemenem jako Grupa Niemen – jedno z najbardziej niezwykłych zjawisk w historii polskiego rocka.

Anthimos i Piotrowski to byli amatorzy. Jako Silesian Blues Band „trenowaliśmy" przez prawie rok. Wtedy dostałem od Niemena propozycję, abym zagrał w jego nowej grupie.

eprasa.pl b95f64bea9

Z Jaśkiewiczem, Bartkowskim, Gogoszem, Szukalskim, Namysłowskim. Muzyczną elitą. Zrobiliśmy próbę w warszawskiej Stodole, brzmiało bardzo dobrze. Ale powiedziałem Cześkowi, że ostatnio ćwiczyłem z dwoma takimi „absztyfikantami", którzy grają całkiem nieźle. Może by się przydali. Kontrabasista Helmut Nadolski mnie poparł. Czesław ich posłuchał i... totalnie zmienił skład. Na co oczywiście warszawska „menażeria" podniosła krzyk, że to niemożliwe, by tacy amatorzy grali z taką gwiazdą jak Niemen.

Anthimos miał 17 lat... W każdym razie nikt wtedy nie grał tak progresywnie jak wy. Ale po dwóch latach opuściliście Niemena. Podobno skłócili was menedżerowie.

Nie było żadnego konfliktu artystycznego, jednak pewni ludzie z otoczki producenckiej od początku byli do mnie źle nastawieni. Traktowali mnie jak małolata, który nic nie powinien wiedzieć. Ale jeżeli graliśmy na największych festiwalach na świecie, a dostawaliśmy honoraria takie, że ledwo, ledwo przędliśmy, to zacząłem dociekać, dlaczego tak jest. No to słyszałem: „Co cię, gówniarzu, obchodzą szczegóły kontraktu". Kilka razy powiedziałem Cześkowi, że w takim układzie dalej grał nie będę. Czesiek obiecał, że to załatwi. Ale za bardzo nic nie mógł, bo był na cenzurowanym. Teraz robi się z niego bohatera, a wtedy różni ludzie pluli na niego, miał problemy z zameldowaniem się w Warszawie, mieszkał w malutkiej kawalerce.

A może Grupa Niemen i tak była skazana na rozpad, bo dwie tak wielkie indywidualności to za dużo na jeden zespół?

Możliwe. Pokora ma duże znaczenie w muzyce, ale to się wie dopiero po latach. Młodzi ludzie zawsze będą chcieli się przebić. Po śmierci ojca wiedziałem, że nie mam nic do stracenia. Powtarzałem sobie w duchu: „Walcz!". No i walczyłem. Uważałem, że jeżeli to koło ma się kręcić, to niech się kręci, nawet jeśli jest to ryzykowne. Choć pewnie, gdyby nie tamte układy, gralibyśmy z Cześkiem dłużej.

Po rozstaniu z Niemenem nastąpił drugi, właściwy debiut SBB i była „złota dekada" lat 70. Objeździliście prawie całą Europę; zagraliście na największym europejskim festiwalu rockowym w Roskilde, gdzie Bob Marley w dzień twoich urodzin śpiewał ci „Happy birthday"; SBB uważano za najlepsze rockowe trio od czasów Creamu i The Jimi Hendrix Experience; należeliście do ścisłej czołówki grup rocka progresywnego w Europie.

Jechaliśmy wtedy szczęśliwym torem po Europie lądowej (poza ZSRS, gdzie mieliśmy zakaz wjazdu). Byliśmy wręcz noszeni na rękach.

A ten zakaz z czego wynikał?

Z tego, że nieśliśmy przesłanie wolności. Graliśmy utwór „Freedom", ale nie tylko o to chodziło. W krajach za żelazną kurtyną, takich jak Polska, Czechosłowacja czy Węgry, młodzi ludzie traktowali nasz koncert wręcz jako manifest. Często była to ich walka o wolność.

Przebiliście się na drugą stronę żelaznej kurtyny. Nie da się jednak ukryć, że nie ułatwiała ona wam robienia kariery.

Prościej by nam było, mając w ręku pierwszy dobry kontrakt z Niemcami, nastawić się tylko na Zachód i po zagraniu iluś koncertów po tamtej stronie pojechać – tak jak nam sugerowano – na wakacje do Szwajcarii. Lecz my na to: „Nie, bo mamy koncerty w Warszawie i Pradze". Zaproponowałem przedstawicielom niemieckiej agencji Aries, reprezentującej nas na Zachodzie, by pojechali z nami i zobaczyli, co znaczy koncert po wschodniej stronie żelaznej kurtyny. Później jeździli z nami także dziennikarze, głównie niemieccy, ale również belgijscy, holenderscy i skandynawscy. Stwierdzili, że to, co zobaczyli, jest absolutnie niesamowite. Koncertowanie po obu stronach żelaznej kurtyny wymagało czasu i niesamowitej kondycji. Gdybyśmy się zdecydowali na robienie tzw. światowej kariery, trzeba byłoby coś poświęcić, a na pewno na pewien czas wyjechać z Polski. Do Stanów czy Wielkiej Brytanii.

A wy nie wyobrażaliście sobie trasy koncertowej bez występów w Polsce, na Węgrzech czy w Czechosłowacji.

Dokładnie. Fantastyczna publika, wspaniałe spotkania, przyjaźnie, które trwają do dziś, wspólne granie z muzykami z Locomotivu GT, Omegi, Skorpio czy czeskiego Blue Effectu.

W komunistycznych czasach można było grać wiele, a zarabiać niewiele.

Ministerialne stawki za koncert były wielkim oszustwem. Grając na weselu, mogłeś zarobić więcej.

Oszukiwano was także za granicą, np. na Węgrzech.

Kiedyś graliśmy dla 20 tys. ludzi w Budai Ifjusagi Park. W pewnym momencie przyszedł gospodarz koncertu i powiedział: „Nie grajcie poprzez Interkoncert, bo oni was oszukują, ja wam daję 300 tys. forintów". Przyniósł nawet papier. Wtedy zrozumiałem, że skoro agencja daje nam za koncert 25 tys., a on 300, to znaczy, że tamci oszukują nas na 275 tys. forintów i biorą te pieniądze dla siebie.

W 1980 r. zawiesiliście działalność SBB. Czuliście się zmęczeni szaloną dekadą?

Zdecydowanie. To były lata harówki. Byliśmy cały czas w trasie. Do domu przyjeżdżałem głównie na Wigilię i Wielkanoc. Wtedy jednak tak to trzeba było robić, a ja koordynowałem wszystko: kontakty z Pagartem, PSJ, Ariesem, dziennikarzami. Moje biuro mieściło się w torbie, którą cały czas nosiłem z sobą. Ale gdy podpisaliśmy kontrakt z Niemcami, to już tylko kontrolowałem, czy jest dobrze realizowany.

Klaus Schulze – widząc, jak grasz – prognozował, że będziesz bogaty.

[śmiech] To było w stanie wojennym. Powiedziałem: „Klaus, ty tylko siedzisz w Novotelu, pijesz drinki, przejdź się ze mną po mieście, zobaczysz, co jest w sklepach". A w sklepach nie było nic. On do mnie: „To wyjedź". Odpowiedziałem: „Jak wyjadę, to nie będę grał w miejscach, w których gram". A Klaus na to: „Richtig" [„Słusznie" – przyp. J.K.].

eprasa.pl b95f64bea9

W latach 80. zająłeś się innymi projektami.

Kiedy wszyscy emigrowali, bo bali się, co z tego, co się wtedy działo w Polsce, wyniknie, albo nie wiedzieli, czy będą mieli z czego żyć, okazało się, że można sobie poradzić także w trudnych czasach. Grupka ludzi ze Śląska zaadaptowała starą budę na skraju chorzowskiego parku i tak powstała Leśniczówka – miejsce, w którym zaczęliśmy się spotykać i prowadzić różne działania artystyczne. Wokół Leśniczówki skupiło się, wyłącznie na zasadzie wprowadzenia przez znajomego, mnóstwo fantastycznych „modeli" – artystów i artystek. Wielkich oryginałów. To było „atelier wszech czasów", genialne pod każdym względem! Do tego zacząłem grać w kościołach. Byłem pionierem muzyki elektronicznej w kościele.

Leśniczówka z jednej strony, kościoły z drugiej – to było jakby połączenie ognia z wodą.

Podejrzewano mnie nawet, że jestem satanistą, bo zadaję się z chłopcami, którzy grają heavy metal [śmiech]. Do tego komponowałem muzykę teatralną i filmową. Śmiali się ze mnie: „Józek, aleś ty głupi. Jak myśmy tu siedzieli, to ty wyjeżdżałeś za granicę. A teraz tu taka bieda, a ty zostajesz w Polsce?". Odpowiadałem: „Zostaję, bo chcę". Zostałem i nie żałuję. Najbardziej cieszyła się mama, która jeszcze wtedy żyła. Zaczął się tworzyć pewien porządek rodzinny. Zostałem na ojcowiźnie jako gospodarz bez praktyki. Musiałem szybko ją nabyć.

No i z Józka rockandrollowca stałeś się Józefem rodzinnym.

Dokładnie. Zmieniłem nastawienie do życia. Zrozumiałem, że dziś jesteś na topie, a jutro możesz nie być, bo ludzie zmieniają upodobania. A nawet gdy jesteś na topie, to i tak przychodzi samotność. Schodzisz ze sceny po koncercie, na którym oklaskiwały cię tysiące ludzi. Oni idą domu, a ty zostajesz sam, w hotelu, w którym możesz się jedynie upić. Frustracja zupełna.

W latach 90. SBB występowało sporadycznie. Ale to też była dla ciebie dekada ciekawych doświadczeń.

Stwierdziliśmy z Aliną, z którą jesteśmy małżeństwem od 38 lat: może pokochajmy się na nowo? I wtedy urodziły się nam w niewielkim odstępie czasu dwie córki. Mieliśmy już Karinę, która urodziła się w 1982 r. Na początku lat 90. zdobyliśmy się na odwagę i rozpoczęła się nasza dekada rodzinna: w marcu 1992 r. urodziła się Luiza, a w grudniu 1993 – Elżbieta. W tamtych latach zacząłem dostawać sporo poważnych propozycji ze Stanów. Ale miałem małe dziewczynki.

> Muzyka to uniesienie. Kosmos. Niebo. Piekło czasami też...

Pomyślałem, że kiedy będę kilka miesięcy za oceanem, to po powrocie one będą patrzeć na mnie jak na obcego faceta. Zdecydowałem, że zostaję. Zaczęliśmy wtedy jeździć w polskie góry, przede wszystkim w Beskidy. Doświadczyłem, że te góry są lepsze od Stanów! Że mnie się tu podoba! Może nie zarabiam kokosów, ale gram. Żyję. Oczywiście zajmowały mnie także inne sprawy, ale góry były najważniejsze. I rodzina, która dzięki tym wyprawom się integrowała. Przekonałem się, że możemy tak żyć. Oczywiście gdy trafił się jakiś kontrakt, to go realizowałem. Zacząłem też grać z góralami. Zrealizowaliśmy „Tryptyk beskidzki". Muzycznie górale dali mi w tamtym czasie wszystko, czego potrzebowałem.

Nowy początek SBB nastąpił z nastaniem nowego wieku. Łatwo się było wam odnaleźć na scenie po dwóch dekadach?

Nie było lekko. Oczekiwania są takie, że cały czas musisz być w dobrej formie, zaskakiwać i być w miarę świeży. Nie możesz pokazywać, że jesteś zmęczony. Na nasze koncerty nie przychodzi już 50 tys. ludzi jak w latach 70., ale jest jeszcze spora gromada tych, którzy nas lubią. Natomiast media grają nas o wiele rzadziej.

Czy obecnie jest jeszcze na polskim rynku muzycznym miejsce na SBB?

Takie zespoły jak The Rolling Stones czy U2 będą na rynkach światowych zawsze. Polski rynek jest mały, tu co sezon wyskakuje jakaś inna gwiazdka. Jeśli nie masz zbytu gdzie indziej, to możesz się zdziwić, że nagle cię nie ma. Ale ja się tego nie boję. Jesteśmy w dobrej formie i to, że – oprócz grania z SBB – robię też inne rzeczy, ma znaczenie. Robię swoje. Chcę być nadal w dobrej formie, w zdrowiu, z pomysłami i wytrzymałością, choć gdy robisz coś piątą dekadę, to wolałbyś, żeby to była pierwsza [śmiech].

Dziś jest taka moda, że np. jazzmani robią wspólne projekty z hiphopowcami. Myślałeś o czymś takim?

Bardziej się kojarzę z graniem z góralami. Występowałem też m.in. z saksofonistą jazzowym Tomkiem Szukalskim, z którym bardzo się przyjaźniliśmy. Oczywiście może też dojść do innych spotkań. Podczas Męskiego Grania w Krakowie SBB połączyło się z trzema grupami raperów, którzy wykonali nasze utwory. Była nasza ostra sekcja, a do tego weszli jeszcze raperzy ze swoimi bitami. Wyszło bardzo dobrze i nawet był pomysł, aby zrobić z tego płytę. Czemu nie? To ryzykowne, a przede wszystkim śmiałe połączenie.

Skoro w latach 70. wyznaczaliście „nowy horyzont", to może warto spróbować i zobaczyć, co jest „za linią horyzontu" – jak mówią tytuły waszej drugiej i najnowszej płyty.

Chcę po prostu grać dalej, bo na scenie czuję się zawsze jak w raju. Tam wyrażam prawdę o sobie. Reszta jest zbiorem czegoś bardzo istotnego, co się nazywa życiem codziennym: spotkań, przygód, poznawania świata. A muzyka to uniesienie. Kosmos. Niebo. Piekło czasami też... [śmiech]

eprasa.pl b95f64bea9

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

„Wołyń” – o człowieczeństwie

Telewizja Polska zrobiła wydarzenie ze swojej premiery „Wołynia” Wojciecha Smarzowskiego – w okolicy symbolicznej 75. rocznicy wołyńskiej rzezi. Dwa lata temu jury gdyńskiego festiwalu nie dało Smarzowskiemu nagrody. Dostali operator, aktorka (Piotr Sobociński, Michalina Łabacz, oboje wspaniali), ale nie on ani nie film. Jacek Kurski wręczył mu wtedy nagrodę TVP gdzieś na schodach. Cokolwiek by powiedzieć o politycznych motywach władz TVP, to one miały wyczucie, co jest ważne.

Sądzę, że to jury bało się wrażenia, że nagradza film za „martyrologię”, która musi być prawicowa, nawet jeśli zajmuje się nią nieprawicowy Smarzowski. Teraz TVP, po filmie obejrzanym przez 3 mln widzów, zorganizowała debatę, w której Bronisław Wildstein nawoływał, aby nie mieszać jak najsłuszniejszej polityki pamięci ze współczesnym stosunkiem do Ukrainy. Mówił to, kiedy wzajemne relacje są złe jak nigdy.

Może nawet trochę prawdziwe były zarzuty części liberalnej lewicy o ryzykownej naturze filmu. „Wołyń” nie ukształtował moich poglądów, przed jego obejrzeniem mówiłem, że zdarzyło się tam ludobójstwo, co należy poświadczyć, i że zarazem trzeba układać stosunki z Ukraińcami dziś. Ale moja emocjonalna gotowość, aby ryzykować to drugie dla tego pierwszego stała się po „Wołyniu” jakby większa. Po takim wstrząsie przestaje się traktować opowieść o ludzkim cierpieniu jako abstrakcję.

Tylko że jak w greckiej tragedii: innej drogi nie było. Smarzowski do filmu szykował się latami studiowania tematu, uważał, że upamiętnienie tamtej tragedii to obowiązek. On, który częściej dekonstruował, wyśmiewał, niż klękał. Tak, mamy obowiązek wobec dawnych pokoleń. A tu może mieliśmy większy. Pewien znajomy z Facebooka, niezadowolony z geopolitycznej roli filmu, napisał: „Po co o nich pamiętać, to byli tylko chłopi”. Chłopi, więc skazani na zapomnienie.

To, że byli to chłopi, prowadziło do różnych absurdów, także pretensji – na szczęście nielicznych – prawicowców, że film nie upiększa polskiej społeczności, że jest zbyt brutalny. Bo Polacy to muszą być lukrowane postaci, koniecznie w dworkach. Smarzowski nie lukrował. Mój żal do jury z Gdyni brał się z tego, że to nie był tylko film ważny. To film wielki, może największy po 1989 r. Bo nie upiększa człowieka, a jednak się nad nim pochyla. Bo współczuje swoim (co wynika z rachunku krzywd), ale próbuje, na ile się da, zrozumieć wrogów, nawet jeśli go przerażają.

Bo pokazuje tętniącą życiem opowieść o logice historii, która przejeżdża niczym walec po zwykłych ludziach. Jak powiedział aktor Adrian Zaremba, ładnie prowadzący tu rolę AK-owca Antka Wilka, warto na niego spojrzeć drugi, trzeci raz (nawet wyłączając telewizor przy największych okrucieństwach), aby zauważyć coś, co na początku umknęło. Choćby postawę tegoż Antka, chłopskiego syna, zwyczajnego, a przyzwoitego niczym AK-owiec z „Róży”. On mieszkając w jednej chałupie z Zosią, młodziutką, a doświadczoną przez życie, nie narzuca się jej. Scena, kiedy się dotykają i... do niczego nie dochodzi, to jedna z najdelikatniejszych scen współczesnego kina. Czytałem, że to film o potędze zła. To także film o dobru, namacalnym, choć przytłumionym przez okrucieństwo. Owszem prowadzący do niewesołych, nawet niepoprawnych politycznie wniosków, jednak bardzo mi bliski jako hymn o człowieczeństwie.



I finałowa uwaga. Smarzowski epatuje teraz nowym filmem, który reklamuje jako „wściekle antyklerykalny”. Możliwe, że jutro się z nim pokłócę. Ale osiągnął „Wołyniem” więcej niż niejeden konserwatysta.

Piotr Zaremba

Więcej Chopina w Żelazowej Woli

W Żelazowej Woli nieopodal domu urodzin Fryderyka Chopina i otaczającego go zabytkowego parku w najbliższych latach powstanie Międzynarodowe Centrum Muzyki z salami koncertowymi i konferencyjnymi oraz ze studiem nagrań

Fot. Shutterstock



ADAM CIESIELSKI

Chopin i Żelazowa Wola to hasła magnetyczne w każdej szerokości geograficznej. Międzynarodowy konkurs na opracowanie koncepcji nowego centrum wzbudził ogromne zainteresowanie. Zgłosiło się 213 pracowni z 18 krajów, do etapu studialnego trafiły 94 projekty. Decyzją jury, w którego skład wchodzili architekci, chopinolodzy, przedstawiciele Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz władz województwa mazowieckiego nagroda główna przypadła pracy polskiego zespołu Bolesława Stelmacha. Tego samego, który w minionym dziesięcioleciu zaprojektował Centrum Chopinowskie przy ul. Tamka w stolicy, a także nowe pawilony obsługi turystów i modernizację parku-pomnika wokół Domu Chopina w Żelazowej Woli.

Podczas niedawnej uroczystości ogłoszenia wyników konkursu w warszawskiej siedzibie SARP wicepremier, minister kultury i dziedzictwa narodowego Piotr Gliński podkreślił znaczenie inwestycji realizowanej w miejscu tak ważnym dla polskiej i światowej kultury. Budowa rozpocznie się w końcu 2019 r. i potrwa dwa lata, a jej koszt ma wynieść 65 mln zł. „Nowe obiekty będą wartością dodaną, powstaną nie na terenie dotychczasowego ogrodu, ale obok; nie grozi więc kolizja" – zapewniał minister.

Nie będzie zatem konkurencji czy nakładania się zadań. Także ryzykownej dominacji w krajobrazie i nastroju. Zwycięski projekt – delikatnie przeszklone, otoczone i pokryte roślinnością budynki wzdłuż Utraty – harmonijnie wtapia międzynarodowe centrum w kontekst istniejącego sąsiedztwa. Gmach obejmować ma obliczone na 650 miejsc audytorium koncertowe o najwyższych walorach akustycznych, z estradą dla stuosobowej orkiestry. Przewidziane są ponadto sale kameralna i konferencyjna, pomieszczenia do ćwiczeń, studio nagrań z reżyserką dźwięku, garderoby, przestrzenie gastronomiczne i biurowe, garaż podziemny. Zdaniem Artura Szklenera, dyrektora Narodowego Instytutu Fryderyka Chopina i jurora rozstrzygniętego konkursu, nowy wielofunkcyjny obiekt umożliwi rozbudowanie i intensyfikację działalności artystycznej, edukacyjnej i szkoleniowej NIFC. W przyszłości będą się tu odbywały m.in. koncerty festiwalu „Chopin i jego Europa", eliminacje Międzynarodowych Konkursów im. Fryderyka Chopina, kursy mistrzowskie i konferencje naukowe.

Budowa i działalność Międzynarodowego Centrum Muzyki w Żelazowej Woli to także zrozumiałe nadzieje na ożywienie kulturalne i gospodarcze tego regionu Mazowsza. Wśród przyszłościowych wizji snutych podczas wspomnianego spotkania w SARP pojawił się nawet obrazek sznuru autokarów z setkami Japończyków spragnionych chopinowskich atrakcji. Dowożonych wprost z lotniska Centralnego Portu Komunikacyjnego, mającego wszak powstać w Baranowie między Grodziskiem a Sochaczewem, ledwie 20 km od Żelazowej Woli. Entuzjazm Japończyków, którzy z miłości do naszego genialnego romantyka sprawili sobie kopię jego pomnika z warszawskich Łazienek (w 1994 r. byłem na jego odsłonięciu w mieście Hamamatsu) budzi szacunek, ale przybysze z Kraju Kwitnącej Wiśni są tu tylko rzuconym ad hoc przykładem szerszego zjawiska. Chodzi o perspektywę niespotykanej chyba wcześniej skali frekwencji. Wróżącej zyski ekonomiczne, ale i ewokującej pytania. Nie trzeba być wyznawcą elitarności sztuki gardzącym kulturą masową, by przestraszyć się snu o tłumach szturmujących bramy Domu Chopina i nowego centrum nad Utratą. A wyobraźnia dodaje do tego opary grillowego dymu. Sen- mara! Na jawie pilnujmy jednak, aby się taki koszmar nie ziścił. Nie zadepczmy Żelazowej Woli, strzeżmy skarbu jej kameralnego klimatu, pozwalającego na przeżycie bliskiego spotkania z Chopinem i jego muzyką.

eprasa.pl b95f64bea9



Wilcze zęby, oczy siwe

Wojciech Stanisławski

Doświadczenia dorastającego na Bielanach chłopaka okazały się emblematyczne dla całej generacji rówieśników II RP. Młodość „Kolumba" okazała się młodością Kolumbów stokroć bardziej, niż mógł to sobie wyobrazić Roman Bratny

Czytając niektóre biografie, dziwimy się, że powstały dopiero teraz, skoro do wczoraj żyli przyjaciele opisywanego człowieka, archiwa stoją otworem. W przypadku „Snu Kolumba" zdumienie jest tym większe, że sława samego bohatera jest w pewnym sensie nieporównywalna z największymi. Nikt przecież nie zasłużył sobie, by stać się eponimem supła na losach kilku polskich roczników, jeden „Kolumb".

Oczywiście nie tylko jego to czyn i nie jego zasługa, lecz Romana Bratnego. Ten zaś solidnie, prawem pisarza, splątał tropy, w życiorysie powieściowego „Kolumba" większość rysów i przeżyć (przynajmniej w dwóch pierwszych tomach trylogii) biorąc od innego żołnierza Kedywu – Stanisława Likiernika. Od Krzysztofa Sobieszczańskiego pożyczył jedynie (jedynie?) pseudonim, rys fantazji, garść anegdot. Zmieniło się to w trzecim, ostatnim tomie, który jednak najtrudniej było wielbić, najwięcej znać było w nim – dziś już trudno powiedzieć – czy koncesji na rzecz cenzury, czy rzeczywistych przekonań autora.

Autora, który, dodajmy, przez kolejne pół wieku zrobił wiele, by kapitał moralny, jaki zdobył, pisząc trylogię czasu wojny, roztrwonić. A jednak milcząc miłosiernie o latach w trumnie, trzeba się upomnieć o „Kolumbów. Rocznik 20". Książka ta była czymś nierównie więcej niż powieścią: już w 1957 r. stała się narzędziem zdejmowania z Armii Krajowej anatemy czasów stalinizmu. Potem niezależnie od wszelkich gier podejmowanych i przez autora, i przez komunistyczne władze szukające w moczaryzmie szans na legitymizację, okazała się fundamentem „podziemnego pomnika AK": mógł Herbert czytać Liwiusza przeciwko Liwiuszowi, mogliśmy i my w PRL czytać Bratnego przeciwko Bratnemu.

Emil Marat pisze zresztą w jednej z najgłębszych warstw swojej książki również o tych grach pamięci, o konkurencyjnych formułach pamięci o Powstaniu Warszawskim, pomiędzy którymi usiłował budować swoją perspektywę Bratny. Ale te zdania czyta się później, najpierw chłonie się losy urwipołcia, panicza, kokieta, chłopaka, bohatera – Krzysztofa z Bielan, choć urodzonego w bardzo kresowej Odessie w lipcu roku 1916.

Rzadko czyta się biografie tak dopracowane, których autor zgromadziwszy relacje, wypisy archiwalne i ocalałe listy, nie ugina się pod ich ciężarem, oferując nam duszny zestaw zbitych na filc faktów, lecz gra nimi, przeskakuje następstwo czasów, nie tracąc nad nimi ani przez chwilę kontroli. Pysznie się czyta już pierwszą część tej trylogii w jednym tomie, przedwojenne losy Krzysztofa, które prowokują do zaprzątających przed wiekiem literaturoznawców pytań o „typowość w literaturze". Bo życie Krzysztofa Sobieszczańskiego okazuje się w niejednym emblematyczne dla roczników lat 20., typowe aż do przesady: życie w cieniu ojca oficera, zmarłego w dniach wojny polsko-bolszewickiej, życie zubożałej szlachty z inteligenckimi pretensjami, życie na modernistycznych Bielanach, w podwójnym cieniu AWF i kamedułów. Pensjonarki i awantury jak z „Pożegnań" Dygata, kajaki na Wiśle jak z Newerlego, Gdynia jak ze „Sztafety": brakuje tylko wczasów w Zaleszczykach, słonicy Tuzimki i kartek pocztowych słanych Dziadkowi na Maderę, by wydało nam się, że obcujemy z ckliwą i pozłoconą syntezą dwudziestolecia.

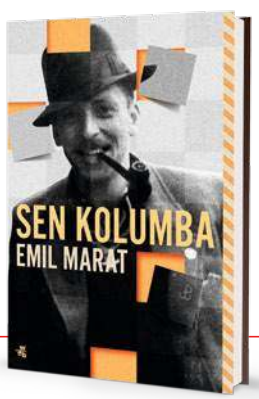
Tyle że życie młodego Krzysztofa było takie naprawdę. Nie mógł tego wiedzieć młody Bratny, który Sobieszczańskiego widział raz w życiu, na okupacyjnej werandzie w letni czas, i jest w tym cud literatury, a może nie tylko literatury, że doświadczenia dorastającego na Bielanach chłopaka okazały się emblematyczne dla całej generacji, dla „rówieśników II RP".

Dodajmy – pozostając przy tym niepowtarzalne. Biografia „Kolumba" to w pierwszej warstwie życiorys łotrzykowski, który czyta się z nostalgicznym uśmiechem, bo każdy miał w szkole kolegę, który wygrywał każdą sytuację wdziękiem, z jednakową łatwością rozbrajając dziewczyny, mamy kolegów i najsroższą nawet dyrektorkę. Ten typ tak ma: Emil Marat pisze w którymś momencie, z szacunkiem dla realiów epoki, o „błękitnookim Valentino", ale obsada się zmienia, Krzysztof w kolejnych wcieleniach mógłby być sobowtórem Jacka Nicholsona czy Bruce'a Willisa, decydujący jest ten szelmowski urok, który ocala skórę; do czasu. W którymś momencie szelma zderza się ze światem zasad poważniejszych niż regulamin szkolny, i od takich zderzeń zaczyna się „antyheroiczny" wątek w życiu Krzysztofa Sobieszczańskiego; ważny, niepomnikowy, kluczowy dla jego wojennych i powojennych losów.

eprasa.pl b95f64bea9

Te przedstawione są z nie mniejszą sprawnością i rzetelnością: historia „Kolumba", podwładnego legendarnego Józefa Rybickiego, to w zasadzie dzieje Oddziału Dyspozycyjnego Kedywu, choć jest w niej miejsce i na wcześniejsze, nieprawdopodobne niemal wydarzenia, czasem – domniemania, jak to o spotkaniu w Auschwitz więźnia Sobieszczańskiego z więźniem Pileckim. W gęstej narracji obejmującej dziesiątki akcji obecna jest również krytyka wpadek, niepowodzeń, brawury. Nie sposób odmówić jej racji, nie jest ona dla czytelnika kłopotliwa, nawet kiedy dotyka kwestii najbardziej bolesnych, powracających w lipcu, kiedy zbliża się najbardziej warszawska data. Wraz z nią – pytanie o pamiętną naradę w przeddzień godziny „W", o deficyt wyobraźni dowódców peowiaków, którzy deklamowali zdania o „zdobyciu gołymi rękami broni na Niemcach", nie rozumiejąc, co się zmieniło od listopada roku 1918, o wszystkie przesłanki prowadzące do tragedii miasta.

To ciężar, który będziemy nieść. Szale, na których spoczywa po jednej stronie „oślepiający blask wolności", a po drugiej – ogrom cierpienia na naszych barkach nawet w dwa pokolenia potem, a skoro tak – żadne stanowisko w sporach o Powstanie nie jest nieuprawnione prócz skrajnych: tego, które zamienia 63 dni w wesołą wojaczkę dobrą do wyśpiewania w piosence, i tego, które odmawia dobrego imienia jego żołnierzom oraz dowódcom. Rozumiem dystans Marata do pierwszej z tych skrajności, zwłaszcza pamiętając, że jest współautorem wywiadu rzeki ze Stanisławem Likiernikiem, który jako jeden z pierwszych legendarnych żołnierzy AK tak radykalnie podniósł kwestię „niepotrzebnej tragedii", w pewnym sensie jego uczniem. Żałuję, że być może niesiony ferworem współczesnych sporów o pamięć Powstania przekroczył granice krytyki przywódców Polski Podziemnej co najmniej w jednym przypisie; i cieszę się, że tylko tam.



Emil Marat, „Sen Kolumba", Wydawnictwo W.A.B., Warszawa, 2018

Przypis przekartkujemy, z czytelnikami pozostanie obraz „przemarszu przez piekło", powstańcze rany, szpitale i ocalenia „Kolumba" – i trzecia część książki, rekonstrukcja jego krótkich powojennych losów, inicjatyw eleganckich, szaleńczych i groteskowych. W tej też części Marat zasłużył na moje największe uznanie, przekraczając granice śledztwa historycznego, dochodząc prawd bardziej niepochwytnych niż losy samozwańczej „Polish Shipping Mission" i marszruta przemytniczego jachtu sprzed 70 lat. Krzysztofa Sobieszczańskiego, weterana Oddziału Likwidacyjnego, jeńca i więźnia, który za wszelką cenę chce uciec od poprzedniego życia, okazują się warunkować doświadczenia najważniejsze, doznania dzieciństwa: książka czytana na dobranoc przez matkę, film oglądany jeszcze w krótkich spodenkach. Jak obywatela Kane'a. Jak wszystkich.

Ozdobny nocnik i 13 innych opowiadań

Ta książka to po trosze figiel edytorski, ale nie sposób nie docenić klasy i urody, z jaką została wydana. Sprawcą – Muzeum Warszawy, które propaguje ideę opowiadania o przeszłości za pomocą „rzeczy" – czasem ozdobnych, często pospolitych przedmiotów, za którymi postępuje historia ich wykonania, zastosowań, właścicieli. Idąc za ciosem, muzeum namówiło czworo wziętych autorów do napisania 14 „opowiadań z dreszczem": kryminalnych lub groteskowych humoresek, których akcja zawęźlona jest wokół wybranych przedmiotów z wystawy stałej, od srebrnego imbryka z warsztatu Jana Macieja Schwartza po papierośnicę Stefana Starzyńskiego.

Urocza błahostka, lepsza o głowę od powstających w mozole miniantologii „opowiadań na lato" i „opowiadań na święta", nie jest może do końca wolna od popularyzatorskich dopowiedzeń, wynagradza to jednak z nawiązką świetny projekt graficzny (jego autorzy, Joanna Górska i Jerzy Skakun, zasłużyli na miejsce na okładce!), a dla koneserów literackich – możliwość rozpoznawania na kilku stronach różnic stylu: czym różni się purenonsensowe poczucie humoru Huberta Klimko-Dobrzanieckiego od ironii Łukasza Orbitowskiego?

Wakacyjna lektura, świetna pamiątka z Warszawy, promocja idei muzeum rzeczy: jest w tym wszystko, zaś autorka przedmowy prezydent miasta Hanna Gronkiewicz-Waltz, używszy w adresowanym do maturzystów wstępie soczystej frazy: „Życzę powodzenia na dalszej drodze nauki, w życiu osobistym i zawodowym", dowiodła, że nawet w zdawkowym, czysto kurtuazyjnym tekście kryć się mogą bezcenne relikty przeszłości.



Jarosław Klejnocki, Hubert Klimko-Dobrzaniecki, Joanna Olech, Łukasz Orbitowski, „Rzeczy z warszawskie dreszczem. Opowiadania dla młodych dorosłych", Muzeum Warszawy, 2018

eprasa.pl b95f64bea9



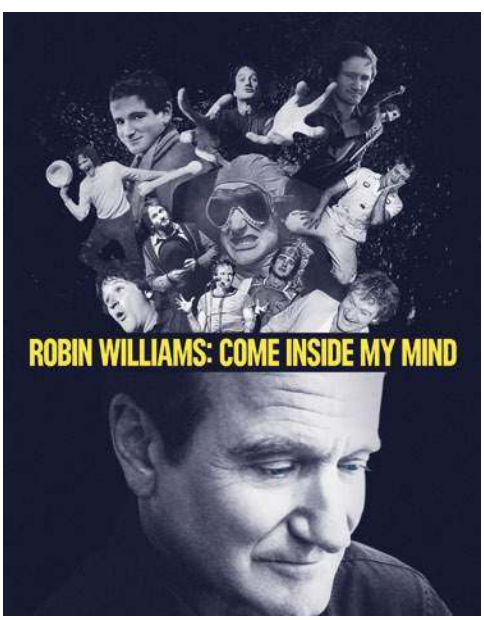
Adamski poleca

Telewizja/VOD

Smutny klaun

Jest jakiś tajemniczy mrok pojawiający się w życiu tych, którzy bawią miliony ludzi na całym świecie. Kryją się za maskami. Chowają swoje lęki za wystudiowanym uśmiechem. Z pietyzmem konstruowanym żartem. Uzależniają się od oklasków. Pracują na największych obrotach z jedną myślą: muszę być zabawny. Muszę dawać radość swoim fanom. Otchłań ich jednak pochłania. Smutni klauni. Tak wielu z nich to w rzeczywistości smutni klauni z silną depresją.

Część z nich potrafi swoją chorobę przekuć w komedię. Woody Allen robi to całą swoją karierą. Larry David i inni standuperzy opowiadają o niej podczas występów. Owen Wilson, Sarah Silverman, David Letterman – lista jest naprawdę długa. Jim Carrey obnażył demony swojego umysłu w wybitnym dokumencie „Jim and Andy", w którym zobaczyliśmy, jak autodestrukcyjnie złączył się z autystycznym komikiem Andym Kauffmanem. Carrey zmaga się z depresją i mrokami własnej duszy zupełnie otwarcie. Jakoś sobie radzi jako najsmutniejszy klaun dzisiejszej popkultury.



Robin Williams sobie nie poradził. Popełnił samobójstwo 11 sierpnia 2014 r. Co pchnęło do tego wstrząsającego świat czynu ikonę telewizji lat 70. („Mork i Mindy")? Jak mógł to zrobić zdobywca Oscara („Buntownik bez powodu"), który tworzył wybitne komediowe i dramatyczne role u największych światowych reżyserów (Gilliam, Van Sant, Weir, Levinson, Spielberg, Coppola)? Robin Williams był przez dekady królem komedii. Osiągnął to nie jak bezwzględny Rupert Pupkin z filmu Martina Scorsese „Król komedii", ale jako porządny, przyjazny gość, wzbudzający powszechną sympatię. Był jednak kimś więcej niż uwielbianym komikiem. Nawet w słabszych filmach jego postacie miały specyficzną głębię. Nie tylko bawił, jak w zupełnie niepoprawnych politycznie stand-upach, lecz także wzruszał i przerażał w thrillerach („Bezsenność", „Zdjęcie w godzinę").

Co stanęło za jego decyzją o samobójstwie? Czy zdiagnozowanie ciężkiej choroby? Czy nieudany powrót do telewizji po dwóch dekadach („Przereklamowani")? A może właśnie długotrwała depresja i konsekwencje dawnych problemów z narkotykami oraz alkoholem?

Zrealizowany przez twórczynię słynnego „Roman Polański: Ścigany i pożądany" Marinę Zenovich dokument „Robin Williams: Come Inside My Mind" to poruszający obraz życia i twórczości aktora. Opowiedziany błyskotliwie zebranymi z różnych wywiadów słowami samego Williamsa i doprawiony wypowiedziami jego przyjaciół zarówno ze świata show-biznesu, jak i z życia prywatnego. Reżyserka bez taniej sensacji i żerowania na tragedii prowadzi nas w zakamarki umysłu Williamsa. Nie do końca je odkrywa. Nie rozwiązuje kilku kluczowych kwestii. Ale zadaje ważne pytania i daje widzowi możliwość interpretacji wynurzeń samego Williamsa.

„ROBIN WILLIAMS: COME INSIDE MY MIND" EMITOWANY NA HBO I HBO GO

VOD

Wojna, która przeorała USA



Żadna wojna nie została tak przemielona ideologicznie przez popkulturę jak wojna w Wietnamie (1957–1975). Żadna nie podzieliła tak Stanów Zjednoczonych Ameryki. Żadna nie zmieniła tak drastycznie oblicza zimnej wojny. Zniszczyła wizerunek USA jako wszechmocnego supermocarstwa, zawsze prowadzącego wojnę w oparciu o moralność i etykę. Wietnam zatruł duszę Ameryki. Była to słuszna wojna ze światowym komunizmem, której nie udało się jednak odpowiednio „sprzedać" własnym obywatelom. Zbiegła się z apogeum (a może je wywołała?) rewolucji pokolenia '68, które na zawsze przeorało całą zachodnią cywilizację. 18-godzinny (10 odcinków) znakomity serial dokumentalny „The Vietnam War" Geoffreya C. Warda, Kena Burnsa i Lynn Novick to epicka opowieść o wojnie, geopolityce i dramacie zwykłych ludzi. To serial zaskakująco obiektywny, naładowany dziesiątkami tysięcy archiwalnych zdjęć, nagrań i poruszającymi świadectwami uczestników wydarzeń. 30 mln dol. budżetu i 10 lat realizacji widać w każdym odcinku. Imponująca produkcja.

SERIAL DOSTĘPNY NA NETFLIXIE

Skala ocen: rewelacja dobry pozytywne zaskoczenie

eprasa.pl b95f64bea9

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

Adamski odradza

Podróbka



Kino

Moda na feminizm w Hollywood powoduje, że kolejne stricte męskie znane filmy mają swoje kobiece wersje. Nie ma w tym nic złego, jeżeli takie produkcje oferują nam coś nowatorskiego i wzbogacają znaną opowieść. Niestety „Ocean's 8" to pozbawiona błysku Stevena Soderbergha i do bólu przewidywalna historia skoku, jakich widzieliśmy w tzw. heist movies na pęczki. Zastąpienie drużyny George'a Clooneya i Brada Pitta ekipą pod wodzą Sandry Bullock i Cate Blanchett miało potencjał na dobrą, letnią rozrywkę. Gary Ross nie jest jednak reżyserem pokroju Soderbergha, a to właśnie jego reżyserska ręka stała za sukcesem „oceanowej" trylogii.

Soderbergh również opowiedział banalną historię skoku, ale brawurowy styl, w jakim to zrobił, na zawsze wprowadził opartą na klasyce z Deanem Martinem i Frankiem Sinatrą opowieść do heist movies. Film Rossa nuży i nudzi przewidywalnością oraz brakiem uroczej dezynwoltury Soderbergha.

Kobiecy skok na naszyjnik jest pozbawiony finezji. Cała ekipa aktorek (Rihanna, Sarah Paulson, Helena Bonham Carter, Awkwafina, Anne Hathaway i Mindy Kaling) kreśli charakter swoich postaci, ale niestety na tle bohaterów Soderbergha wypadają blado i przezroczyście. Niestety trudno nie porównywać filmów, skoro feministyczna wersja opiera się na postaci będącej siostrą filmowego George'a Clooneya. Problem w tym, że postacie lubimy nie dlatego, że są świetnie napisane, tylko grają je znane twarze.

„Ocean's 8" zamiast być bezpretensjonalną rozrywką zamienia się momentami w manifest feministyczny. Mało agresywny, ale i tak nieznośnie łopatologiczny. Panie mają tak typowo męskie zawody, że film ociera się o parodystyczne tony. Matt Damon mający łączyć film Soderbergha i jego kobiecą wersję został ostatecznie wycięty przez brak dogmatyzmu w wypowiedziach o #MeToo – to wszystko pokazuje, że nie mamy do czynienia z artystycznym wizjonerstwem, ale produktem skrojonym pod modę „swoich czasów". Wyrachowanie w kinie łotrzykowskim nigdy się nie sprawdza. Może dlatego najlepsze feministyczne filmy robi ktoś taki jak Quentin Tarantino?

„OCEAN'S 8", REŻ. GARRY ROSS, DYSTR. WARNER BROS

Rasizm po Obamie

DVD

W „Nie jestem twoim Murzynem" Raoul Peck opiera się na niepublikowanych fragmentach niedokończonej książki Jamesa Baldwina, pisarza i eseisty, który po powrocie z emigracji w Paryżu zaangażował się w walkę o prawa czarnych. Dokument opowiada o walce Afroamerykanów z segregacją rasową i obrzydliwym rasizmem, który – rzecz jasna – wciąż bywa problemem w USA. Dlaczego mam więc kłopot z tym filmem?

Peck zestawia liryczne teksty Baldwina ze znanymi zdjęciami dokumentującymi zamieszki na tle rasowym, zabicie Martina Luthera Kinga czy Malcolma X. Stawia znak równości między tym mrocznym okresem w USA a dzisiejszymi przypadkami zastrzelenia przez policję niewinnego Murzyna (biali też tak giną). Zestawia niekwestionowany heroizm Kinga z histerią dzisiejszej akcji Black Lives Matter? Błagam! Nie kupuję tego krzyku. Nie pasuje on do przesiąkniętej poprawnością polityczną Ameryki, rządzonej przez osiem lat przez Afroamerykanina Baracka Obamę.

„NIE JESTEM TWOIM MURZYNEM", REŻ. RAOUL PECK, DYSTR. AGAINST GRAVITY



eprasa.pl b95f64bea9

Ocalona legenda Radia Solidarność

Tu Radio Solidarność" to książka Pawła Pietkuna poświęcona unikatowej w skali światowej aktywności społeczeństwa niezależnego. Radio Solidarność było niezwykle spektakularną formą oporu przeciwko stanowi wojennemu wprowadzonemu przez sowieckich pomagierów skupionych wokół Jaruzelskiego i WRON. Brutalne zdławienie karnawału „Solidarności" jest cały czas zbrodnią bez kary. I pewnie już tak pozostanie. Dlatego należy wyrazić wdzięczność autorowi, że podjął się udokumentowania wydarzeń i upamiętnienia ludzi, którzy ryzykując więzienie, nieśli w latach 80. otuchę nękanemu społeczeństwu.

Słuchając dzisiaj Eski, mało kto zdaje sobie sprawę, że korzenie tej rozgłośni sięgają właśnie Radia Solidarność. „Był to jakiś chichot historii, żeby Eska, żeby będąca bezpośrednim kontynuatorem podziemnego Radia Solidarność, tropionego w stanie wojennym i później przez esbeków ze stajni Kiszczaka, już w wolnej Polsce stała się własnością firmy prowadzonej przez Zbigniewa Bębenka, w której od góry do dołu aż roiło się od esbeków".

Ten cytat jest niezwykle wymowny. Tak podsumowując historię Radia Solidarność, Paweł Pietkun streścił istotę całej przemiany PRL w III RP. Ci, którzy zwalczali podziemie solidarnościowe, stali się beneficjentami zmiany ustrojowej. W tzw. wolnej Polsce doszliśmy do tego, że nawet słowo „Solidarność" stało się nierynkowe i po 1989 r. zmieniono nazwę Radia Solidarność na Radio S.

W zasadzie dopiero dzięki tej książce dowiadujemy się, jak wiele osób poświęciło się radiowej konspiracji. Autor przypomina, że osobami symbolami Radia Solidarność są Zofia i Zbigniew Romaszewscy, i podkreśla, iż to dzięki nim, oczywiście przy zaangażowaniu szerszego grona współpracowników, 12 kwietnia 1982 r., w drugi dzień świąt Wielkanocy, usłyszeliśmy zagrany na fujarce wojenny motyw „Siekiera, motyka". Audycja trwała od 21.01 do 21.08. Powiadomiono o tragicznych losach więzionego na Rakowieckiej studenta KUL, odtworzono piosenkę Jana Krzysztofa Kelusa „Ostatnia szychta na Kopalni Węgla Kamiennego »Piast«". Emisję poprzedzono akcją ulotkową, a odzewem potwierdzającym, że ludzie odbierają sygnał, miało być mruganie światłami w oknach mieszkań. Trzeba było samemu znaleźć pasmo na fali UKF. Odzew przeszedł wszelkie oczekiwania i całe bloki pulsowały włączanym i gaszonym światłem. Nadający z dachu kilkunastopiętrowego bloku przy ul. Grójeckiej przeżyli niepowtarzalną chwilę wzruszenia.

Paweł Pietkun w trochę sensacyjnym stylu opisuje, jak podczas nadawania drugiej audycji miała być odtworzona odezwa Zbigniewa Bujaka i nagle głos się urwał. Słuchacze zamarli. Wpadka? Na szczęście przyczyna okazała się prozaiczna. Stary i suchy scotch, którym doklejona była ta część taśmy, nie wytrzymał i emisja się zerwała. Ale na prawdziwą wpadkę nie trzeba było długo czekać. W czerwcu 1982 r. do mieszkania przy ul. Stanów Zjednoczonych, w którym państwo Romaszewscy obchodzili piątą rocznicę ślubu, wkroczyła bezpieka. Zbigniew Romaszewski uciekł, porzucając klapki na klatce schodowej. Zofia Romaszewska została zatrzymana. Jej mąż też wkrótce trafił do aresztu wystawiony przez ubecką wtyczkę. Potem odbył się głośny proces dziewięciorga założycieli Radia Solidarność. Mimo wysiłków mecenasa Jana Olszewskiego Zbigniew Romaszewski został skazany na cztery lata i sześć miesięcy, a Zofia Romaszewska na trzy lata. Nie powstrzymało to jednak działalności Radia Solidarność. Nadawane były nawet relacje z tego głośnego procesu. Powstały trzy niezależne programy radia. Dziś może bawić to, że gdy zgłaszano się po sprzęt, używano hasła: „Przyszłam po gumę pasmanteryjną", ale wtedy, kiedy reakcja była spóźniona, kosztowało to sporo nerwów.

Paweł Pietkun odwzorował też z niezwykłym pietyzmem techniczną stronę przedsięwzięcia. Produkowane w warunkach podziemia nadajniki wzbudzały uznanie nawet bezpieki. Gdy wpadła w ich ręce Berta, opisali ją jako sprzęt profesjonalny, choć wykonany metodą warsztatową. BiL, czyli Bolek i Lolek, umożliwiał wyświetlanie na ekranie telewizorów: „Solidarność żyje" albo „Włącz radio". Mogą sobie państwo wyobrazić entuzjazm, gdy podczas emisji znienawidzonego „Dziennika Telewizyjnego" pojawiały się te komunikaty.

Radio Solidarność nadawało w wielu miastach i miejscowościach, szczególnie podwarszawskich. Była to misterna struktura ze studiami nagraniowymi, spikerami, konstruktorami nadajników, lokalami emisyjnymi, mieszkaniami kontaktowymi, łącznikami dostarczającymi kasety i – ma się rozumieć – emiterami. To był czas odwagi i niezłomnych charakterów.

Paweł Pietkun ocalił legendę Radia Solidarność i państwo też mogą ją ocalić, sięgając po tę niezwykle wartościową książkę.

Ryszard Makowski



Paweł Pietkun,
„Tu Radio Solidarność",
wyd. Most

eprasa.pl b95f64bea9



Chybione uderzenie w Macierewicza

Fot. Andrzej Wiktor

Antoni Macierewicz jest bardzo wyrazistym uczestnikiem polskiej polityki. Napisanie jego biografii to pomysł ciekawy, zwłaszcza że wydane rok temu „dzieło" Tomasza Piątka „Macierewicz i jego tajemnice" jest tak żenujące, iż nie warto go nawet komentować. „Antoni Macierewicz. Biografia nieautoryzowana" Marcina Dzierżanowskiego i Anny Gielewskiej, która właśnie trafiła do księgarń, pozornie wydaje się lepsza, głównie dzięki sporej liczbie dokumentów i relacji. Ale ta zaleta szybko blednie wobec faktu, jak wykorzystano informacje zebrane o bohaterze książki i jego najbliższych



PIOTR GONTARCZYK

Pierwszy na celowniku znalazł się dziadek Antoniego – Adam Macierewicz – który był urzędowym mierniczym, a w czasie wojny handlował nieruchomościami. Dawał nawet stosowne anonse do okupacyjnego „Nowego Kuriera Warszawskiego". Gazeta ta była objęta bojkotem podziemia, ale w związku z brakiem innych mediów i rynku reklamy wiele osób i przedsiębiorstw skazanych było na zamieszczanie tu ogłoszeń. Autorzy książki powiązali działalność zawodową dziadka bohatera z zagładą Żydów i machlojkami, jakich niektórzy Polacy mieli dokonywać przy przejmowaniu ich mienia. Potem zaś napisali: „Oczywiście na podstawie samych ogłoszeń w gadzinówce nie można wyciągać wniosków, że Adam Macierewicz bierze udział w tym procederze. Dokonując licznych transakcji w tym okresie, korzysta jednak prawdopodobnie z koniunktury na rynku nieruchomości, która wytworzyła się po pozbawieniu praw własności i zamknięciu jednej trzeciej ludności w getcie" (s. 83). Pisząc „prawdopodobnie", autorzy jedynie podkreślili to, że na swoje domysły nie mają cienia dowodu. Nie wiedzą, czy Adam Macierewicz w ogóle handlował majątkiem Żydów, a tym bardziej, czy się na tym wzbogacił. Mamy więc do czynienia z klasycznym działaniem: audacter calumniare aliquid haeret (szkalujcie śmiało, zawsze coś przylgnie), które autorzy nagminnie stosują przy pisaniu tej książki.

Inny typowy element tej metody to dezawuowanie twierdzeń Macierewicza, że powodem jego kłopotów w IV klasie liceum (musiał zmienić szkołę tuż przed maturą) był konflikt z nauczycielami o słynny list biskupów polskich do biskupów niemieckich. Autorzy (m.in. na podstawie anonimowych relacji z internetu) twierdzą, że cała sprawa miała inny, kompromitujący kontekst, i stawiają tezę, że powodem owego konfliktu było to, iż bohater nie został... przewodniczącym Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej (s. 74). Kłopot w tym, że od trzech lat na stronie TVP można odnaleźć program telewizyjny z udziałem Zbigniewa Hołdysa, który nie jest sympatykiem swojego dawnego szkolnego kolegi, a mimo to z detalami opisał, jak w 1966 r. wszyscy uczniowie szkoły (w tym on) zostali zmuszeni do podpisania listu potępiającego Episkopat, a jedynym, który zaprotestował, był właśnie Macierewicz. Takie rzeczy trzeba znać, gdy się zabiera głos na takie tematy.

MARNY WARSZTAT, STRONNICZE ŹRÓDŁA

Autorzy starają się zdezawuować bohatera, przedstawiając jego zaangażowanie i zasługi jako kłamstwa i polityczne mity. Wśród opowiadających o Macierewiczu nie brak postaci formatu Krzysztofa Króla, który wraz z teściem Leszkiem Moczulskim, przewodniczącym KPN, zakończył karierę polityczną po 1992 r. na skutek znalezienia się Moczulskiego na tzw. liście Macierewicza (TW ps. Lech). Innym „świadkiem historii" jest Roman Giertych, który opisuje, jak Macierewicz miał się chwalić, że w czasie owej pamiętnej lustracji wysłał posłańca z pistoletem do mec. Wiesława Chrzanowskiego, żeby ten popełnił samobójstwo (s. 320).

Podobne nonsensy z tej książki można wyliczać godzinami. Niezbyt sprytnym zabiegiem mającym przekonać czytelnika o rzekomym obiektywizmie autorów jest zasięganie opinii z dwóch zasadniczo przeciwstawnych środowisk. Z jednej strony ekspertem w sprawie Macierewicza jest... płk Jan Lesiak, były esbek, który stanął przed sądem już w latach III RP za inwigilację prawicy, m.in. Macierewicza. Sam fakt, że taki człowiek wydaje teraz opinie o bohaterze książki, po prostu poraża. Z drugiej strony w publikacji często wypowiada się prof. Andrzej Friszke, historyk wybitny, ale łatwo identyfikowany środowiskowo i w sprawie bohatera zbyt łatwo poddający się negatywnym emocjom. Obaj wspomniani – i profesor, i Lesiak – podają o Macierewiczu jednostronne, a nie przeciwstawne opinie.

Generalnie jednak w książce królują relacje kilku ludzi z podziemia, których łatwo zidentyfikować jako związanych ze środowiskiem Adama Michnika. Wspomniani często mijają się z prawdą, nie kryją niechęci do bohatera, sugerując mu chorobę psychiczną, a zamiast konkretów posługują się wyzwiskami (choćby Bogdan Lis i Andrzej Celiński s. 225–226). Krzysztof Łoziński, jeden z przywódców KOD, opowiada, że Macierewicz „miał pretensje do Chruszczowa, że w czasie kryzysu kubańskiego nie wypowiedział wojny Stanom Zjednoczonym" (s. 32). Każda najbardziej nieprawdopodobna historia pochodząca z tego środowiska brana jest w tej książce za dobrą monetę.

Jakie to przynosi skutki, ukazuje choćby sprawa kwestionowania harcerskiej aktywności bohatera w drużynie „Czarna Jedynka" i później w zakładaniu „Gromady Włóczęgów": „O tym, że Macierewicz to założyciel »Gromady Włóczęgów«,

eprasa.pl b95f64bea9

można przeczytać […] nawet w fachowych publikacjach historycznych. W październiku 2017 roku taką wersję przedstawia oficjalna publikacja przejętego przez PiS Instytutu Pamięci Narodowej. Dla rzeczywistych współtwórców to element budowania politycznego mitu Macierewicza" (s. 97). Nie ma co komentować zamieszczonych w książce kłamliwych relacji w tej sprawie czy wspominać o publicznych protestach dawnych harcerzy „Czarnej Jedynki" przeciwko próbom minimalizowania zasług bohatera. Przekazy potwierdzające harcerskie zaangażowanie Macierewicza można znaleźć nawet... w książce Dzierżanowskiego i Gielewskiej. Choćby Wojciecha Onyszkiewicza: „[Macierewicz] ma pełne prawo, by się uważać za współtwórcę »Gromady Włóczęgów«" (s. 99). Ale autorzy, którzy nastawili się na dezawuowanie „mitów" w sprawie bohatera, wszelkie wątpliwości przedstawiają na jego niekorzyść.



Autorzy starają się zdezawuować bohatera, przedstawiając jego zaangażowanie i zasługi jako kłamstwa oraz polityczne mity

JAK NIE CZYTAĆ AKT SB

Najgorszy fragment „Biografii nieautoryzowanej" dotyczy lat 80. Oddzielny tekst musiałby powstać (tak samo jak o latach 70.) o kolekcji niedorzeczności, kłamstw i pomówień, które stanowią zasadniczą treść tej części książki. Ale trudno się dziwić, skoro i tu korzystano głównie ze słowotoku politycznych przeciwników bohatera i akt SB, o których czytaniu autorzy nie mają pojęcia. Typowym przykładem jest od lat znana sprawa pisma szefa Departamentu I MSW (wywiadu) gen. Zdzisława Sarewicza z 4 września 1984 r., który poinformował podwładnych, że wedle ówczesnego stanu prawnego nie ma podstaw do aresztowania Macierewicza. Dzierżanowski z koleżanką przedstawili pismo jako rzekomy immunitet chroniący bohatera przed represjami. Pojawiły się też insynuacje agenturalne. A jak było naprawdę?

Wywiad PRL miał agenta – kuriera między Zachodem a podziemiem, Belga Andre de Pourbaixa ps. Zores. To on poinformował bezpiekę, że planuje spotkanie z ukrywającym się po ucieczce z internowania Macierewiczem. Wywiad sprawdził więc, jak wygląda stan operacyjno-śledczy sprawy wspomnianego opozycjonisty w Stołecznym Urzędzie Spraw Wewnętrznych, bo uznał, że może pomóc go aresztować. Ale SUSW nie był zainteresowany sprawą, bo sprawę ucieczki Macierewicza objęła już amnestia. Po otrzymaniu takich informacji Sarewicz poinformował prowadzących sprawę „Zoresa": „W trakcie konsultacji z zastępcą naczelnika Wydziału Śledczego SUSW-u kapitanem Flakiewiczem […] uzyskałem opinię, że w oparciu o obecnie obowiązujące przepisy prawa karnego nie ma podstaw prawnych do jakiegokolwiek ścigania i represjonowania wspomnianego". Żaden immunitet. Zwykła informacja o stanie sprawy dla podwładnych. I wywiad nie podejmował tu decyzji w sprawie bohatera, tylko przyjął do wiadomości to, co uważał SUSW.

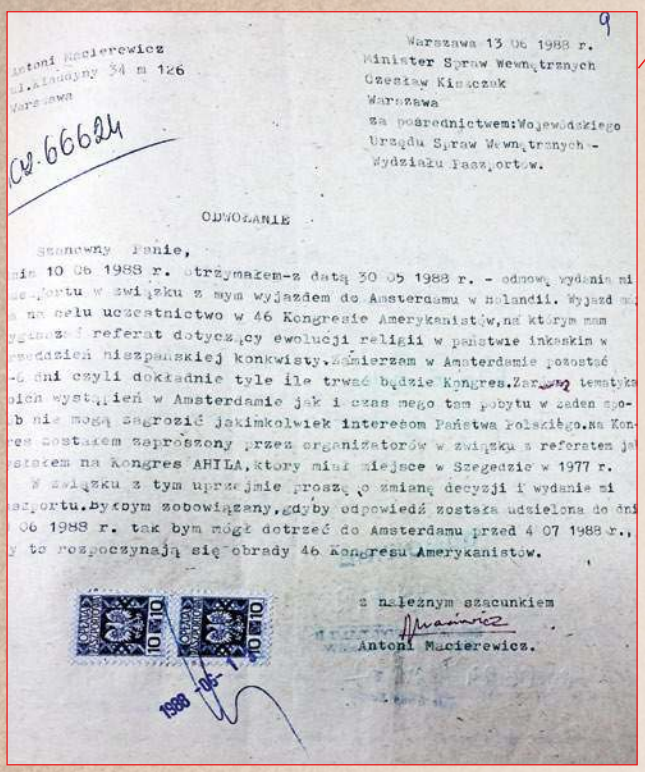
Ale mimo to w „Biografii nieautoryzowanej" można przeczytać: „Tajemniczą notatkę Sarewicza przytacza w swojej książce »Macierewicz i jego tajemnice« Tomasz Piątek. Na jej podstawie niektórzy wysuwają sugestie, że Macierewicz mógł być współpracownikiem komunistycznych służb. Nie uściślają jakich. PRL-owskich? Sowieckich?" (s. 225). Teoryjki Dzierżanowskiego i Piątka (wart Pac pałaca, a pałac Paca) świadczą o całkowitym nieprzygotowaniu do zajmowania się tymi tematami, a w szczególności braku umiejętności czytania akt Służby Bezpieczeństwa. Takich nonsensów jest w książce więcej, ale tu sprawa jest o tyle poważna, że zabrał głos prof. Friszke: „Nie znam drugiego przypadku, żeby SB wydała zaświadczenie, że ktoś ma nie być poszukiwany. Niemniej dziwne jest to, że ten swoisty certyfikat bezpieczeństwa wystawia Macierewiczowi szef wywiadu PRL. Przekaz jest oczywisty, nie szukajcie go, a jak już znajdziecie, niczego mu nie róbcie. Oznacza to, że na wysokim szczeblu podjęto decyzję, żeby Macierewicza nie represjonować" (s. 225).

Z przykrością stwierdzam, że tu chyba jakieś złe emocje i nieznajomość sprawy wzięły górę nad regułami naukowego warsztatu, bo do takich twierdzeń prof. Friszke nie miał podstaw. Na szczęście jego bezzasadną i wyrządzającą szkodę zasłużonemu opozycjoniście opinię mogą prostować historycy z krytykowanego przez niego równie często, co niesprawiedliwie, IPN.

PARADA NIEDORZECZNOŚCI

O ile jednak w opisanym wyżej przypadku autorzy oparli się na opinii prof. Friszkego, o tyle inne wypisywane przez nich niedorzeczności nie mają żadnych podstaw. Klasyczny przykład to rozdział „List do Kiszczaka", w którym niemal w całości przytoczono pismo Macierewicza do szefa MSW z 1988 r. w sprawie paszportu. Autorzy opisali sprawę jako coś w rodzaju listu prywatnego, po czym zagrzmieli z oburzenia: „Jeszcze rok przed wyborami czerwcowymi i kilka miesięcy przed okrągłym stołem Macierewicz nie ma oporów, by kontaktować się z szefem PRL-owskiego aparatu represji" (s. 255). Lista różnych działaczy opozycji, którzy znacznie wcześniej prowadzili rozmaite negocjacje i rozmowy z bezpieką (z Jackiem Kuroniem na czele), byłaby bardzo ciekawa, ale nie znaleźlibyśmy na niej Macierewicza. A jego „list do Kiszczaka" zacytowany w książce różni

eprasa.pl b95f64bea9



Antoni Macierewicz
ul. Klonowy 34 m 126
Warszawa

Cz. 66624

Warszawa 13 06 1988 r.
Minister Spraw Wewnętrznych
Czesław Kiszczak
Warszawa
za pośrednictwem: Wojewódzkiego
Urzędu Spraw Wewnętrznych -
Wydziału Paszportów.

ODWOŁANIE

Szanowny Panie,

W dniu 10 06 1988 r. otrzymałem z datą 30 05 1988 r. - odmowę wydania mi paszportu w związku z moim wyjazdem do Amsterdamu w Holandii. Wyjazd ma na celu uczestnictwo w 46 Kongresie Amerykanistów, na którym mam wygłosić referat dotyczący ewolucji religii w państwie inkaskim w przededniu hiszpańskiej konkwisty. Zamierzam w Amsterdamie pozostać 6 dni czyli dokładnie tyle ile trwać będzie Kongres. Zarówno tematyka moich wystąpień w Amsterdamie jak i czas mego tam pobytu w żaden sposób nie mogą zagrozić jakimkolwiek interesom Państwa Polskiego. Na Kongres zostałem zaproszony przez organizatorów w związku z referatem jaki wysłałem na Kongres AHILA, który miał miejsce w Szegedzie w 1977 r.

W związku z tym uprzejmie proszę o zmianę decyzji i wydanie mi paszportu. Byłbym zobowiązany, gdyby odpowiedź została udzielona do dnia 06 1988 r. tak bym mógł dotrzeć do Amsterdamu przed 4 07 1988 r., gdy to rozpoczynają się obrady 46 Kongresu Amerykanistów.

10 10 10 10

1988

z należnym szacunkiem
Antoni Macierewicz.

się od oryginału dwoma szczegółami. Autorzy usunęli jego tytuł, który brzmi „Odwołanie", oraz pominęli informację, że na pismo naklejono znaczki skarbowe. I tak Dzierżanowski z Gielewską zmienili urzędowe odwołanie od odmowy wydania paszportu w „osobistą prośbę" do Kiszczaka (s. 254). Czy to jeszcze dziennikarstwo, czy już zwykłe fałszerstwo, niech czytelnicy ocenią sami.

Dla mających wątpliwości dodam, że autorzy książki za notatką SB podali, że Macierewicz miał się „rozpić" po ucieczce z internowania (s. 224). W dokumencie bezpieki nie ma informacji, które by taką wersję choćby uprawdopodabniały. Także Dzierżanowski i Gielewska nie próbowali tu dokonać żadnej weryfikacji. W innym miejscu wspomniani ośmielili się zacytować informacje z podsłuchów, które dotyczyły relacji małżeńskich Antoniego i Hanny Macierewiczów. Uważam, że przytoczenie obu wspomnianych źródeł z akt SB było niedopuszczalne. Żaden szanujący się naukowiec czy dziennikarz nie poda takich informacji do wiadomości publicznej nie tylko dlatego, że nie wiadomo, czy są prawdziwe. Działacze opozycji mają prawo do prywatności, a na straży ich dóbr osobistych stoi prawo. Ba, podsłuchy z domu Macierewiczów autorzy „odpalili" wcześniej w internecie zapewne, by wywołać szum tuż przed ukazaniem się ich dzieła... Szkoda komentarza. Można tylko mieć nadzieję, że Hanna i Antoni Macierewiczowie wytoczą proces jej autorom i wydawcom (słynącemu z miłości do bliźniego katolickiemu wydawnictwu Znak), którzy tym sposobem staną przed niepowtarzalną szansą naprawienia chociaż części wyrządzonych szkód, przeznaczając na stosowne zadośćuczynienie zarabiane w taki sposób pieniądze.

Dzierżanowski z Gielewską zmienili urzędowe odwołanie Macierewicza od odmowy wydania paszportu w jego „osobistą prośbę" do Kiszczaka. Czy to jeszcze dziennikarstwo, czy już zwykłe fałszerstwo?

BIOGRAFIA CZY PASZKWIL?

Opisując książkę Dzierżanowskiego i Gielewskiej, świadomie skoncentrowałem się na elementach sprzed 1989 r. dotyczących sprawy Macierewicza opozycjonisty. Ale inne partie książki mają podobną wartość. Na przykład lustracja z 1992 r. opisana została jako pasmo politycznych intryg i – taki tytuł podrozdziału – „Konflikt z Wałęsą". Tragikomicznym elementem tego fragmentu jest to, że autorzy nie wspomnieli tutaj, kto to jest TW „Bolek". Niemniej widowiskowym humbugiem jest opis całości działalności bohatera jako szefa MSW czy sprawy likwidacji WSI. Czytelnik nie znajdzie tu niczego nowego poza tym, czego nie było wcześniej w „Gazecie Wyborczej" i „Nie" Urbana. Na lekturę tego wszystkiego po prostu szkoda czasu.

> W książce królują relacje kilku ludzi z podziemia, których łatwo zidentyfikować jako związanych ze środowiskiem Adama Michnika. Wspomniani często mijają się z prawdą, nie kryją niechęci do bohatera, sugerując mu chorobę psychiczną, a zamiast konkretów posługują się wyzwiskami

Niewątpliwie przyszły biograf Antoniego Macierewicza będzie miał sporo kłopotów z jego działalnością w III RP. Dlaczego? Bo musi się zmierzyć z wieloma politycznymi decyzjami i charakterologicznymi skłonnościami jednego z najważniejszych współczesnych polskich polityków. Będzie miał prawo w wielu kwestiach mieć opinię krytyczną, podobnie zresztą jak w sprawach jego działalności w opozycji. Postuluję jednak, by robić to rzetelnie i uczciwie, a nie metodą per fas et nefas. „Biografia nieautoryzowana" w najmniejszym stopniu tych warunków nie spełnia. Przesłanie i poziom całego przedsięwzięcia ilustruje opinia Andrzeja Celińskiego, który opisując aktywność bohatera w latach 70., nazwał go „strasznym ch...jem" (s. 92), co autorzy książki przytoczyli nawet bez wykropkowania.

Trudno nie kryć rozczarowania, kiedy zamiast zapowiadanej biografii dostajemy ordynarną i złośliwą karykaturę pozbawioną poważniejszej wartości poznawczej.

Autor jest historykiem IPN

2/0718/F

eprasa.pl b95f64bea9

Taką energię pamiętamy!

O poświęceniu naszych przodków w imię ojczyzny nigdy nie należy zapominać. Pamięć o ich niezwykłych czynach przekazujemy z pokolenia na pokolenie. Z ich bohaterskiej historii czerpiemy odwagę i inspirację, by nigdy się nie poddawać.

Takie wartości cenimy i dla takiej Polski chcemy dzielić się dobrą energią.

Wspieramy pamięć o bohaterach.

100 NIEPODLEGŁA!



"Naród, który nie szanuje swej przeszłości nie zasługuje na szacunek teraźniejszości i nie ma prawa do przyszłości."

J. Piłsudski

Energa

www.energa.pl

eprasa.pl b95b24bea6



Jak to możliwe, że 12 chłopców przeżyło ponad dwa tygodnie w ciemnej jaskini kilometr pod ziemią? Czy ekstremalnie niebezpieczna, bezprecedensowa i perfekcyjnie przygotowana akcja ratunkowa zakończyłaby się sukcesem, gdyby nie zadziwiająca postawa uwięzionych dzieci?

Uratowana drużyna



PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Wszystko zaczęło się 23 czerwca. Data jest ważna. Zdejmuje – jak się później okaże – część odpowiedzialności z barków młodego opiekuna. Wycieczka rowerowa tajskich uczniów kilku szkół z prowincji Chiang Rai zrzeszonych w drużynie piłkarskiej Wild Boars (Dziki) wyrusza pod opieką trenera pomocniczego Ekkapola Chantawonga w kierunku leśnego kompleksu. Pasmo górskie Doi Nang Non wznosi się w tym miejscu na wysokość 1275 m n.p.m. Porośnięte jest gęstą, tropikalną roślinnością zalewaną tajfunami. W ciągu dżdżystego miesiąca może spaść tam więcej deszczu niż w Polsce przez cały rok. To północny kraniec Tajlandii, za wzniesieniami rozpościera się Birma. U tajskich podnóży masywu rozsiane są rodzime wsie i miasteczka uczestników wycieczki.

Drużyna kieruje się z głównej szosy w boczną drogę, pod górę, w głąb lasu, aby dotrzeć do lokalnej atrakcji turystycznej. Tham Luang to w zasadzie nie jaskinia, to cały wielki system krasowych korytarzy, wijący się kilometrami w wapiennych czeluściach góry.

Chłopcy byli tam wcześniej kilka razy. Tego dnia planowali w grotach, po treningu, świętować 16. urodziny jednego z kolegów – Peerapata Sompiangjai. Do-

eprasa.pl b95f64bea9



Fot. AFP PHOTO/LILLIAN SUWANRUMPHA



jechali tak daleko w głąb jaskini, jak się dało. Tam odstawili rowery, buty i niepotrzebne bagaże. Dalej udali się pieszo. Przed wejściem do groty znajdowała się ustawiona przez władze lokalne tablica informująca w języku tajskim i angielskim: „Niebezpieczeństwo. Od lipca do listopada jaskinia jest zalewana". Do 1 lipca pozostał tydzień. Teoretycznie, zgodnie z ostrzeżeniem, wciąż był czas na bezpieczne zwiedzanie.

Tego dnia, tak samo jak zazwyczaj, na klubowe boisko Dzików po zakończonym przez drużynę juniorów treningu weszli seniorzy. To tam zaczęły dochodzić pierwsze niepokojące sygnały. Do głównego trenera dzwonili rodzice młodszych chłopców z pytaniami, dlaczego ich dzieci nie wróciły jeszcze do domów. Starsi zawodnicy, którzy znali plany drużyny juniorów, wsiedli na rowery, aby szukać kolegów w górach. Byli pierwszą ekipą, która dotarła pod jaskinię. Czekali tam bez skutku do późnych godzin nocnych. Nikt z jaskini nie wyszedł, mimo że była pewność, iż właśnie tam znajduje się grupa młodych piłkarzy. W tym czasie jedna z matek zawiadomiła lokalną policję o zaginięciu syna. Poszukiwania prowadzone przez funkcjonariuszy, dzięki informacjom zawodników z klubu, zostały od razu zawężone do Tham Luang. Policjanci wchodzą do jaskini. Znajdują rowery i buty. Dalej przejścia nie ma. Korytarze toną w mrocznych, skłębionych odmętach szybko podnoszącej się wody. Powoli staje się jasne, co się wydarzyło podczas wycieczki. Nikt nie ma jednak pewności, jaki los spotkał dzieci i ich opiekuna.

* * *

Na początku nic nie zwiastowało tragedii. Spacer po korytarzach przebiegał według realizowanego już wcześniej scenariusza. Mieli przejść trasę, spędzić wewnątrz chwilę i wrócić. Na zewnątrz wciąż padał ulewny deszcz. W pewnym momencie woda w podziemnych tunelach zaczęła się niebezpiecznie podnosić. W ucieczce przed żywiołem, dla nieumiejącej pływać grupy, nie było innego wyjścia, jak zmierzać wciąż przed siebie, w głąb jaskini – dalej i dalej. W ten sposób dotarli do komnaty oddalonej 4 km od wejścia, znaleźli wyżej umiejscowioną półkę skalną, na której przycupnęli, obserwując, jak woda zalewa im drogę odwrotu. Byli w pułapce. Dzieci miały tylko siebie, odrobinę jedzenia, telefony, które mogły na krótko rozświetlić bladym światłem ciemności, oraz oddanego trenera.

Następnego dnia, 24 czerwca, na miejscu zjawiają się nurkowie sił specjalnych tajskiej marynarki wojennej. Komandosi eksplorują jaskinię w poszukiwaniu zagubionych ludzi. Tajlandia zaczyna żyć wydarzeniem. Wszyscy kibicują chłopcom. Po dwóch dniach od zaginięcia w „New York Times" pojawiają się pierwsze artykuły opisujące sytuację. Sprawa rozpala cały świat. Pomoc oferują Amerykanie, Australijczycy, Anglicy i wiele innych państw. W góry Doi Nang Non przybywają światowej klasy nurkowie cywilni i wojskowi ze wszystkich zakątków globu. W sumie gromadzi się prawie tysiąc ludzi chętnych do pomocy. Władze Tajlandii nie wahają się prosić o pomoc ani jej przyjmować, co ostatecznie przełoży się na sukces.

Tymczasem w jaskini trwa ciemne, zimne, mokre i ukryte cierpienie 13 osób. Chłopcy w wieku od 11 do 16 lat głodują. Piją przesączającą się przez skały, skapującą wodę. Słodycze kończą się po kilku godzinach. Nie ma jednak mowy o histerii ani panice. Kluczowe dla całej historii jest niebywałe opanowanie dzieci. Ujawnia się moc nastolatków. Specjalna duchowa moc wynikająca być może z magii wieku – jest się za

eprasa.pl b95f64bea9

młodym, aby przewidywać konsekwencje zagrożeń, a w swoim przekonaniu jest się już dorosłym, który musi udowodnić niezwykłą odwagę. Mają u boku trenera. Według słów rzecznika rządu gen. Werachona Sukondhapatipaka, który dla „The Guardian" relacjonował sytuację, trener podczas długich, mrocznych dni uczył dzieci medytacji, dyscyplinował ich umysły do spokoju, ale doradzał także, zbawienne w tej sytuacji, leżenie bez ruchu w celu oszczędzania energii. To, że chłopcy zostali odnalezieni w tak dobrej kondycji – zarówno fizycznej, jak i psychicznej – jest zasługą ich opiekuna.

Ekkapol Chantawong to ciekawa postać. Szalenie lubiany przez dzieci trener nie ma swojej rodziny. Matka, ojciec oraz brat Ekkapola zmarli, gdy ten był dzieckiem. Osierocony chłopiec trafił do buddyjskiego klasztoru, gdzie przez 10 lat wiódł życie mnicha. Gdy wrócił do rodzinnego miasta Mea Sai, nadal poświęcał czas modlitwie i pomagał w remontach świątyń. Wszyscy, którzy go znają, wskazują na wybitnie łagodny, empatyczny i skoncentrowany na innych, nie na sobie, charakter byłego mnicha. Zawodnicy uwielbiali swojego trenera. Podkreślają, że po treningach dawał wodę przede wszystkim dzieciom. Sam pił ostatni. Po zajęciach odprowadzał je do domów, często zabierał na wycieczki. Poświęcił się opiece nad chłopcami, od których jest niewiele starszy – ma 25 lat. Drużyna była jego życiem. Teraz życie drużyny było w jego rękach.

W tym czasie wysiłki ekip poszukiwawczych owocowały coraz lepszym rozpoznaniem korytarzy – choć był to jedyny jasny punkt tej sytuacji, gdyż padały ulewne deszcze, a poziom mętnej, zimnej wody w korytarzach podnosił się bardzo szybko. Ratownicy określali ją jako „kawa z mlekiem", bo była niemal zerowej widoczności. Anmar Mirza, amerykański koordynator narodowej komisji ratownictwa jaskiniowego, wskazywał na zagrożenia czyhające na chłopców. Jeżeli – zastrzegał specjalista – są jeszcze przy życiu. Brak pożywienia według niego nie był głównym problemem, gdyż bez jedzenia uwięzieni młodzi ludzie byliby w stanie przeżyć nawet miesiąc. Woda pitna stanowiła wyzwanie. Najważniejszą sprawą w opinii wyrażanej przez Anmara Mirza kilka dni przed odnalezieniem dzieci, kiedy sytuacja zaczynała wyglądać bardzo źle, był jednak aspekt psychologiczny. Dzieci nie wiedzą, że są poszukiwane, i jeśli żyją, to mogą trwać w poczuciu beznadziei. Wówczas nie wiadomo było jeszcze, że chłopcy się nie poddali, nie załamali, a w grupie panuje wysokie morale.

> Obecność nurka anestezjologa może dziwić. Niekoniecznie, jeżeli pozna się szczegóły planu. Dzieci były częściowo usypiane

Po kilku dniach od rozpoczęcia akcji zainstalowano potężne pompy, które w wolnym tempie usuwały wodę z jaskiń. Równolegle przeczesywano bez skutku las w nadziei na odnalezienie alternatywnego dostępu do podziemnych korytarzy. Sytuacja stawała się dramatyczna. 29 czerwca rodziny odwiedził premier Tajlandii Prayut Chan-o Cha. Mówił, aby nie porzucać nadziei. Prąd wody w systemie jaskiń stał się tak mocny, że zrywał nurkom maski, a widzialność ograniczona była do minimum, nawet przy zastosowaniu mocnego oświetlenia. Mimo to 1 lipca udało się utworzyć na dalszym odcinku podziemnej trasy bazę operacyjną konieczną do zapewnienia minimalnej infrastruktury, z butlami i ze sprzętem.

Prawdziwy cud wydarzył się dziewięć dni po zaginięciu chłopców, 2 lipca. Para brytyjskich cywilnych nurków jaskiniowych, doświadczonych ratowników – 61-letni Rick Stanton oraz 47-letni John Volanthen – odnalazła grupę młodych piłkarzy. Co czuli chłopcy, widząc w ciemnościach głębin u swoich stóp najpierw słabe, a potem coraz jaśniejsze światła? Jakie emocje towarzyszyły wybawieniu ze szponów śmierci? Tylko jeden chłopiec zdawał się płakać. Na filmie widać, jak ociera rękawem łzy. Nie było spazmów, histerii. Spokój, opanowanie i radość. Kontakt nie byłby możliwy, gdyby nie Ardoon Sam-aon. 14-latek jako jedyny w drużynie zna angielski. To on poinformował o liczbie osób, zapytał „What day?", gdy Stanton zapewniał, że przybędzie pomoc. Potrafił również podziękować i powiedzieć, że są szczęśliwi. Nurkowie zniknęli pod wodą. Nic już nie było jednak takie samo – ani ciemność wokół chłopców na błotnistej wyspie kilometr pod ziemią, ani oczekiwanie rodziców przy wyjściu z jaskini. Zapanowała nadzieja.

Rozpoczął się rozpaczliwy wyścig z czasem. Należało obmyślić plan, który umożliwiłby maksymalnie bezpieczne wyprowadzenie chłopców. Koncepcji pojawiło się kilka. Pierwsza, brana z początku najbardziej pod uwagę, zakładała oczekiwanie miesiącami pod ziemią na zakończenie sezonu ulew i na osuszenie jaskini. Szybko została zweryfikowana przez wciąż podnoszący się poziom wody i ryzyko zalania ocalałych. Pod uwagę brany był również odwiert – niczym niegdyś w chilijskiej kopalni. Wykonano ok. 100 próbnych odwiertów. Bez powodzenia. Elon Musk przysłał swoich inżynierów oraz kilka trikowych, choć niepraktycznych, patentów na oswobodzenie młodych piłkarzy.

Pozostała opcja zakładająca ratunek tą samą trasą, którą chłopcy przyszli. Była zdecydowanie najtrudniejsza. Żadne dziecko wcześniej nie nurkowało w takich warunkach. Nurkowanie jaskiniowe jest nieprawdopodobnie niebezpiecznym zajęciem nawet dla osób będących ekspertami w tej dziedzinie. Zły los szybko to udowodnił. Saman Kunan, były tajski komandos, zmarł pod wodą, rozstawiając butle wzdłuż trasy ewakuacji. Ta śmierć to największa ofiara, jaką może ponieść człowiek w służbie innym. I ostrzeżenie, przestroga, ratująca być może życie dzieci: „Zadanie jest ekstremalnie trudne, uważajcie!". Najtrudniejszym miejscem na trasie było zatopione pod wodą przewężenie, wysokie zaledwie na 40 cm i niewiele szersze.

eprasa.pl b95f64bea9

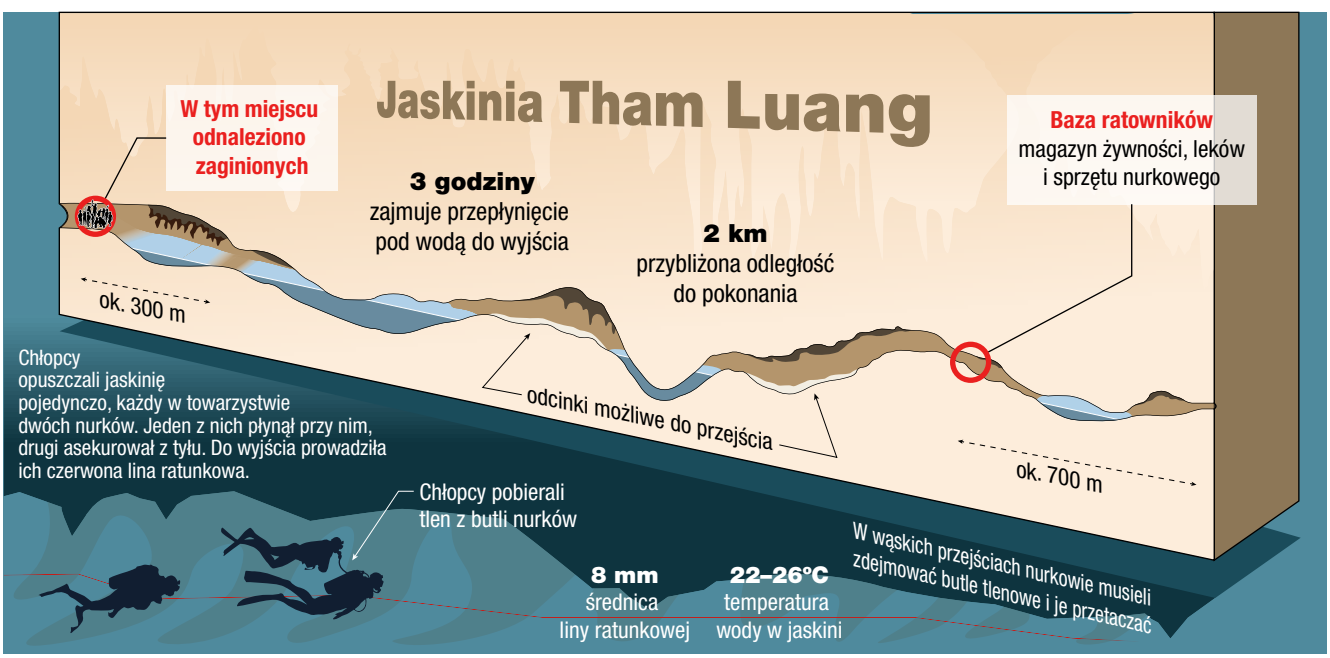
Następnego dnia po odnalezieniu drużyny Dzików dostarczono jej członkom odżywcze i lekkostrawne żele energetyczne, paracetamol oraz maty do okrycia. Poproszono o napisanie listów do rodzin i rozpoczęto szkolenie z nurkowania. Pozostały z nimi na stałe cztery osoby: trzej tajscy komandosi oraz australijski lekarz anestezjolog Richard Harris. Trener w swoim liście przeprosił rodziny i obiecał, że zaopiekuje się dziećmi. Rodziny odpisały, że go nie winią. Na oswobodzenie nastolatki i opiekun musieli czekać jeszcze tydzień.

zmniejszenie aktywności ośrodkowego układu nerwowego. Następnie łączono dziecko uwięzią z ratownikiem, który miał za zadanie je transportować. Pełna maska na twarzy i dodatkowy nurek z boku, trzymający butlę chłopca, dopełniały obrazu całości. W miejscach pozbawionych wody młodzi piłkarze transportowani byli na noszach. Ich parametry życiowe badane były na bieżąco w kilku punktach kontrolnych.

To anestezjolog podjął decyzję o odwróceniu ustalonego wcześniej porządku, zakładającego, że pozostający w najlepszej formie chłopcy

tarli tam szczęśliwie, cali i niemal zdrowi.

Jako że plan okazał się w realizacji bardzo skuteczny, identyczną akcję powtórzono tego samego dnia z dwoma kolejnymi chłopcami. Następnego dnia uratowano czwórkę. We wtorek 10 lipca ewakuowano ostatnich czterech chłopców i na koniec trenera. Karetki na całej trasie witane były przez szczęśliwych mieszkańców prowincji, którzy machali i bili brawo. W noc po uwolnieniu wszystkich młodych piłkarzy w Tajlandii zapanowały niezwykła radość i nastrój euforii.



Katalizatorem decyzji o rozpoczęciu ewakuacji była pogoda. Poziom wody trochę się obniżył, jednak zapowiadano monsunowe deszcze mające nadejść w kolejnych dniach. Czas było działać. Lina łącząca odległy zakątek jaskini z wyjściem była zainstalowana, butle rozstawione w odpowiednich miejscach. 40 tajskich nurków i 50 zagranicznych stanowiło obstawę akcji. W bezpośredniej świcie znajdowało się ich 12. Obecność nurka anestezjologa może dziwić. Niekoniecznie, jeżeli pozna się szczegóły planu. Dzieci były częściowo usypiane, a w zasadzie poddawane sedacji. Oznacza to, że przed wyruszeniem w drogę każdy chłopiec dostawał leki, które miały na celu

będą ewakuowani na początku. Harris pierwszych wysłał dwóch nastolatków czujących się najgorzej. W ten sposób w niedzielę 8 lipca, po czterogodzinnej, arcytrudnej przeprawie, spod jaskini odjechały dwie karetki z przysypiającymi pacjentami na noszach, ubranymi w czapki dla ograniczenia hipotermii i okulary przeciwsłoneczne chroniące nieprzywykłe do światła oczy. W najbliższym miejscu, w którym można było zorganizować lądowisko, chłopcy przeniesieni zostali do helikoptera, aby po kilkunastu minutach wylądować w odległym o 70 km mieście Chiang Rai. Następnie, znów karetką, zawieziono ich wprost do państwowego szpitala Chiangrai Prachanukroh. Do-

W szpitalu chłopcy szybko dochodzili do zdrowia. W wyniku badań okazało się, że w ciągu dwóch tygodni spędzonych pod ziemią nikt nie doznał poważniejszego uszczerbku na zdrowiu. Dwoje dzieci miało zapalenie płuc, zastosowano więc kurację antybiotykową.

* * *

Tymczasem w jaskini mogło dojść do tragedii. Pod ziemią pozostało ok. 100 ludzi z ekipy ratunkowej, zbierających sprzęt. W pewnym momencie nastąpiła awaria głównej pompy. Woda zaczęła zalewać korytarze. Ratownicy znaleźli się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Tylko sekundy dzieliły ich od śmierci.

eprasa.pl b95f64bea9



Milion lajków

Na spotkanie z Trumpem Putin wybrał się uskrzydlony sukcesem



PIOTR SKWIECIŃSKI

Tym, którzy uważają, że zastanawianie się nad politycznym znaczeniem zakończonego właśnie mundialu to przejaw oderwania od życia ponurych analityków, nieumiejących zrozumieć znaczenia pięknego sportowego święta, warto zadedykować frazę: „Olimpiada zdecydowanie wykracza poza sport. To geopolityka". To zdanie wypowiedział w 2014 r. Konstantin Ernst, niegdyś czołowy pierestrojkowy dziennikarz, potem (aż do dziś) szef najważniejszej rosyjskiej, putinowskiej telewizji Pierwyj kanał, wybitny reżyser, twórca całej artystycznej oprawy zimowych igrzysk w Soczi.

Stworzył wówczas gigantyczne widowisko, o którym natychmiast zapomniano, bo rozjechały je rosyjskie czołgi inkorporujące Krym i atakujące Ukrainę. Rozjechały tak dokumentnie, że aż dziwnie przypomnieć sobie ówczesne i rosyjskie, i światowe reakcje na skomponowane z ogromnym rozmachem ceremonie otwarcia oraz zamknięcia olimpiady. Ernst stworzył – jak w książce „Rosja – wielkie zmyślenie" napisał Arkadij Ostrowskij – najbardziej misterne i skomplikowane pod względem technicznym widowisko w przestworzach, porywającą utopię, której centralnym elementem stała się historia imperium rosyjskiego.

„Kraj, który wyczarował na scenie, nie był krajem matrioszek i tańców kozackich, tylko domeną awangardowych artystów, wielkiego baletu, Tołstoja i Gogola, wyrafinowanym europejskim państwem dumnym ze swojej historii i kultury. »To kraj, w którym chcę żyć« – podsumowała na Twitterze Ksenia Sobczak, celebrytka i dziennikarka [ostatnio liberalna kandydatka na prezydenta – dop. P.S.]. Jedyny problem polegał na tym, że takie miejsce w rzeczywistości nie istniało".

W jakimś kulturowym i politycznym sensie cały zakończony właśnie mundial był czymś w rodzaju zwielokrotnionego widowiska Ernsta.

INNE ŚRODKI KAPITALIZACJI

Bo i teraz, choć w inny sposób, pokazano światu Rosję inną. Dobrą.

Pokazano skutecznie, o czym świadczą setki tysięcy internetowych (niebędących dziełem trolli) reakcji obecnych w Rosji zagranicznych kibiców. Skoro nawet Polacy, i nawet dziennikarze dawali się ponieść fali sentymentalizmu oraz zapełniali blogi entuzjastycznymi relacjami o tym, jak to chodzą sobie po Moskwie zawinięci w polską flagę, spotykając się jedynie z przyjaznymi reakcjami miejscowych, to co dopiero powiedzieć o mieszkańcach Zachodu? W jeszcze mniejszym stopniu niż nasi rodacy obarczonych, mogącą zakłócić dobry nastrój, wiedzą o Rosji, a w żadnym – historycznymi urazami, czyli czymś, co samo w sobie nie jest niczym pozytywnym, ale na pewno potrafi odegrać rolę szczepionki przeciw przedwczesnemu optymizmowi... Słynny brytyjski nastolatek Teo, który w wideoblogu dał wyraz entuzjazmowi wywołanemu przyjaznością rosyjskich kibiców i brakiem chuliganów, czy Chorwat Marko, który napisał, że Rosjanie to „najlepsi ludzie na świecie" (dosłownie), to tylko wierzchołek wierzchołka góry lodowej.

Ale dlaczego właściwie to jest takie ważne? Przecież mistrzostwa nie zmieniły nic w świecie wielkiej polityki. Rosja będzie po nich odgrywać rolę taką samą, jak przed nimi. Ani ona sama się nie zmieni, ani przez mundial nie wyparują żadne elementy konfliktu, który w ciągu ostatnich kilku lat sprowadził relacje między Moskwą a stolicami zachodnimi do najgorszego poziomu od czasów zakończenia zimnej wojny.

Dlatego, że – jak to ujął na łamach moskiewskiego (opozycyjnego) Centrum

eprasa.pl b95f64bea9



dla Rosji

Fot. Shutterstock

Carnegie Igor Poroszin – we współczesnym świecie prestiż i wpływ kapitalizuje się za pomocą innych niż niegdyś środków. „Rosja nigdy nie dostała tylu lajków, nigdy nie przedstawiała się światu jako taki słoneczny, radosny i szczęśliwy kraj. Wszystkie alarmujące i ostrzegające wystąpienia na ważnych konferencjach, poświęcone stanowi praw obywatelskich w Rosji, wszystkie miliony słów, napisane przez najrzetelniejszych i najbardziej bystrych autorów w najbardziej prestiżowych i wpływowych periodykach, będą zduszone, zmyte falą milionów lajków w Instagramie dla wideo pokazującego, jak Meksykanie, zmieszani z Rosjanami, radują się na ulicy Nikolskiej w Moskwie".

I to jest efekt osiągnięty na zewnątrz. Ale jest i ten wewnętrzny. Bardziej niejednoznaczny, ale w sumie oddziałujący również na korzyść reżimu.

POD OSŁONĄ MUNDIALU

Tu zacząć trzeba by od oczywistości – pod osłoną mistrzostw zapoczątkowano dwie wysoce niepopularne operacje: podwyższenie wieku emerytalnego, dość radykalne, oraz VAT. Pod osłoną w podwójnym sensie – propagandową (truizm: oczy Rosjan zwrócone gdzie indziej), ale też wprost – prawną (na czas mundialu w miastach, w których rozgrywano mecze, zakazano wszelkich demonstracji politycznych). Zwłaszcza pierwsza zmiana jest bolesna dla Rosjan, bo perspektywa pójścia na emeryturę, niewysoką (choć w Moskwie podwajaną przez władze miejskie), za to pewną, a przede wszystkim rozpoczynaną w wyjątkowo niskim wieku (55 lat dla kobiet, 60 dla mężczyzn – to ważne w świetle krótkotrwałości przeciętnego życia obywateli FR) jest kamieniem węgielnym rosyjskiego państwa wątłego dobrobytu.

Nie wiadomo jeszcze, jak ta sprawa się zakończy; ratingi Putina mocno na skutek obwieszczenia reform spadły. Ale możliwość ogłoszenia ich w okresie, w którym umysły i serca większości Rosjan zajęte były czymś innym, bez wątpienia mocno zmniejszyła (lub rozłożyła w czasie, a to też istotne) niepomyślny dla władzy efekt.

Ale są i efekty mniej oczywiste, związane z przesłaniem imprezy, formułowanym nie wprost.

To przede wszystkim wizja Rosji, bynajmniej niebędącej wyrzutkiem z grona cywilizowanych narodów. Odwrotnie – wbrew wysiłkom rozmaitej maści rusofobów, które okazały się bezowocne – pełniącej przez parę tygodni funkcję swego rodzaju stolicy świata. Kraju, do którego zachodni przywódcy nie odczuwają żadnego obrzydzenia, czego dowodzą ich pielgrzymki na rosyjskie stadiony. A zarazem kraju, do którego ciągną, jak pszczoły do miodu, obywatele Zachodu (niektórzy nawet zapowiadają, że po mistrzostwach nie wyjadą i się w Rosji osiedlą – donoszą z triumfem putinowskie media) – wbrew rozpaczliwym wysiłkom rządzących ich państwami. Że między obrazami rzeczywistości z poprzedniego i poprzedzającego je zdania można się dopatrzyć pewnej sprzeczności, może pomyśleć tylko ktoś, kto nigdy nie ma do czynienia z narracją „federalnych telekanałów".

Zarówno swoim, jak i obcym zasugerowano – w jakiejś mierze skutecznie – komunikat: sankcje wobec Rosji nie działają; to jest sprawne, bogate państwo. Swoim zaserwowano jeszcze jedno – obraz siły i zdrowia. To oczywiście wszędzie, na całym świecie kojarzy się ze sportem, ale w wypadku Rosji ma to większe znaczenie.

A to z dwu powodów. Po pierwsze, siła państwa jest dla Rosjan podstawowym kryterium jego akceptacji, uznania bieżącej wersji państwowości za swoją i prawdziwie rosyjską. Bo Rosjanie miewają z tą akceptacją problemy, w potocznym języku środowisk nacjonalistycznych, odmawiających Federacji Rosyjskiej tej mistycznej prawomocności, funkcjonuje nawet pogardliwe słowo, używane dla zademonstrowania, że tak naprawdę nie jest ona Rosją: „Erefia" (od skrótu RF – Rossijskaja Federacja). Można sądzić, że po mundialu liczba używających tego słowa spadnie – bo państwo sprawdziło się, zademonstrowało siłę.

Po drugie, Rosjanie nie są zdrowi, a problem alkoholowy – choć jego szczyt, jak się wydaje, minął – nadal jest nad Wołgą znacząco większy niż w krajach Zachodu. Co więcej, jego skutki

eprasa.pl b95f64bea9

kumulują się przez pokolenia. Rosjanie wiedzą o tym. Między innymi stąd bierze się popularność Putina – jako uosobienie zdrowia, trzeźwości i fizycznej siły. Mistrzostwa tworzą obraz Rosji zdrowej i silnej.

WSTRZYMANIE GRAWITACJI

Warto wreszcie zauważyć, że w okresie mistrzostw państwo rosyjskie istotnie wykazało się sprawnością i sprawczością. Piszę to bez jakiejkolwiek ironii. Bo każdy, kto zna tamtejszą inercję i entropię, musi zauważyć ogrom wysiłku włożonego w czasowe wstrzymanie tych sił, które w państwie moskiewskim działały zawsze tak jak na całej reszcie planety działa grawitacja, w określonym sektorze funkcjonowania Federacji Rosyjskiej. Wysiłku, który w dziedzinie PR państwa opłacił się tysiąckrotnie.

Bo rosyjskie służby naprawdę były oddane zadaniu dopomagania cudzoziemcom (można mnożyć informacje o zagubionych lub nieświadomie zamienionych laptopach, tabletach czy smartfonach, które powołani do tego urzędnicy błyskawicznie znajdywali i oddawali właścicielom – jeden z takich szczęśliwców, Anglik, wspomniał przy tej okazji, jak to w Wielkiej Brytanii dwa lata temu utracił telefon i musiał go wykupić od znalazcy czy złodzieja za 100 funtów; oczywiście nie omieszkał skontrastować tej przygody z tą, która zdarzyła mu się w Rosji; podobną, ale zakończoną szybciej, radośniej i za darmo).

Rosyjska policja zaś – co odnotowało wielu obserwatorów, w tym Rosjan – stała się na czas mistrzostw niewidoczna. To znaczy widoczna była, ale zachowywała się uprzejmie i interweniowała tylko w sytuacjach zdecydowanie tego wymagających.

I – last but not least – na odbywających się w Rosji igrzyskach niemal nie zanotowano żadnych ekscesów ze strony rosyjskich kiboli. Nie przejdzie nad tym faktem bez refleksji nikt, kto pamięta choćby gościnne występy tychże np. w czasie francuskiego Euro 2016. To, że w rosyjskich miastach nie było tej, dobrze zapamiętanej, agresji ze strony wyśmienicie zorganizowanych i wyszkolonych w sztukach walki „fanatów", świadczy o dwóch rzeczach. Po pierwsze, o wykonanym w celu ich opanowania wysiłku władz. A po drugie, że było to wykonalne, a zatem wcześniej tego wysiłku po prostu nie było. Innymi słowy: od mundialu 2018 ci, którzy uważają, że rosyjskie kibolskie „nabojki" są kontrolowane (a jeśli tak, to mogą też być zadaniowane) przez odpowiednie kremlowskie struktury, mają o jeden argument więcej.

> Mundial pozwolił Putinowi upowszechnić na świecie obraz innej Rosji – nienaruszonej przez sankcje, silnej, ale przyjaznej

A mającym jeszcze wątpliwości co do kwestii politycznego wykorzystywania futbolu przez Rosję zadedykowałbym kolejną historię: otóż w 2013 r., gdy Kreml z jednej strony naciskał na Ukrainę, aby nie podjęła decyzji o stowarzyszeniu z Unią Europejską, a z drugiej wabił ją do swoich „eurazjatyckich" struktur integracyjnych, podjęto – pod patronatem Gazpromu i osobiście jego prezesa Aleksieja Millera – próbę zjednoczenia lig rosyjskiej i ukraińskiej. Miałoby to oczywisty wydźwięk polityczny, a finansowo, według Zbigniewa Rokity z miesięcznika „Nowa Europa Wschodnia", byłoby bardzo zyskowne. Reakcja na ówczesnej Ukrainie była mieszana, ale kres całej inicjatywie położył wcale nie Kijów, tylko zrobiła to FIFA. Nie ze względu na rusofobię – o co jak o co, ale o to skorumpowanej, planetarnej oligarchii futbolu oskarżyć nie można – tylko dlatego, że otwierałoby to drogę do zbyt wielu i zbyt fundamentalnych jak na gust FIFA zmian organizacji piłki nożnej w skali światowej.

„LIBERAŚCI" PRZECIW „WACIE"

Trzeźwi rosyjscy obserwatorzy zauważają, że zmiany są wyspowe i czasowe, i szybko miną. Siemion Nowoprudskij z „Wiedomosti" przypomina, że w ciągu ostatnich lat Rosja już parokrotnie „poprawiała swój image" – np. w czasie szczytu Azji i Pacyfiku we Władywostoku w 2012 r., potem za pomocą Uniwersjady w Kazaniu w 2013 r., wreszcie wspomnianą już zimową olimpiadą. I zawsze zaraz wszystko powracało do starego koryta, a wręcz przejściowe polepszenie kończyło się pogorszeniem i w sensie relacji wewnątrzrosyjskich, i międzynarodowych. „Widziałem już to wszystko w Soczi – uśmiechniętych policjantów, uczynnych urzędników, przyjaznych taksówkarzy. Po miesiącu wszystko było po staremu" – powiedział „Wall Street Journal" moskiewski menedżer z firmy IT Dmitrij Perlin.

Obserwatorzy zwracają też uwagę, że w czasie mundialu (taki z reguły jest efekt wielkich imprez sportowych) w Rosji pojednali się „liberaści" („liberast", czyli połączenie „liberała" z „pederastą" – tak pogardliwie nazywają Rosjan nastrojonych prozachodnio ich nacjonalistyczni rodacy) z „watą" lub „watnikami" (tym słowem, znaczącym po polsku „kufajka", pogardliwie określają z kolei rosyjscy liberałowie swoich rodaków niepodzielających ich poglądów, za to skłonnych do nostalgii za ZSRR i do przyjmowania propagandowych przekazów o zagrożeniu ze strony Zachodu). Ale podkreślają też że, co oczywiste, ta integracja jest sztuczna, chwilowa i zaraz się skończy.

* * *

Wszystko to nie zmienia jednak podstawowego faktu – dla Władimira Putina mundial jest wielkim sukcesem. Co więcej, wpisującym się, w jego optyce, w ciąg kilku innych, z osiągniętym w Syrii na czele. I uskrzydlony tym, w świecie, w którym – jak napisał cytowany wyżej rosyjski dziennikarz – prestiż i wpływ kapitalizują się za pomocą innych niż niegdyś środków, leci na spotkanie z Donaldem Trumpem. Spotkanie, które ma być ukoronowaniem tego zwycięskiego cyklu.

Czy okaże się przesadnym optymistą?

eprasa.pl b95f64bea9



Fot. Przemysław Szyszka/SE/East News, Shutterstock

Czas Brzęczka

Trener Wisły Płock Jerzy Brzęczek został szkoleniowcem reprezentacji Polski. Wybór Zbigniewa Bońka oznacza, że poszedł on podobną drogą jak przy nominacji poprzednika. Zamiast zatrudniać „gotowca" z zagranicy, postawił na trenera, którego reprezentacja ma dopiero ukształtować i poprawić jego CV.

Pomysł jest ciekawy, a wybór na pewno nieoczywisty. Bo nie jest to trener mogący się pochwalić jakimiś wyjątkowymi osiągnięciami. Tak najdelikatniej rzecz ujmując. Pracował w Częstochowie, Gdańsku, Katowicach, ale jak mówił klasyk, w tramwajach o tym nie dyskutowano. Dopiero ostatnio w Płocku udało mu się przeciętną Wisłę wysforować na piąte miejsce w tabeli Ekstraklasy. Czyli osiągnął wynik ponad stan. Mało tego, potrafił to zrobić rzadkim u nas sposobem, w dużej mierze stawiając na młodych polskich zawodników. Jego Wisła grała ładnie. Prezentowała momentami znacznie bardziej atrakcyjny futbol niż zespoły, które zajęły lepsze miejsca, mając nieporównywalnie wyższe budżety. Brzęczek pokazał się jako wyważony, kulturalny trener z głową, który ma ogromny zapał do pracy. Niby nic wielkiego, bo przynajmniej kilku mogących się pochwalić podobnymi przymiotami moglibyśmy znaleźć w naszej lidze, ale... kogoś trzeba było nominować. Mówiąc wprost, chodziło raczej o to, aby uniknąć jakiejś znacznej pomyłki, bo jednego oczywistego kandydata nie było.

Co do słuszności wyboru akurat tego ligowego trenera można dyskutować, ale wydaje się, że Boniek dobrze zrobił, stawiając na Polaka. To generalnie dla naszej piłki znacznie lepsze rozwiązanie niż wybór jakiegoś podrzędnego Włocha, Słoweńca czy Chorwata, a o takich się mówiło. Na lepszych PZPN nie było stać, a nawet jeśli było... to czy wydawanie, powiedzmy, 6 mln euro na dwuletni kontrakt z trenerem z jakimś bardziej znanym nazwiskiem miało sens? Gwarancji, że osiągnie choć takie wyniki jak poprzednik, przecież nie było.

Antoni Piechniczek, nestor wśród polskich trenerów, który dwa razy prowadził kadrę na mundialu, a w 1982 r. sięgnął z nią po medal w Hiszpanii, kilka dni temu wręcz apelował do swojego byłego podopiecznego Zbigniewa Bońka, aby ten postawił na rodaka. Ewentualne zatrudnienie obcokrajowca nazwał wprost: „Będzie to nieuzasadniona próba wyprowadzenia kilku milionów euro z polskiej piłki". Trudno się z nim nie zgodzić. To nie jest demagogia, te miliony można przeznaczyć na szkolenie, wsparcie akademii, klubów, setki innych rzeczy.

Tym, którzy zżymają się na marne osiągnięcia Brzęczka w roli trenera, zawsze można odpowiedzieć pytaniem: a kto ma zdecydowanie lepsze? Polska piłka klubowa nie liczy się w Europie, toteż trudno o trenera, który miałby tego typu sukcesy w swoim portfolio. Zresztą Adam Nawałka, który mimo klęski na mundialu stał się dzięki pracy z reprezentacją szkoleniowcem niezwykle docenianym, też nie miał. Też został wzięty z drużyny, która nie była nawet na podium w Ekstraklasie, ale widać było, że Górnik pod jego wodzą prezentuje ciekawy futbol. Widać było u niego ten sam błysk w oku, który teraz dostrzega podobno u Brzęczka Zbigniew Boniek.

Pewnie, że najlepiej byłoby, żeby nominacja na trenera reprezentacji Polski była zwieńczeniem jakieś wielkiej kariery. Powiedzmy po trzech mistrzostwach Polski z rzędu, jednym w Lidze Mistrzów i ze dwóch w Lidze Europy. Ale skoro takich kandydatów nie ma, to trzeba było się opierać na ostatnich wynikach, miejscach w ligowej tabeli, baczniej oceniać potencjał, to, co trener może osiągnąć, jakim jest człowiekiem, jakie ma relacje zawodnikami. Zabawić się w wizjonera.

Polska Ekstraklasa jest niewymierna. Średnia długość pracy w przypadku szkoleniowca wynosi w niej ledwie 168 dni. Wywala się ich po byle porażce. Nikt nie zaryzykuje wprowadzenia jakiegoś planu długofalowego, wykreowania trenera i zawodników, poczekania na efekty. Wcale nie jest pewne, że w takich warunkach poradziłby sobie Didier Deschamps czy José Mourinho. W polskich klubach tak naprawdę żaden trener nie ma takiego komfortu jak w kadrze, z całym profesjonalnym zapleczem, sztabem i prezesem, który cię wspiera. No i mając do dyspozycji najlepszych polskich piłkarzy. To dopiero tutaj przekonaliśmy się, ile był wart Nawałka.

Argument, że nasze gwiazdy z zachodnich lig mogą nie akceptować niezbyt doświadczonego trenera, właściwie przestał się liczyć po ostatnim mundialu, w którym te gwiazdy się skompromitowały. To fakt, że Brzęczek na mundialu nigdy nie zagrał. Ale był liderem naszej ostatniej drużyny, która wywalczyła medal na poważnej imprezie, czyli igrzyskach olimpijskich w Barcelonie w 1992 r. O tamtym pokoleniu piłkarzy mówi się, że zostało zmarnowane.

Może jednak nie do końca...

Cezary Kowalski

Autor jest komentatorem Polsatu Sport

eprasa.pl b95f64bea9



Mieszkanie plus mieszkańcy

W Białej Podlaskiej przy ul. Jana III Sobieskiego stoją trzy bloki. Każdy ma po 62 mieszkania, elewacje budynków różnią się kolorami. Z jednego z balkonów wygląda dziecko, na kilku innych widać skupionych kafelkarzy pochylających się nad urządzeniami do cięcia glazury. Wokół jednego budynku kręci się dwóch chłopców na rowerze

Po drugiej stronie ulicy widać inne bloki, pochodzące z lat 90., nieco dalej jest centrum handlowe. Ulica jest spokojna, nie ma wielkiego ruchu. Aż trudno uwierzyć, że budynki te stały się epicentrum awantury związanej z programem Mieszkanie+. Te bloki bowiem – według opinii części mediów – mają być jednym wielkim oszustwem.

AWANTURA

W niektórych mediach pojawiły się doniesienia, że osoby wpisane na listę tych, którzy uzyskają mieszkania w nowych blokach przy Sobieskiego, masowo rezygnują. Bo obiecano im mieszkania, które będzie można wykupić na własność, a tymczasem w umowach widnieje zapis wyłącznie o najmie.

Na dodatek mieszkania nie są wykończone – alarmowano. Ci, którzy mieliby je wynajmować, nie chcą ich wykańczać na własny koszt, skoro nie mają prawa do uzyskania aktu własności.

Ponadto pojawiły się głosy, że miasto Biała Podlaska straciło na współpracy z BGK Nieruchomości, operatorem programu Mieszkanie+. Owe trzy bloki zbudowano bowiem na miejskiej działce, na której miały powstać budynki komunalne. Jeden taki budynek – bliźniaczo podobny do nowej trójki, bo zbudowany na podstawie identycznego projektu – już stoi.

– Miasto powinno zbudować tam jeszcze trzy bloki komunalne, a nie bawić się w Mieszkanie+, bo straciło działkę przekazaną już BGKN – mówią przeciwnicy programu.

Cała awantura spowodowała, że w Białej Podlaskiej zwołano zebranie z osobami, które dostały prawo do mieszkania+. Wzięli w nim udział m.in. przedstawiciele BGK Nieruchomości.

„Macie za szybkiego prezydenta miasta, bo parlament nie zdążył jeszcze uchwalić ustaw, a mieszkania już są" – powiedział Grzegorz Muszyński, wiceprezes BGKN. „Tak naprawdę bardziej opłacałoby mu się poczekać do uchwalenia ustaw i dopiero oddać mieszkania, gdyż to nastąpiłoby we wrześniu, czyli akurat przed wyborami. Mimo wszystko zdecydował się oddać te mieszkania jak najszybciej".

eprasa.pl b95f64bea9



Fot. Mat. własne

SYSTEM DOPŁAT DO CZYNSZU

Liczba osób w rodzinie → Wielkość mieszkania → Dochód rodziny → **Wysokość dopłaty do czynszu**

Przykadowe wyliczenia czynszu dla poszczególnych mieszkań

Liczba osób w rodzinie	Wielkość mieszkania	Dochód rodziny	Wysokość dopłaty	Wysokość czynszu **bez dojścia** do własności **bez dopłaty**	Wysokość czynszu **bez dojścia** do własności **z dopłatą**	Wysokość czynszu **z dojściem** do własności **bez dopłaty**	Wysokość czynszu **z dojściem** do własności **z dopłatą**
2	39,4 m²	2446 zł	183,75 zł	541,75 zł	358,00 zł	738,75 zł	555,00 zł
3	45,6 m²	4913 zł	239,93 zł	682,38 zł	388,45 zł	856,88 zł	616,95 zł
4	51,0 m²	3933 zł	267,75 zł	701,25 zł	433,50 zł	956,25 zł	688,50 zł
5	51,4 m²	5344 zł	269,85 zł	706,75 zł	436,90 zł	963,75 zł	693,90 zł

USTAWY

Ustawy, o których mówił Grzegorz Muszyński, to: tzw. specustawa mieszkaniowa, podstawowy dla programu Mieszkanie+ akt prawny, oraz ustawa o dopłatach do czynszu. Specustawa mieszkaniowa w tej sprawie ma ogromne znaczenie, gdyż brak właśnie tego prawa powoduje, że osoby, które dostały bialskie mieszkania+, otrzymały do podpisania jedynie umowę najmu. Dlaczego? Bo obecne przepisy nie przewidują umowy najmu z tzw. dojściem do własności, na mocy której najemcy lokali z programu będą mogli uzyskać własność mieszkania, płacąc wyłącznie podwyższony czynsz.

„Ta ustawa powinna zostać uchwalona wkrótce przez Senat, potem podpisze ją prezydent Andrzej Duda" – powiedział Muszyński. „Sądzimy, że ustawa zostanie opublikowana jeszcze w tym miesiącu w Dzienniku Ustaw, dzięki czemu już w sierpniu przedstawimy państwu wzory umów, abyście się mogli zdecydować albo na najem, albo na najem z dojściem do własności" – dodał.

Druga ustawa – ta o dopłatach do czynszu – wprowadza możliwość dopłacania przez państwo do czynszu przy wynajmie mieszkań. Tymi dopłatami zostaną objęci m.in. uczestnicy bialskiego programu. Zgodnie z ustawą na dopłaty mogą liczyć ci, którzy uzyskują dochody poniżej określonego progu. Ten próg wynosi 60 proc. średniego wynagrodzenia w gospodarce narodowej dla jednoosobowego gospodarstwa domowego, a za każdą kolejną osobę trzeba dodać 30 proc. owego średniego wynagrodzenia. Czyli przy dwóch osobach próg wynosi 90 proc., przy trzech – 120 proc. itd. W przeliczeniu na złotówki daje to 2562 zł w jednoosobowym gospodarstwie domowym, 3844 zł dla dwóch osób, 5125 zł dla trzech osób, 6407 zł dla czterech osób i 7688 zł przy pięciu osobach.

„Te dopłaty są tak ustalone, że w dużej części konsumują tę kwotę, o którą zostanie podwyższony czynsz w wersji z dojściem do własności" – tłumaczył Grzegorz Muszyński. „Ale te dopłaty wejdą w życie 1 stycznia 2019 r. Dlatego to państwo będą musieli zdecydować, kiedy chcą podpisać aneksy do umów o najem, dzięki którym aneksom uzyskają państwo prawo do dojścia do własności mieszkania. Możemy je podpisać już we wrześniu, a możemy zrobić to w styczniu, kiedy już będą państwo mieli prawo do uzyskania dopłat" – dodał.

NA WŁASNOŚĆ

Co ciekawe, pytania od mieszkańców Białej Podlaskiej, którzy biorą udział w programie Mieszkanie+, koncentrowały się raczej na owej opcji dojścia do własności niż na samych dopłatach. Uczestnicy programu pytali m.in. o to, czy za 26 lat – bo taki okres wyszczególniono w umowie – będzie można wykupić mieszkania+ na podobnych zasadach jak lokale z zasobów miejskich, które mieszkańcy mogą przejąć z dużą bonifikatą.

„Prezydent miasta oraz rada miasta mogą udzielać bonifikat, ale spółki prawa handlowego tego robić nie mogą" – powiedział Muszyński. „Żaden zarząd i żaden prezes nie podpisze się pod przekazaniem mieszkania za symboliczną złotówkę, gdyż to by oznaczało działanie na szkodę spółki. Nie ma więc mowy o przekazaniu mieszkania za obniżoną cenę" – dodał.

Ta wypowiedź wywołała ulgę wśród uczestników spotkania.

„Bardzo dziękuję za tę wypowiedź" – powiedziała jedna z zainteresowanych. „Nam wmawiano, że może się nie opłacać wybierać opcji z dojściem do własności, bo za jakiś czas może się okazać, że pojawi się opcja z bonifikatą i będzie można dostać mieszkanie za przysłowiową złotówkę".

Inni uczestnicy również wydawali się zadowoleni z tego, co usłyszeli.

– Staraliśmy się o mieszkanie w programie. Zależy nam na docelowym dojściu do własności. W 51-metrowym mieszkaniu zamieszkamy we czworo. Nie widzę żadnego ryzyka w programie. Ryzykiem raczej jest wynajem. Jeśli miałabym kłopot z płatnością, właściciel nie zastanawiałby się i szybko rozwiązałby z nami umowę. Tutaj przynajmniej mam świadomość, że mieszkanie będzie kiedyś moje – powiedziała pani Barbara.

– To spotkanie mnie uspokoiło. Wiem teraz, że wszystko regulowane jest prawnie, za chwilę będzie ustawa.

eprasa.pl b95f64bea9



Fot. Mat. własne

Biała Podlaska. Na zebraniu z osobami, które dostały prawo do Mieszkania+, przedstawiciele BGKN i władz miasta wyjaśnili zebranym wszystkie wątpliwości dotyczące programu

I ostatecznie gwarancją jest też aneks do umowy najmu, dający prawo do uzyskania własności lokalu, który zostanie sporządzony w formie aktu notarialnego – powiedział pan Emil.

Dodał, iż jego rodzina skorzystała z tego, że inny uczestnik programu zrezygnował. – Nasza czteroosobowa rodzina początkowo dostała w programie mieszkanie 45-metrowe. Mieliśmy szczęście. Ktoś zrezygnował i ostatecznie mamy teraz własne 51 m. Chcemy je wynająć z opcją dojścia do wykupu. Tylko wtedy ma to dla nas sens, bo będziemy wreszcie u siebie – powiedział tygodnikowi „Sieci".

CZYNSZ

Nie da się jednak ukryć, że mimo wszystko wiele osób z tzw. głównej listy zrezygnowało. Kilkadziesiąt rodzin albo zdecydowało się na nieskorzystanie z programu, albo poprosiło o czas do namysłu. Nikt nie narzekał na brak armatury w łazienkach. Wśród powodów rezygnujący wymieniali m.in. uzyskanie kredytu, pojawiające się zobowiązania komornicze (udział w programie wymaga tzw. zdolności czynszowej) czy uzyskanie lokalu w spadku pod dziadkach. Nic dziwnego – czynsz podstawowy (bez opłaty za dojście do własności) w bialskim mieszkaniu+ wynosi 13,75 zł/m^2 i 2,5 zł/m^2 za administrację. W wersji najmu daje to 16,25 zł, czyli przy 40-metrowym mieszkaniu – 650 zł miesięcznego czynszu. Ta kwota nawet na warunki Białej Podlaskiej nie wydaje się wysoka. Pani Barbara powiedziała, że za wynajem mieszkania płaciła 1,2 tys. zł. Nawet jeśli czynsz w Mieszkaniu+ zostanie powiększony o 5 zł/m^2 – bo tyle będzie kosztować tzw. opcja dojścia do własności – to i tak będzie niższy niż w przypadku komercyjnego najmu.

– Poza tym od początku uznaliśmy, że nie będziemy wykańczać mieszkań – powiedział nam Dariusz Stefaniuk, prezydent Białej Podlaskiej. – Stwierdziliśmy, że każdy powinien sobie wybrać, jaki chce kolor płytek czy jakie woli meble. Dlatego mieszkania są przekazywane w standardzie deweloperskim – dodał.

Tyle że jest to tzw. wyższy standard deweloperski, a więc mieszkania mają gładzie, osprzęt elektryczny (gniazdka), parapety, są także pomalowane. Poza tym ze względu na konieczność wykończenia lokali najemcy dostają tzw. wakacje czynszowe – czyli przez trzy miesiące są zwolnieni z czynszu. Zapewne nie pokryje to kosztów prac wykończeniowych, ale stanowi sporą ulgę dla nowych lokatorów. Zwłaszcza że niektórzy są zadowoleni z możliwości samodzielnego wykończenia lokalu.

– To mieszkanie urządzimy tak, jak sami chcemy. Sami z żoną je zaprojektowaliśmy. Moim zdaniem decyzja o wykańczaniu mieszkań na własną rękę jest trafna. Gdyby zostało urządzone przez kogoś obcego, miałbym sporo powodów do narzekania. I bałbym się, czy wszystko jest zrobione poprawnie – powiedział pan Emil.

Każde mieszkanie ma piwnicę, na klatkach są wózkownie, lokale na parterze są przystosowane dla osób niepełnosprawnych – można tam wjechać na wózku, a drzwi wejściowe są szersze od tych na piętrze.

MIASTO I BANK

Na dodatek na całej tej operacji miasto całkiem przyzwoicie zarobiło. Otóż do budowy trzech bloków Biała Podlaska powołała razem z BGKN spółkę celową. BGKN dał pieniądze na budowę, a miasto wniosło działkę oraz projekt budynku komunalnego. Po wybudowaniu bloków spółka uległa rozwiązaniu, a wspólnicy zaczęli się rozliczać. Za projekt i grunt miasto dostanie – po odliczeniu podatku – ok. 2,5 mln zł. Te pieniądze zostaną przeznaczone na obsługę zobowiązań spółki komunalnej – Zakładu Gospodarki Lokalowej.

– Kiedy cztery lata temu zostałem prezydentem Białej Podlaskiej, okazało się, że ZGL ma kredyty i zobowiązania na 18,5 mln zł. Udało mi się spłacić 7,5 mln zł, ale pieniądze ze spółki z BGKN bardzo nam się przydadzą, np. na obsługę kredytów – powiedział Dariusz Stefaniuk.

I dodał, iż właśnie sytuacja finansowa ZGL była powodem tego, że w ogóle nie było mowy o budynkach komunalnych.

Stefaniuk powiedział, że pierwszy i jedyny budynek komunalny, jaki powstał na działce należącej do ZGL, został zbudowany przed wyborami w 2010 r. Ówczesnym prezydentem był Andrzej Czapski, który miał potem całe cztery lata, aby zbudować pozostałe trzy bloki. Nie powstały, bo po prostu nie było na to pieniędzy. Stefaniuk uznał, że inaczej wykorzysta grunty, i dlatego w Białej Podlaskiej powstały pierwsze w Polsce mieszkania+. Czy będą kolejne?

– Obiecałem sobie, że najpierw rozliczymy tę pierwszą inwestycję. Kiedy już to nastąpi, będziemy mogli się przyjrzeć cenom na rynku, wszystko policzyć i zobaczyć, na co nas stać. Ale od razu powiem, że nie ma możliwości, aby uzyskać tak niskie koszty budowy jak te, które osiągnęliśmy przy tej inwestycji – zastrzegł. – Koszt budowy 1 m^2 części mieszkalnej wyniósł 1860 zł. Jeśli doliczyć do tego koszty parkingów, dróg dojazdowych itd., wychodzi 2,2–2,3 tys. zł/m^2. Takich cen już nie uzyskamy – powiedział prezydent Dariusz Stefaniuk.

To oznacza również, że nie ma szans na czynsz tak niski jak ten, który będą płacić uczestnicy obecnego programu w Białej Podlaskiej. Umowy najmu podpisało już 114 osób. Do sierpnia wszystkie 186 mieszkań będzie już zajęte.

Marek Siudaj, Anna Raciniewska

eprasa.pl b95f64bea9

PKP Intercity świętuje stulecie odzyskania niepodległości

PKP Intercity aktywnie włączyło się w obchody stulecia odzyskania przez Polskę niepodległości. Aby uczcić tę wyjątkową rocznicę, na tory wyjechały już pierwsze lokomotywy PKP Intercity ozdobione okolicznościową, biało-czerwoną grafiką. Największy przewoźnik dalekobieżny w Polsce szykuje także inne aktywności w dalszej części roku

20 lokomotyw PKP Intercity uzyskuje nowy wygląd. Każda z nich będzie się wyróżniać okolicznościową biało-czerwoną grafiką, ukazującą sposoby świętowania niepodległości przez Polaków. W narodowych barwach pojawi się sześć maszyn EU44, czyli popularnych Husarzy, oraz 14 pojazdów typu EP09. Pierwsze z nich można już spotkać na torach. Oklejone lokomotywy będą wykorzystywane do obsługi połączeń w całej Polsce i za granicą, m.in. na trasach: Warszawa–Poznań–Berlin, Trójmiasto–Bydgoszcz–Poznań–Berlin, Trójmiasto–Warszawa–Kraków, Przemyśl–Kraków–Opole–Wrocław.

Główną ideą działań PKP Intercity związanych z obchodami stulecia odzyskania przez Polskę niepodległości jest pokazanie różnych sposobów świętowania tego wyjątkowego wydarzenia. Grafika, która zdobi lokomotywy przewoźnika, ukazuje różnych Polaków z całego kraju, którzy na swój sposób cieszą się z odzyskanej wolności.

– Na co dzień wozimy po całym kraju i za granicę miliony Polaków, dlatego zależy nam na tym, aby ta wyjątkowa rocznica łączyła nas wszystkich – wyjaśnia Marek Chraniuk, prezes PKP Intercity.

Nie tylko lokomotywy są włączone w akcję. 60 EZT, czyli nowoczesnych pociągów zespolonych – Pendolino, Flirt3 oraz PesaDART – jeździ z naklejkami programu „Niepodległa" na czole. Jest nią cyfrowo odświeżony rękopis Józefa Piłsudskiego. Oklejone lokomotywy oraz EZT będzie można zobaczyć na torach do końca bieżącego roku.

Umieszczenie logo „Niepodległa" na pociągach to kolejna już inicjatywa będąca wynikiem partnerstwa PKP Intercity z Biurem Programu „Niepodległa", które jest odpowiedzialne za obsługę Programu Wieloletniego „Niepodległa". Przewoźnik od zeszłego roku włącza się w działania mające uczcić pamięć o wydarzeniach z 11 listopada 1918 r. Poprzez realizowane wraz z organizatorem akcji inicjatywy PKP Intercity chce przypomnieć jak największej liczbie pasażerów o wydarzeniach sprzed 100 lat.



fot. PKP Intercity

Jak pokazują badania*, odzyskanie niepodległości w 1918 r. jest jednym z najczęściej wymienianych przez Polaków wydarzeń z przeszłości stanowiących powód do dumy i – co więcej – jego znaczenie w pamięci zbiorowej Polaków rośnie. W 1987 r. o tym wydarzeniu wspominało 6,3 proc. społeczeństwa, w 2003 r. – 13,1 proc., a w najnowszym pomiarze z 2016 r. – 14 proc. Polacy wskazują Święto Niepodległości jako święto państwowe (lub rocznicę), które ich zdaniem najbardziej zasługuje na szczególne upamiętnienie – twierdzi tak 73 proc. respondentów.

– Biało-czerwone lokomotywy z pewnością będą przyciągać wzrok ludzi w całym kraju i przyczynią się do rozpowszechniania wiedzy o tej wyjątkowej, okrągłej rocznicy, a na tym nam bardzo zależy – przekonuje Marek Chraniuk.

PKP Intercity planuje kolejne akcje w ramach obchodów setnej rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości. W ich ramach przewoźnik będzie zachęcał do tego, aby poznawać nasz kraj: jego historię, tradycję, kulturę, najciekawsze miejsca. PKP Intercity planuje działania w mediach społecznościowych oraz aktywności w kilku polskich miastach.

* *Badania zrealizowane przez TNS Polska dla Narodowego Centrum Kultury w lipcu i we wrześniu 2016 r.*

eprasa.pl b95f64bea9

Gasnąca gwiazda neoliberalnych elit

Neoliberalizm okazał się kolejną odsłoną oszukańczej i jakże szkodliwej utopii. Odchodzi, choć jeszcze wierzga



Fot. Shutterstock



JANUSZ SZEWCZAK

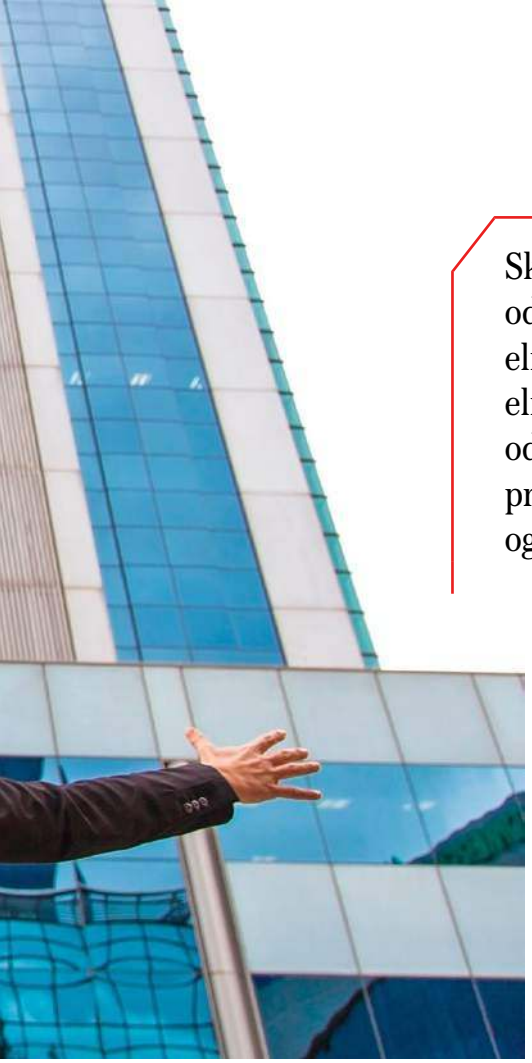
Żyjemy w czasach całkowitego upadku tradycyjnej ekonomii i powszechnie znanych teorii ekonomicznych, które odchodzą w kąt. Funkcjonujemy dziś w obliczu cyklicznych kryzysów finansowych, megaspekulacji, wojen walutowych i handlowych oraz wielce ryzykownych działań banków centralnych, które tylko w ostatnich dziesięciu latach nadrukowały nowych pieniędzy na kwotę 21 bln dol., a światowy dług wywindowały do astronomicznego poziomu 170–180 bln dol. Neoliberalne zaklęcia czy globalistyczne bajanie nie przekreślą kruchości współczesnego, światowego systemu gospodarczego i finansowego. Współczesne tzw. elity polityczne i finansowe boją się nie tego, co trzeba, a przywódcy świata nadal nie są w stanie ustalić żadnej sensownej hierarchii wartości ani zakresu najważniejszych problemów społecznych do rozwiązania. Zapewnienia ze strony medialnych autorytetów o tym, co będzie czekać światową gospodarkę, finanse czy systemy emerytalne za 30–40 lat, to czysta fanfaronada lub zwykłe oszustwo.

Ci, którym się wydaje, że świat będzie się już tylko bogacił, rozwijał, szedł drogą pokoju, postępu, tolerancji i poprawności politycznej czy wreszcie neoliberalnej demokracji, jak i ci, którzy nie dostrzegają kłamstw ani bezeceństw różnych nadzwyczajnych kast i łże-elit, którzy nie zauważyli na czas odczłowieczenia procesów gospodarczych i społecznych, wbrew pozorom wydają się coraz bardziej zagubieni i niebezpieczni zarazem. Heroldzi globalizmu i neoliberalizmu, dobrobytu, postępu, multikulti nagle zderzają się z rzeczywistością kryzysów bankowych, długów nie do spłacenia, rosnącym protekcjonizmem.

Guy Verhofstadt – gasnąca gwiazda neoliberalizmu z Brukseli – wyjawił niedawno całą neoliberalną prawdę, że unijne pieniądze winny być przeznaczone tylko dla liberalnych rządów w Europie. Tych, którzy mają tradycyjne, chrześcijańskie wartości, najlepiej byłoby „zagłodzić". Mamy i nasze patologiczne przykłady owej neoliberalnej demokracji, lansujące „nowotwory wartości i prawdy". Mamy coraz bardziej żenujące, bezradne i kłamliwe występy medialne prof. Leszka Balcerowicza, wmawiającego Polakom zajętym urlopami, jak dramatyczny jest stan polskiej gospodarki i finansów. Ten twórca terapii szokowej i wielu ludzkich dramatów śmie jeszcze dziś publicznie nauczać o empatii oraz ludzkim współczuciu.

W te letnie dni debata konstytucyjna zaproponowana przez prezydenta Andrzeja Dudę przegrywa w przedbiegach nie tylko z piłkarskimi występami na mundialu. Polacy jakoś nie bardzo się palą do tego, by roztrząsać kwestie wyższości systemu kanclerskiego nad prezydenckim czy odwrotnie, ani kruszyć kopie o niezbędność zapisów w Konstytucji RP sprawy wieku emerytalnego, 500+ lub przyszłości Unii Europejskiej. Szkoda, że w tych propozycjach do dyskusji nie ma mowy o konstytucyjnych zapisach dotyczących finansów publicznych. A mówiący o nich rozdział X wy-

eprasa.pl b95f64bea9



> Skala neoliberalnego oszustwa, oderwania się współczesnych elit rządzących od tzw. mas, elit pieniądza i mediów od prawdziwych, codziennych problemów zwykłych ludzi, jest ogromna

maga zmiany, bo zawiera neoliberalną, banksterską, szkodliwą regułę, że polski rząd nie może pożyczyć pieniędzy we własnym banku centralnym (NBP) na pokrycie deficytu, ale może za to w zagranicznych, komercyjnych bankach (art. 220 Konstytucji RP). Tymczasem Szwajcarzy właśnie w podobnej kwestii w czerwcu przeprowadzili ogólnonarodowe referendum.

Według fałszywych mędrców i współczesnych faryzeuszy już wkrótce człowiek to nie będzie nawet homo oeconomicus, ale wręcz homo deus, ludzkość będzie teraz dbać głównie o nieśmiertelność, pełnię szczęścia, a nawet będzie chciała przydać cechy boskości samej istocie ludzkiej. Ci wszyscy złotousti blagierzy, eksperci i doradcy cywilizacji, manipulacji, zła i śmierci mogą się ogromnie rozczarować, gdyż ta współczesna droga ludzkości – wbrew jakże wielu zdemoralizowanym i zadufanym w sobie elitom – może się okazać niekoniecznie prostą, wielopasmową autostradą ku szczęściu, pokojowi i postępowi wyłącznie. A przecież wybojów, ostrych zakrętów oraz licznych korków i katastrof na tej drodze współczesności jest coraz więcej. Filary człowieczeństwa to nie tylko wielki biznes, ideologie, konstytucje, budżety czy polityczne wojenki. To przede wszystkim szacunek dla ludzkiego cierpienia, odchodzenia w godności, trudu i znoju dnia codziennego, poszanowania mądrości starców, wartości rodzinnych, szacunku dla wiary, miłości i tradycji, a głównie zrozumienia kruchości ludzkiego istnienia. A ponieważ tego zrozumienia tak bardzo brakuje, zwłaszcza pośród rządzących elit, to i nastroje licznych społeczeństw są coraz bardziej ponure i niepewne.

Ludzie na całym świecie chcą głębokich zmian, chcą powrotu do normalności i moralności, chcą przywrócenia prawdziwych wartości. Chcą powrotu do idei wspólnoty narodowej, chcą wiary i tradycji, a przede wszystkim chcą bardziej uczciwej władzy. Zamiast tego bankowo-zadłużeniowe tsunami nadal straszy i krąży nad światem, słowo „wojna" powróciło na usta wielu polityków i rządów. Skala neoliberalnego oszustwa, oderwania się współczesnych elit rządzących od tzw. mas, elit pieniądza i mediów od prawdziwych, codziennych problemów zwykłych ludzi jest ogromna. Skala skorumpowania, degrengolady, chciwości współczesnego establishmentu, egoizmu rządzących, braku odpowiedzialności za przyszłość własnych narodów nie tylko nie maleje, lecz wręcz rośnie.

Elity nie wyciągnęły żadnych wniosków z ostatniego kryzysu finansowego, tego z 2008 r., a już po cichu szykują nam nowy. Za potencjalną groźbą nowego krachu, wojen walutowych i handlowych czy nawet groźbą otwartej militarnej konfrontacji stoi przede wszystkim sprzeniewierzenie się ze strony światowych przywódców idei dobra wspólnego, odejście od zasady służby publicznej, troski o interes bliźniego czy własnego narodu. Legalizowanie bezprawia, totalna chciwość, krótkowzroczność rozwiązań społeczno-gospodarczych, bezkarność bogatych i ustosunkowanych powodują, że tak bardzo brakuje nam wszystkim ludzi, którzy mają „pięknie ukształtowane dusze".

Neoliberalizm, który totalnie zawiódł, okazał się kolejną odsłoną oszukańczej i jakże szkodliwej utopii. Odchodzi, choć jeszcze wierzga, podryguje, ale ewidentnie schodzi z dziejowej sceny. Nie ma globalnego społeczeństwa, europejskiego narodu, otwartych na oścież cywilizacji, powszechnej tolerancji i nieustannego postępu, nie ma światowej religii i powszechnie obowiązujących, liberalnych wartości. To tylko kolejna ułuda, polityczne superoszustwo i doskonała manipulacja mediów. Tego gigantycznego neoliberalnego demontażu moralnego, społecznego i finansowego nie będzie łatwo cofnąć. Owej gangreny serc i umysłów ani łatwo, ani szybko się nie wykorzeni, ale wiosna narodów i chrześcijaństwa jest nieunikniona. Czeka ona tylko na swych nowych, prawdziwych przywódców. Narody zagonione, umęczone i ogłupiane przez dziesięciolecia działaniami owych postępowców, liberalnych demokratów, kosmopolitów, wrogów wiary i tradycji, różnego rodzaju homolobby nie chcą już dłużej kontynuować swego marszu ku zniewoleniu, upodleniu, bezbożności, wręcz samozagładzie. Chcą powrotu do normalności, ocalenia prawdy, piękna i sprawiedliwości.

Nie nalewa się młodego wina do starych bukłaków ani nie naszywa się na stary płaszcz nowych łat z surowego sukna. By dać światu dobrą nowinę, potrzebny jest nowy zaczyn, potrzebni są nam dziś prawdziwi synowie światłości, a nie ludzkie cienie. Światu potrzebni są dziś nowi przywódcy i nowe elity, których „sumienia są jak cegły wypalone w ogniu Ewangelii" – co tak pięknie i trafnie przywołuje za św. Janem Pawłem II metropolita krakowski abp Marek Jędraszewski.

eprasa.pl b95f64bea9



Fot. Andrzej Świderski

Czas morskich decyzji

Cykl pożegnań starych jednostek podwodnych Marynarki Wojennej i powitań nowych został mocno zaburzony w wyniku zaniedbań ekip rządzących w latach 2007–2015. Kierownictwo MON stoi przed trudnym wyzwaniem, jakim jest odbudowa potencjału MW. Trzeba jednak pamiętać, że Marynarka to nie tylko poszczególne jednostki sił zbrojnych, lecz i inna niż na lądzie technologia, i inny z pewnością aspekt gospodarczy

Od początku swojego istnienia Marynarka Wojenna RP była ściśle powiązana z polskimi stoczniami. Przemysł stoczniowy, nie tylko w Polsce, jest kluczowym elementem, jeśli chodzi o utrzymanie sprawności bojowej okrętów MW, a także remonty i modernizację istniejących technologii. Niestety zaniedbania poprzednich ekip rządowych doprowadziły do poważnego kryzysu w przemyśle stoczniowym i można uznać, że odpryskiem tego kryzysu jest obecny stan Marynarki Wojennej.

Przemysł, który mógłby być kołem zamachowym dla gospodarki i obronności kraju, znajduje się w kryzysie, same stocznie zaś będą miały poważne problemy w utrzymaniu się na rynku w dłuższej perspektywie czasowej. Budowa prostych konstrukcji stalowych czy częściowo wyposażonych kadłubów statków może nie wytrzymać taniej konkurencji z Azji. Obecny premier, a ówczesny minister rozwoju, Mateusz Morawiecki już w 2016 r. w wywiadzie dla wGospodarce.pl kreślił plan reindustrializacji polskiego Wybrzeża. Jednym z czynników sprzyjających odbudowie przemysłu stoczniowego miałoby być skuteczne wdrażanie wysokich technologii i wykorzystanie zaawansowanych rozwiązań w konstruowanych w Polsce jednostkach pływających. Ten plan idealnie wpisuje się w kreśloną obecnie zarówno przez premiera Morawieckiego, jak i szefa MON wizję odbudowy Marynarki Wojennej.

Taki kierunek dla stoczni pozwoliłby nie tylko na odbudowę potencjału przemysłowego polskiego Wybrzeża, lecz i zagwarantowałby miejsca pracy dla specjalistów, w tym wysoko wykwalifikowanych inżynierów. To realna reindustrializacja. Co więcej, Polska mogłaby budować swoje kompetencje w oparciu o transfer technologii. Nowe okręty budowane dla Marynarki Wojennej stanowiłyby w tym przykładzie doskonałe koło zamachowe dla całej branży stoczniowej, a to wpisuje się

eprasa.pl b95f64bea9

przecież w założenia Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju premiera Mateusza Morawieckiego.

FAŁSZYWA ALTERNATYWA

W przypadku tak skomplikowanej kwestii, jaką jest odbudowa potencjału okrętowego Marynarki Wojennej, nie brakuje oczywiście doradców sugerujących rozwiązania, które wcale nie poprawią naszej sytuacji. Jednym z pomysłów jest idea wyleasingowania okrętów dla Marynarki Wojennej. Pomijając kwestie obronne, leasing jest dość niefortunnym w tym przypadku rozwiązaniem także z ekonomicznego punktu widzenia. Przykład? Za dwa wyleasingowane okręty podwodne na sześć do siedmiu lat można by zbudować w Polsce jeden nowy, w pełni sprawny bojowo okręt pozostający w rękach polskiego wojska. Warto też pamiętać, że po zakończeniu leasingu okręt podwodny wraca do właściciela, a to oznacza przepadek wydanych nań wcześniej środków.

Leasing okrętów może też przekreślić szanse na odbudowę i reindustrializację przemysłu stoczniowego. Stocznie nie zobaczą nawet złotówki z ewentualnego zamówienia MON i nie będą w stanie utrzymać swej konkurencyjności.

Innym rozwiązaniem jest po prostu zakup okrętów podwodnych na własność, co niesie możliwość transferu technologii czy nowych zamówień dla polskich stoczni w roli podwykonawców. Nasze stocznie można by wtedy włączyć w globalny łańcuch dostaw, a to umożliwiłoby stworzenie krajowego, międzysektorowego łańcucha poddostawców. Na koniec warto zauważyć, iż w całej dyskusji umyka to, że żaden inny kraj na świecie nie stosuje leasingu okrętów podwodnych – takie rozwiązanie uznawane jest bowiem za niekorzystne.

Inną ryzykowną sugestią podawaną w dyskusji na temat odbudowy potencjału polskiej MW jest kupno używanych fregat. Coraz głośniej o możliwości zakupu przez MON australijskich jednostek typu Adelaide, będących zmodernizowaną wersją amerykańskich fregat OHP. Również w tym projekcie warto jednak zwrócić uwagę na dość niesprzyjający rachunek kosztów. Uśredniając dane z różnych źródeł, można mówić o ok. 2 mld zł za dwie 25-letnie jednostki. Zakup starych fregat zahamuje także możliwości rozwojowe polskich stoczni – nie będzie przecież potrzebne konstruowanie własnych jednostek w kolejnych 10–15 latach!

KROPLÓWKA

Wiele pomysłów rozwiązania problemów polskiej Marynarki przypomina te stosowane niegdyś przez polityków PO – odkładamy wiele trudnych kwestii na później. MW otrzymuje prowizoryczną kroplówkę, leczone są objawy, a nie problem, i w konsekwencji polski przemysł stoczniowy może utknąć na mieliźnie na wiele lat.

Rozwiązanie „fregatowe" budzi wątpliwości także w kontekście programu Miecznik, tzn. budowy nowych okrętów obrony Wybrzeża (nowoczesnych korwet). Kwota 2 mld zł to niemal połowa budżetu tego programu, a za 2 do 2,4 mld zł Polska mogłaby otrzymać nawet dwie tego typu jednostki.

WARTOŚĆ BOJOWA

Leasing czy nabycie używanych fregat jest kontrowersyjne przede wszystkim jednak w kontekście umacniania zdolności bojowej polskiej Marynarki. MW musi dysponować nowoczesnymi, sprawnymi okrętami nie tylko na potrzeby zachowania ciągłości szkolenia załóg, lecz w szczególności pod kątem umacniania realnej sprawności bojowej jednostek. Okręty z leasingu nie będą mogły być używane operacyjnie, a to oznacza, że zyskamy jedynie zwykłą barkę szkoleniową dla załóg. Leasing wyklucza też używanie jakiegokolwiek uzbrojenia. Wyklucza również posiadanie przez Polskę pocisków manewrujących (swoją drogą dobrze, że MON zmodyfikowało pierwotne wymogi i postawiło w ramach Orki na okręty uzbrojone), a te są niezbędne do poprawienia bezpieczeństwa naszego kraju.

Mówi się o tym, że MON planuje wydzierżawienie dwóch niemieckich okrętów podwodnych. Sęk w tym, że jednostki te mają po kilkanaście lat i opinię awaryjnych oraz drogich w utrzymaniu. Choćby w ub.r. w niemieckiej MW uznano, że żaden okręt podwodny nie jest sprawny ani zdolny do prowadzenia działań na morzu. Mowa o tym w raporcie dla Bundestagu.

Nabywając używane okręty, Marynarka Wojenna uzyska stare i wyeksploatowane, bo pochodzące jeszcze z lat 70. XX w. jednostki. To, że były modernizowane, może się okazać mało znaczące, gdyż najprawdopodobniej z okrętów zdemontowano co bardziej wartościowe uzbrojenie.

Polska już raz miała do czynienia z podobnym przypadkiem, przy okazji przejęcia fregat typu Oliver Hazard Perry w czasie rządów lewicy. Z perspektywy czasu okazało się to niezwykle kosztownym błędem. Doprowadzenie okrętów do stanu jakiejkolwiek przydatności pochłonęło ogromne środki, a i tak fregaty nie przedstawiają wartości bojowej.

I znów, w przypadku nabycia starych okrętów, wymagających tylko kolejnych remontów, o technologicznym skoku w naszych stoczniach nie będzie mowy, a to rozmija się z wspomnianymi już wcześniej założeniami Planu Morawieckiego.

Kierownictwo MON ma więc twardy orzech do zgryzienia, choć kilkakrotnie potwierdziło już, że najwyraźniej świadome jest wagi fazy analityczno-koncepcyjnej przy podejmowaniu tak istotnej dla MW decyzji.

Atutem jest próba optymalizacji budżetu i świadczy o tym, że szef MON ma na uwadze zarówno kwestie obronne, jak i ekonomiczne aspekty rozwoju armii. Zakupienie przez MW nowych okrętów (zarówno podwodnych, jak i nawodnych) oznaczałoby transfer technologii i budowę w Polsce bazy infrastrukturalno-kompetencyjnej na dekady, dając nie tyle drugi oddech, ile drugie życie polskim stoczniom. Każda z ofert złożona w ramach programów Orka i Miecznik zawierała jakiś pakiet prac i technologii dla polskich stoczni.

Przed nami chłodna kalkulacja zysków i strat, by ostateczna decyzja pozwoliła odbudować świetność Marynarki Wojennej i zagwarantować lepszą przyszłość polskim stoczniom.

Arkady Saulski

eprasa.pl b95f64bea9



KRZYSZTOF ILNICKI
CUKIERNIK, JUROR PROGRAMU „BAKE OFF – ALE CIACHO!"

Nie sposób im się oprzeć

Tak. Można powiedzieć, że moje życie jest słodkie. Słodkie dosłownie. I stało się takie przez przypadek. Korzystając z wizy studenckiej, na czwartym roku politologii wylądowałem w Stanach Zjednoczonych. W pięciogwiazdkowym hotelu. Praca, jaką mieliśmy wykonywać, była loterią. Ja akurat trafiłem do cukierni. I tak się zaczęło.

Z doświadczeń mojego obecnego zawodu wynika, że: po pierwsze, nie sposób wyznaczyć maksymalnego poziomu słodyczy w słodyczach; po drugie, słodkość może mieć wiele źródeł; po trzecie, powinna być uzupełniona przez inne elementy. Jeśli coś jest słodkie, to byłoby cudownie, gdyby było też trochę wilgotne, lekko kwaśne albo troszeczkę słone. Sama słodkość jest mdląca, trzeba ją czymś dopełnić.

Naturalnym źródłem słodyczy są owoce. Jeśli dodatkowo poddamy je procesowi karmelizacji, to pod wpływem ciepła zmieni się konsystencja oraz kolor zawartych w nich sacharydów. I staną się słodsze.

Dojrzałe owoce wrzucamy więc na patelnię, dodajemy niewielką ilość masła (ja najchętniej sięgam po kakaowe) oraz – jeżeli ktoś ma naprawdę wysoki próg cukru – odrobineczką mokrego brązowego cukru muscovado. Powstaje baza, na której możemy zbudować wszystko.

Na odparowaniu wody zyskają śliwki i jabłka. Te ostatnie, podgrzane z odrobiną miodu (najbardziej neutralny jest wielokwiatowy), masła, cynamonu i skórki z cytryny, będą znakomitym składnikiem np. szarlotki. Przy czym, jeśli używamy płynnego miodu (np. do brownie), musimy pamiętać, żeby uwzględnić zawartą w nim wodę. Podobnie, gdy zamiast cukru dajemy dojrzałe banany. Wtedy też zmniejszamy ilość wody w podstawowej recepturze. I sięgamy po wysuszone oraz sproszkowane (czyli liofilizowane) białko jajek albo odparowujemy masło, czyli gotujemy je do momentu, aż pojawi się zapowiedź pierwszego przypalenia na dnie garnka.

Deser w szklance nie tylko dla wegan

Namoczoną w mleku kokosowym, napęczniałą tapiokę gotujemy i gdy pięknie się zżeluje, przekładamy do szklanek. Dosładzamy stewią lub miodem, ale nie demonizujmy też zwykłego cukru. Dokładamy dojrzałe mango pokrojone w kostkę, do tego laskę wanilii, a na koniec skórkę z limonki, ewentualnie odrobineczkę pulpy z marakui. I mamy świeży, przyjemny, pyszny deser.



Ale i przypalone, a raczej palone, masło, czyli tzw. beurre noisette, ma niewiarygodne walory smakowe. Jedno z moich ulubionych ciastek – finansjer, czyli biszkopt na mielonych orzechach (lub migdałach) – jest wykonane właśnie na palonym maśle.

Wstawiona do pieca, doskonale sprawdzi się też morela z tymiankiem. Cudowne, nieoczywiste połączenie. Wystarczą: blacha, papier do pieczenia i odrobineczka tłuszczu – może być oliwa albo olej lniany. Wrzucamy morele, na to całe gałązki tymianku, poddajemy działaniu temperatury i mamy wkład do ciasta albo wstęp do konfitury.

Śliwkową możemy robić nie tylko ze świeżych owoców. Jeśli najpierw w piekarniku odparujemy z nich wodę, będą słodsze.

Chętnie sięgam po owoce, by uwydatnić inny smak. Na przykład malina, dodana raptem w 20 proc., potęguje walory truskawki. Ledwie 5 proc. wystarczy, by uwypuklić smak rabarbaru. Przy brzoskwiniach czy nektarynach chętnie sięgam po riesling. Mango tworzy dwa bardzo udane związki: z limonką i marakują. Powstają z nich połączenia, którym nie sposób się oprzeć. Znakomite zarówno w wyrafinowanym przepisie, jak i najprostszej, zarazem zdrowej oraz pysznej wersji deseru w szklance/słoiku.

Notowała ***Jolanta*** *Gajda-Zadworna*

Fot. Mat. prasowe, Shutterstock

eprasa.pl b95f64bea9

SŁODKO-SŁONY

Ogórkowe pułapki

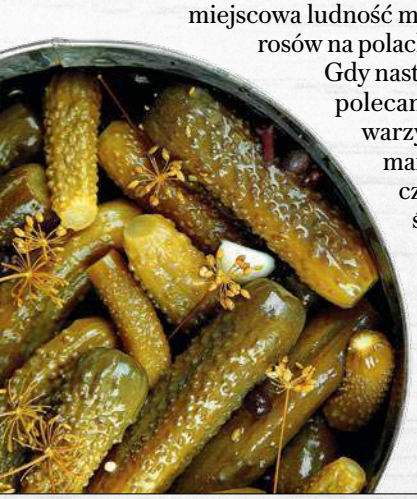
ANNA MONICKA

Kiszenie ogórków czas zacząć. Nie wiem, jak u was, ale u mnie zjemy każdą ilość, nawet jeśli załaduję pół garażu słojami (nie ma w nim już miejsca na samochód). Na razie przerobiłyśmy z ciotką pięć kilogramów młodych ogórków z tunelu foliowego, bo odmiany z pola jeszcze nie dojrzały. Nie sprzyja im susza. Przy okazji przekonałam się, że tak naprawdę wszystko zależy od jakości warzyw, a słowo „świeży" jest stanowczo za często używane przez sprzedawców.

Świeże to były ogórki, które kupiłam w gospodarstwie Dobrodziej na Pojezierzu Drawskim. Świeże, czyli rano zebrane z pola, podzielone ręcznie na małe – do kiszenia – zwane cukiereczkami i większe do zjedzenia. Po południu były już w słojach, wraz z dużą ilością czosnku, korzeniem i listkami chrzanu, liśćmi czarnej porzeczki i dębu, kwiatem kopru, zalane przegotowaną, wystudzoną wodą z solą kamienną (łyżka na litr). To stary, dobry przepis, bardzo prosty, a ogórki, pod warunkiem że nie są przenawożone, wychodzą zawsze twarde i chrupiące.

Bo nawożenie, a właściwie przenawożenie, to druga, po świeżości, ogórkowa pułapka. Gdy rolnik sypie za dużo nawozu, żeby szybciej rosły, w słoju zamienią się najpewniej w kapcie lub syfony.

Krótko mówiąc, jeśli nie masz zaufanego miejsca lub plantatora, nigdy nie wiesz, co kupujesz. Mojej znajomej w zeszłym roku zmarnowało się 40 słojów! Ja na szczęście mam sprawdzonych rolników, a Dobrodziejowie są do tego eko. Konsekwencja tych trzech literek to częste kontrole, ale z dobrego źródła wiem, że zatrudniona w gospodarstwie miejscowa ludność ma nawet zakaz palenia papierosów na polach.



Gdy nastawicie już ogórki na kiszone, polecam zainteresować się innymi warzywami. Doskonale wychodzą marchewki, buraczki, pomidory, czosnek. Pyszne są także jabłka, śliwki i cytryny.

I pamiętajcie – pod żadnym pozorem nie wylewajcie wody z kiszonek. Ta z ogórków niebywale podkręca smak pomidorówki! Ja moją nawet mrożę, żeby mieć gotowe porcje na zimę.



WILCZYM OKIEM

Ser w łyku zamknięty

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Co łączy francuski region Franche-Comté i lasy Beskidu Żywieckiego? Po raz pierwszy o związkach tych usłyszałem kilkanaście lat temu, biorąc udział w pracach zespołu naukowego krakowskiego Wydziału Leśnego UR badającego beskidzkie drzewostany.

Franche-Comté słynie z produkcji podpuszczkowego sera sezonowego Mont d'Or, znakomitego do zapiekania, idącego w parze z białym winem, pieczywem i ziemniakami. Sery Mont d'Or pakowane są w gustowne pudełeczka, tradycyjnie wykonywane ze świerkowego łyka (cienkiej warstwy znajdującej się pod korą drzewa odpowiedzialnej za przewodzenie, od korony drzewa do korzeni, cukrów powstałych podczas fotosyntezy).

Beskid Żywiecki w znacznym procencie pokryty jest lasami, w tym świerczynami, w których świerki osiągają niespotykane rozmiary – najwyższe z nich dorównują wysokością 20-piętrowemu wieżowcowi.

Elementem łączącym te dwa rejony Europy jest świerkowe łyko. To właśnie w Beskidzie Żywieckim, a dokładnie w Nadleśnictwie Ujsoły, ludzie nazywani gwarowo „skórkorze" pozyskują ze ściętych drzew paski łyka, które po odpowiednim przygotowaniu wysyłane są do Francji i używane do pakowania eleganckiego, drogiego (ok. 150 zł/kg) francuskiego sera. Skórkorz to zawód elitarny – w Polsce profesją tą para się zapewne nie więcej niż kilkadziesiąt osób. Praca jest ciężka i wymaga dużego doświadczenia, żeby nie uszkodzić cienkiej warstewki łyka i dostarczyć surowiec idealny dla wysublimowanego sera. We Francji, gdzie ludzi pozyskujących łyko jest jeszcze mniej, na skórkorza mówi się le sanglier i uważa za zawód ginący oraz zagrożony. Ze względu na koszty Francuzom bardziej opłaca się sprowadzać łyko – a przynajmniej sporą jego część – z Polski, niż skupować je od rodzimych zbieraczy.

A skoro o serach mowa, według danych FAO za 2014 r. Polska zajmuje szóste miejsce w produkcji serów, depcząc po piętach uważanej za serową potęgę Holandii. Bardzo wysoko plasujemy się także pod względem spożycia sera. Nic dziwnego – najstarsze znaleziska archeologiczne świadczące o produkcji sera, datowane na 5500 lat p.n.e., pochodzą z polskich Kujaw.

eprasa.pl b95f64bea9

Hindus, turban, depresja

PIOTR SKWIECIŃSKI

No więc nie. Nie czuję ani zagrożenia, ani nawet jakiegoś silniejszego zaniepokojenia, kiedy na warszawskiej ulicy mija mnie przysłowiowy już Hindus w turbanie, pracowicie pedałujący na rowerze firmy Uber Eats. Również tym się różnię od wielu kolegów, a także od współwyborców partii, na którą wspólnie głosujemy.

A kiedy czytam jakieś internetowe jęki na temat tego, jak to rzekomo już teraz ktoś tam gdzieś w Polsce przeżywa straszne chwile, bo na ulicy otaczają go dżihadyści z ponurymi minami i za chwilę zaczną gwałcić i bić, odczuwam wyłącznie rozbawienie tymi bzdurami, generowanymi przez spaczone umysły jednostek, które instynktownie boją się wszystkiego i szukają wokół uzasadnienia dla swych strachów. To absurdy całkowicie nieprawdopodobne, niezgodne nie tylko z empirią (gdzie konkretne, potwierdzone medialnie przykłady?), lecz i z podstawową wiedzą o ludzkich zachowaniach (kolorowi, w tym islamscy przybysze, rozproszeni w społeczeństwie raczej im niechętnym niż przyjaznym, starają się usilnie o jedno – nie narażać się i być jak najmniej widoczni).



Zupełnie nie boję się niemuzułmańskich imigrantów, ba – widzę w nich szansę

Owszem, większa liczba muzułmanów (podkreślam: muzułmanów!), po przekroczeniu pewnej granicy, mogłaby się przerodzić w nową, niebezpieczną jakość. Dlatego, uważam, należy imigrację akurat tej ludzkiej kategorii powstrzymywać. I nie bać się nawet oskarżeń o dyskryminację na tle religijnym. Bo tu stawka jest zbyt wysoka. Współczesny islam jest zradykalizowany i skłonny do postrzegania swojej misji jako siłowego zdominowania świata. A jego wyznawcy są, generalnie, sfrustrowani niewypełnianiem się dotyczących tegoż zdominowania obietnic proroka. W połączeniu z tym, że według filozofii islamu nie ma zasadniczo rozgraniczenia między sferą religii a polityczną organizacją społeczeństwa, stwarza to sytuację niebezpieczną. Dlatego – powtórzę jeszcze raz – nawet narażając się na zarzut dyskryminacji, nie powinniśmy wpuszczać do naszego kraju muzułmanów.

Tylko że to wszystko nie dotyczy przybyszy wyznań innych niż islam. Bo oni po prostu nie są niebezpieczni.

Nie boję się też, że zdominują kulturowo czy narodowo Polaków. Jesteśmy przyzwyczajeni do całkowitej jednorodności kraju, więc mamy tendencję do odczuwania tego inaczej, ale nawet gdyby było ich wielosetkrotnie więcej niż dziś, to póki odsetek mniejszości (jeśli chodzi o zsumowane grupy etniczne różne, sobie wzajemnie obce – gdyby wszyscy przybysze mieli pochodzić z jednego narodu, uważałbym inaczej) nie przekroczy 25 proc. ludności kraju, żadnego zdominowania nie mamy się co obawiać. A Polska pozostanie, w dowolnej perspektywie czasowej, polska.

Tym bardziej że – również w dowolnej perspektywie czasowej – kraje „starej Unii" pozostaną znacznie od nas bogatsze. To w połączeniu z okolicznością, że na zachód od naszych granic znajdują się ogromne etniczno-kulturowe skupiska rodaków naszych imigrantów każe sądzić, iż (tak jak zresztą dzieje się także obecnie) ci spośród nich, którzy nie zechcą wrócić z zarobionymi pieniędzmi do krajów pochodzenia, będą raczej mieć ambicje przemieścić się do Londynu, Berlina czy innej Antwerpii, a nie zapuszczać korzenie w Polsce.

A jeśli część z nich jednak zdecyduje na stałe związać się z naszym krajem, to – biorąc pod uwagę fakt, że w USA w drugim, urodzonym już w Ameryce, pokoleniu Hindusów odsetek wszelkiego rodzaju prezesów i dyrektorów najwyższego szczebla bije na głowę analogiczne odsetki wśród innych grup pochodzeniowych i kulturowych, włącznie z białymi anglosaskimi protestantami oraz Żydami – jest to szczęśliwa okoliczność. Szczęśliwa również dlatego, że pewien, pozostający w bezpiecznych granicach, dodatek imigrantów z dalekich krajów może pozwolić nam – czy raczej naszym dzieciom i wnukom – lepiej rozumieć świat. Dotąd Polacy są pod tym względem bardzo peryferyjni, co nie sprzyja narodowemu sukcesowi.

Nie wynika z tego wszystkiego, oczywiście, żaden obowiązek przyjmowania migrantów. Ani też, by rozpoczęte obecnie procesy miały same dobre strony i nie były związane z zagrożeniami. Idzie tu przede wszystkim o sprawy ekonomiczne. Głównie o to, by napływ obcej, taniej siły roboczej nie blokował wzrostu płac w Polsce w stopniu, który intensyfikowałby emigrację naszych rodaków. O tym trzeba rozmawiać. Bałbym się tutaj jednostronnej dominacji logiki wolnorynkowych fanatyków. Państwo powinno stworzyć efektywne narzędzia kontrolowania tych procesów.

Ale generalnie, tak jak napisałem – słynny Hindus w turbanie zupełnie, ale to zupełnie nie wzbudza mojego przestrachu. I nie wpędza mnie w depresję, o którą, jak słyszę, przyprawia niektórych.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl b95f64bea9

Niemcom grozi islamizacja. Na własne życzenie



Niemcy powojenne mają do czynienia z mniejszością muzułmańską od kilkudziesięciu lat. Są to byli gastarbeiterzy sprowadzeni z Turcji do wykonywania prostej i brudnej roboty, której nie chcieli się podjąć Niemcy korzystający z dobrodziejstw „gospodarczego cudu". Na podstawie umowy Bonn z Ankarą do Niemiec zachodnich przybyło 60 lat temu 750 tys. Turków, mieszkańców najbiedniejszego regionu, Anatolii, w nadziei poprawy swego bytu.

Po wypełnieniu się umowy do Turcji wróciło 400 tys. obywateli, reszta została, choć kanclerz Helmut Kohl robił wszystko, żeby się ich pozbyć, bo są „obcy kulturowo". Powracającym władze wypłacały odprawę w wysokości 10 tys. marek. Jak na złość, syn kanclerza Peter ożenił się z Turczynką.

Dziś w RFN żyje 3 mln Turków, z których tylko niewielka część poddała się zabiegom integracyjnym. Ludzie ci mieszkają w tureckich gettach, większość nie zna języka niemieckiego, szkoły, do których uczęszczają wnuki gastarbeiterów, są na najniższym poziomie, dla większości młodych studia pozostają w sferze marzeń.

Ale – wiem to z własnego doświadczenia, jakim była 17-letnia polityczna emigracja – nie przypominam sobie, by głośno było o zbiorowych gwałtach dokonywanych przez Turków na niemieckich kobietach. W Bonn, gdzie mieszkałam, a gdzie mieszkali również liczni Turcy, można było bezpiecznie chodzić wieczorem po ulicach, nie spotykaliśmy się z obelgami pod naszym adresem ze strony tej mniejszości, a już tym bardziej z zamachami terrorystycznymi.

Owszem, wiadomo było, że wśród nich po „cudzie" zapanowało bezrobocie, że musieli żyć na zasiłkach socjalnych i dorabiali sobie handlem narkotykami, co zaliczano do deliktów kryminalnych powszechnych na całym Zachodzie. Mogli swobodnie się poruszać po „gościnnym" kraju i odwiedzać Turcję, zawozić do rodzin prezenty za zarobione ciężką pracą pieniądze. Pochodzili z kraju muzułmańskiego, ale demokratycznego, a armia turecka to druga po amerykańskiej najpotężniejsza armia NATO.

Turcy byli – i myślę, że są nadal – przedmiotem żartów i kpin, z ich braku higieny, Ordnungu i z cywilizacyjnego zacofania. Niemniej działa w RFN 80 tys. tureckich przedsiębiorstw, a tubylcy masowo raczą się tureckimi jogurtami czy kebabami i jeżdżą na urlopy do tureckich kurortów.

Czy ta łatwość podporządkowania sobie mniejszości tureckiej, mniej lub bardziej respektującej porządek demokratyczny, natchnęła Angelę Merkel ideą „otwartych drzwi" dla muzułmanów z Bliskiego Wschodu i Afryki? Czy mieli oni w jej przekonaniu pracować w charakterze gastarbeiterów tak jak ich tureccy współwyznawcy? No i oczywiście poprawić niemiecką demografię? Myślę, że ta druga nadzieja Angeli Merkel wkrótce się spełni. Z 1,5 mln zrobi się w parę lat co najmniej 10 mln, nie tylko drogą łączenia rodzin, lecz i z powodu płodności muzułmańskich kobiet, które przybyły z falą imigracji do Europy.

No i oczywiście władze niemieckie chciałyby, żeby przybysze zaczęli się integrować z zastanym społeczeństwem. Tylko jak to osiągnąć?

Tego nikt nie wie. Wygląda na to, że łatwiej będzie zintegrować Niemców ze społecznością muzułmańską. W tym celu należy zacząć „pracę od podstaw". Temu służyć mają chrześcijańsko-muzułmańskie przedszkola, w których maluchy będą wzajemnie poznawać religię i obyczaje, a także sposób ubierania się, np. w czarczafy i skórzane portki. Takie przedszkole już powstało w miejscowości Gifthorn, w rządzonej przez socjaldemokratów Dolnej Saksonii, w miejsce zlikwidowanego przedszkola katolickiego. Inicjatorem tego przedsięwzięcia jest pewien pastor ewangelicki, przy akceptacji tamtejszego probostwa katolickiego. Ta akceptacja nie powinna dziwić, skoro przewodniczący episkopatu Niemiec kardynał Marx jest nad wyraz poprawny politycznie i w kontaktach z mułłami zdejmuje z szyi krzyż, żeby nie urazić ich uczuć religijnych.

Dzieci w tym przedszkolu nie tylko będą poznawać religię swoich kolegów, lecz będą też wspólnie uczestniczyć w świętach. Np. dzieci wyznające islam będą obchodzić Boże Narodzenie, a dzieci niemieckie ramadan.

I jak dobrze pójdzie, islam zwycięży, a rodzice niemieckich dzieci już z samego strachu przed zamachami będą przechodzić na islam masowo, bo takich przedszkoli będzie wkrótce mnóstwo. Właśnie planowane są takie Kindergarten w Berlinie.

Problem z imigrantami jest nie do rozwiązania ani w Niemczech, ani we Francji czy w Szwecji. A Niemcom grozi islamizacja. Na własne życzenie.

Krystyna Grzybowska

eprasa.pl b95f64bea9

Książki na wakacje



Dobrze znamy ten problem. Już w trakcie pakowania przyjmuje postać ostrą. Pytanie brzmi: które książki zabrać na wakacje? Odpowiedź niestety nie jest łatwa – bo ilu czytelników, tyle strategii. Używam słowa „strategia" celowo, bo prosta odpowiedź nie jest możliwa, a konsekwencje błędu bywają poważne. Choć z wiekiem powinienem się czegoś nauczyć, zawsze biorę przecież dużo więcej, niż byłbym zdolny przeczytać, i to nawet gdybym przez całe wakacje nie robił nic innego, tylko czytał, a przecież rozmowy, rower, spacery, pływanie zajmują trochę czasu. Ciężka sprawa i ciężka waliza! Może to taka siłownia dla inteligentów – ale kręgosłup to na niej nie zyskuje. A więc słowo o tych strategiach. Ale uwaga, nie zaliczam do nich działań rozpaczliwych i przypadkowych. Kupujący byle co ze stojaka na lotnisku nie zasługują na uwagę.

Wielu odkłada sobie na wakacje stosik rosnący przez cały rok. Są tam głośne nowości, narodzone powieści, eseje, monografie – wszystko, na co zabrakło czasu. Może to być groch z kapustą, a więc rzeczy różnej wagi, które łączy to, że znają je wszyscy będący na bieżąco. Mogą też być to książki z ulubionego gatunku (np. poezja, historia itp.). Centralna idea to odrabianie zaległości. Tak działają zapracowani poszukiwacze przygód. Nie boją się ryzyka. Boją się zapóźnienia. Nowości nie rozczarowują ich ani nie męczą nawet wtedy, jeśli są do niczego. Odpoczywają, kiedy wiedzą, że nic nie uszło ich uwagi.

Inni szukają z kolei jakichś specjalnie wakacyjnych pozycji – rozumiejąc przez to książki lżejsze albo przeciwnie: trudniejsze, a więc te wymagające specjalnego skupienia. W pierwszej kategorii znajdą się rozmaite czytadła: romanse, sensacja, czasem biografie czy wspomnienia, w drugiej – opasłe dzieła o tytułach, których bez solidnego wykształcenia nie da się zrozumieć, dzieła presokratyków, eksperymentalna proza – słowem: hard core!

Jest jeszcze taki gatunek inteligentów, którzy zabierają z sobą książki ze swojej dziedziny. To ci, których samo opuszczenie posterunku napawa grozą lub odrazą. Na wakacje biorą więc prace kolegów po fachu, świeżo wydane habilitacje, zszywki artykułów, kserokopie. Ci biurka nie opuszczają ani na chwilę – pracują nawet na plaży.

Kolejna grupa czytelników to ci, którzy wiążą lekturę z podróżami. Do ich walizki nie trafiają nigdy rzeczy przypadkowe. Jak do Włoch – to Herbert lub Chłędowski, jak na Sycylię – to Lampeduza, do Grecji – Pindar i Tukidydes, do Portugalii – Camões, a do Finlandii – koniecznie Kalewala. Zawsze znajdą coś à propos – raz będą to baskijskie bajki, innym razem „Kronika ziemi pruskiej" albo poezja joruba. Spotkacie ich wszędzie. W Orvieto zadzierają głowę przed Signorellim, w Grecji wielkimi krokami obchodzą ruiny, sprawdzając, czy Pauzaniasz się nie pomylił, w Walencji klęknęli przed Świętym Graalem. Siedzą w kawiarni lub na schodach. Zapatrzeni, zaczytani. Po co kryć – bardzo ich lubię.

Jest jeszcze jedna strategia. U typów szczególnie konserwatywnych niemal wyłączna. To zwyczaj zabierania książek czytanych stale, a więc co roku, albo co najmniej raz na kilka lat. Dobrze znam ten typ czytelników – występują w formie radykalnej (tych do nowej lektury nie skusi nawet literacki Nobel), umiarkowanej oraz łagodnej, ale zawsze przewlekłej i nieuleczalnej. Na wakacje pakują swoje książki życia. Warto zobaczyć, co czytają – bo nigdy nie są to pakuły. Specjalne wzięcie mają u nich staroci: „Iliada" (oczywiście Siemieńskiego), „Eneida" (ta Kubiaka), tragicy, Szekspir, Kochanowski, ale mogą być i rzeczy trochę młodsze: Mickiewicz, Norwid, „Czarodziejska góra", „Lalka", eseje Stempowskiego czy opowiadania Iwaszkiewicza – czasem rzeczy mniej oczywiste, jak książki Pawlikowskiego, Czapskiego, kronika Kadłubka czy jakaś powieść Parandowskiego. Można ich poznać po minie pełnej delektacji i czasem po tym, że czytając, jakby coś pod nosem mruczeli albo nucili. To nie pływacy, ale nurkowie. Łowcy pereł.

Najbardziej zalecam podejście mieszane. Jasne, że do torby mogą wpaść jakieś niedawno wydane tytuły. Czasem warto wziąć coś polecanego przez osobę godną zaufania. Ale przecież nie może tam zabraknąć pewniaków. W ciągu roku można od biedy zaryzykować nieudany wieczór, ale w wakacje to byłaby katastrofa! Wielkie książki rosną w nas i z nami. Warto sprawdzić, co się zmieniło, co nabrało znaczenia. Zabawne, jak różne rzeczy widać po pewnym czasie, jak zmienia się perspektywa, ile pojawia się nowych pytań i odpowiedzi. I chodzi wcale nie tylko o to, co dotyczy życiowej mądrości, lecz i o urodę, którą dopiero z wiekiem uczymy się widzieć i doceniać.

Obawiam się, że nie pomogłem zmniejszyć tej ciężkiej torby. Zwłaszcza że nawet nie dotknąłem kwestii książek dla dzieci, którym też trzeba przecież zabrać coś na wakacje. No i jeszcze kwestia najważniejszej książki wakacyjnej – tej, którą będziemy czytali codziennie, wspólnie, na głos. Jeśli w tej sprawie pytają państwo o radę, powiem bez wahania – niech czytają państwo „Pana Tadeusza". Jest niezawodny.

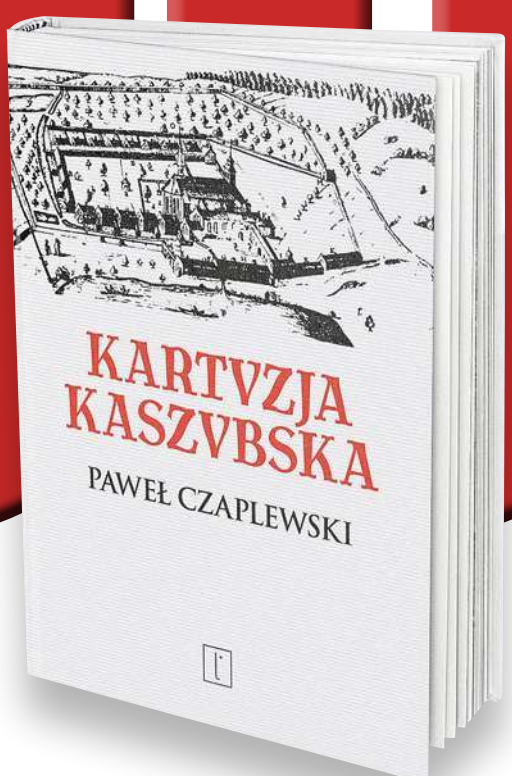
Dariusz Karłowicz

Autopromocja

eprasa.pl b95f64bea9

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW

100 książek w prezencie





ZAMÓW ROCZNĄ PRENUMERATĘ MIESIĘCZNIKA WSIECI HISTORII ZA 75 ZŁ, A KSIĄŻKĘ „KARTVZJA KASZVBSKA" O WARTOŚCI 44,90 ZŁ OTRZYMASZ GRATIS!

SPRAWDŹ DOSTĘPNOŚĆ KSIĄŻEK NA **WSIECIPRAWDY.PL/PRENUMERATA**

ZAMÓW JUŻ DZIŚ!

tel. 22 616 15 70

PRENUMERATA@FRATRIA.PL
WWW.WSIECIPRAWDY.PL/PRENUMERATA

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: PL91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria Sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując: Prenumerata roczna wSH i pełne dane teleadresowe do wysyłki.

eprasa.pl b95f64bea9

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Dwa życiorysy



Stanisław Niedbał-Mostwin wypełnił swoje zadanie. Gdy do władzy doszli komuniści, jego los był przesądzony

Piszę w dniu, w którym dr Sławomir Cenckiewicz, dyrektor Wojskowego Biura Historycznego, ujawnił archiwalne dane dotyczące sędziego Józefa Iwulskiego, sprawującego dziś obowiązki I prezesa Sądu Najwyższego. Ledwie się dowiedzieliśmy, że w stanie wojennym skazywał działaczy antykomunistycznych, a teraz informacja o Iwulskim jako byłym poruczniku Wojskowej Służby Wewnętrznej, poprzedniczki Wojskowych Służb Informacyjnych. Tak, ma rację Sławomir Cenckiewicz – generałowie Józef Baryła i Florian Siwicki awansowali w stanie wojennym swojego oficera na późniejszego prezesa Sądu Najwyższego. Typowa peerelowska kariera wojskowego aparatczyka, resortowego dziecka; ojciec był pracownikiem Komendy Dzielnicowej MO Wrocław-Psie Pole, a matka służyła w Milicji Obywatelskiej. I tak Józef Iwulski, z wykształcenia technik elektronik, trafił na studia prawnicze we Wrocławiu, by potem jako szkolony w ośrodkach WSW oficer zająć w III RP stanowisko aż sędziego Sądu Najwyższego.

Z tym większym zobowiązaniem winniśmy przywoływać w naszej pamięci oficerów Wojska Polskiego II Rzeczypospolitej, szczególnie tych zapomnianych, których historia PRL wymazała z pamięci, a i współcześni historycy nie dotarli jeszcze do archiwów, relacji, pamiętników świadczących o postawie i dokonaniach tych ludzi. Jednym z takich nieznanych bohaterów, którego miałem okazję poznać osobiście, był porucznik Stanisław Niedbał-Mostwin ps. Bask, kurier polityczny Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, zrzucony na spadochronie do Polski w nocy z 10 na 11 maja 1944 r. Wraz z nim, w drodze poprzez Gibraltar i Brindisi, skakali w rejonie lasów lubieńskich na Kielecczyźnie kurierzy wojskowi: podchorążowie: „Rango", „Osterba", „Meteor", „Szybki" oraz porucznik „Lewar". Misja „Baska" była nietypowa. Oczywiście jak inni cichociemni odbył wymagające szkolenie dywersyjne w Hucknall w środkowej Anglii, na północ od Nottingham, potem szkolenie spadochronowe na kursie w Ringwey. A w międzyczasie odbył całą serię spotkań politycznych z przedstawicielami rządu polskiego na obczyźnie, poczynając od rozmowy z premierem Stanisławem Mikołajczykiem, który powierzył mu ustne informacje dla delegata rządu w Warszawie Stanisława Jankowskiego. Najbardziej tajne rozmowy prowadził z ministrem spraw wewnętrznych Władysławem Banaczykiem, a dotyczyły one rozmów rządu polskiego z przedstawicielami ambasady sowieckiej na „jakimś polu golfowym pod Londynem". Porucznik „Bask" zabierał z sobą do kraju schowane w mydle do golenia oraz w pędzlu i szczoteczce do butów mikrofilmy opracowań niektórych ministerstw oraz pas z pieniędzmi, dolarami i funtami, w tym, co jest faktem ważnym podkreślenia – tym bardziej że zupełnie nieznanym naszym historykom – 200 tys. dolarów na pomoc dla Żydów. Były to pieniądze zebrane przez Żydów holenderskich oraz dolary przekazane przez Henry'ego Morgenthau, bliskiego doradcę prezydenta USA Franklina Delano Roosevelta. Fakt ten odnotowany jest w Studium Polski Podziemnej w Londynie (teka 6, poz. 7 w. 135).

Losy porucznika Stanisława Niedbała-Mostwina opisuje w książce – nieznanej wciąż polskiemu czytelnikowi – pt. „Tajemnica zwyciężonych" jego żona prof. Danuta Mostwin, nasza największa polska pisarka za oceanem. Jest w niej dramatyczny opis walk, jakie toczyli z Niemcami partyzanci AK w okolicach zrzutu spadochronowego, opis drogi z Sulejowa i Piotrkowa Trybunalskiego do Warszawy, która zajęła „Baskowi" ponad dwa tygodnie. Niemcy, wiedząc o skoczkach spadochronowych, prowadzili zakrojoną na szeroką skalę obławę. Na szczęście były to tereny zamieszkane przez bardzo patriotyczną ludność. Tam właśnie w latach 1939–1940 walczył z Niemcami słynny „Zagończyk", major kawalerii Wojska Polskiego Henryk Dobrzański „Hubal". Do Warszawy „Bask" dotarł pociągiem w wagonie „Nur für Deutsche" w asyście oficera AK ubranego w niemiecki mundur oficerski. Najpierw zatrzymał się w zakonspirowanym lokalu przy ul. Brzozowej 16, a potem trafił na Saską Kępę, na ul. Francuską 12, do mieszkania rodziny Pietruszewskich, którzy od początku wojny dawali schronienie cichociemnym. Tam właśnie poznał swoją przyszłą żonę Danutę.

Stanisław Niedbał-Mostwin wypełnił swoje zadanie. Gdy do władzy doszli komuniści, jego los był przesądzony. Jako były oficer Oddziału II Sztabu Generalnego WP musiał uciekać z kraju. Udało mu się to dopiero za trzecim razem. Nie powstał o nim dotąd żaden artykuł, książka, film. Na elewacji domu przy ul. Francuskiej 12 w Warszawie nadal nie ma pamiątkowej tablicy.

I tylko można się zadumać, jak wyglądałaby Polska, gdyby nie wojna i sowiecka dominacja i gdyby sędziami mogli być tacy ludzie jak Stanisław Niedbał-Mostwin, odznaczony Virtuti Militari za wrzesień 1939 r., uczestnik walk pod Tobrukiem, przedwojenny absolwent wydziału prawa Uniwersytetu Poznańskiego.

eprasa.pl b95f64bea9

LOKAL DLA AWANTURNYCH

Lato z pytonem

Nie zdzierżył, natężył zwoje i zwiał. Wcześniej uczestniczył w spotkaniach Patryka Jakiego i zadawał nader wnikliwe pytania. Ogólnie jednak był spokojny, wolał podburzać, niż samemu występować. Kiedyś pod Sejmem spotkał gen. Dukaczewskiego i zdrowo mu nawtykał. Jaki to bowiem generał, który sam musi łazić na manifestacje i robić to, co zwykle powinni robić dla niego sierżanci. Kiedy zatem ostatnio zobaczył znów Dukaczewskiego na manifestacji przeciwko kaczystowskim grzechom, nie zdzierżył, rżnął manierami i senatorską pozą o bruk i... zwiał.



Witold Gadowski

Skoro wszystko spełzło na niczym, to postanowił lewoskrętnymi mięśniami wypełznąć nad Wisłę. Dla postraszenia pogoni zrzucił skórę i pozostawił ją na lewym brzegu rzeki. Genetyczny odczyt papilarnego manifestu ze skóry doprowadził ekspertów do prawdziwej ekstazy: zimnokrwisty, wykształcony w obszarach podzwrotnikowych, nieprzebierający w czynach, morderczo przystojny, jednym słowem – szalenie inteligentny i niebezpieczny dla totalnej władzy w Polsce. Jeden z ekspertów nawet śmiało się podniecał tym, że „bez ostrzeżenia może zadusić". Na portalach opozycji rozpoczęła się prawdziwa kanonada komplementów pod jego adresem, aż wreszcie kultowy komentator Tomasz Zwis orzekł, że w dobie, gdy Schetyna traci zimną krew, Petru się całkowicie popruł, a Róża Thun nic więcej nie może, tylko on – zimnokrwisty, przebiegły i odważny – nadaje się na wodza ogólnokrajowego powstania przeciwko tyranii.

Ponoć przed karnymi ekspedycjami policji, strażaków i służb dowodzonych przez kaczystowskich siepaczy ukryła go pewna gorąca europejska patriotka, która ogrzewała go własnym, bujnym jak demokracja w czasach Tuska, biustem. Ksiądz Lemański odprawił mu nawet obrzędy specjalne, koncelebrowane przez biskupa Pieronka, niedoszłego biskupa Sowę, księdza Bonieckiego i jezuitę Mądela. Ponoć w okolicy, gdzie odprawiano egzekwie, woń się niosła siarczana, co odczytano jako najlepszą wróżbę.

Potajemne konwentykle sponsorowane przez Sorosa zawyrokowały nawet, że będzie liderem warszawskiej listy i pociągnie ją jak wyborcza kiełbasa. W kręgach nowo okrzesanej socjety na listę zakazanych autorów wpisano niejakiego Dymnego Wiesława, który śmiał lat temu wiele stwierdzić, że „wszystko kiedyś przemija, nawet najdłuższa żmija".

Krótko mówiąc, z powodu brawurowej ucieczki idolem szansonistek, aktorek i peerelowskiej profesury stał się obywatel Pyton Tygrysi w całej swojej sześciometrowej, śliskiej i skręconej krasie. Biedaczki zapomnieli jednak, że po lecie przychodzi zima, a wraz z nią Sztywny Pal Azji miast żywotnego gada.

Wołyńska lekcja

Około 3,5 mln widzów obejrzało wyświetlany w tzw. prime timie „Wołyń". TVP ogłosiła wielki sukces. Tymczasem film Smarzowskiego – pierwszą próbę ukazania dramatu Polaków na Kresach – zobaczyło niecałe 10 proc. Polaków! A co z resztą? Niektórzy świadomie zrezygnowali, obawiając się drastycznych scen banderowskiego ludobójstwa; z tego też powodu wielu rodziców nie poleciło tego filmu swoim dzieciom. Tymczasem reżyser nie epatował krwawą jatką, lecz niczym Hitchcock budował nastrój grozy zbliżającego się nieuchronnie pogromu. Dzisiejsza młodzież wychowana na makabrycznych horrorach (w których przelewają się wiadra krwi) mogłaby przeżyć szok poznawczy z zupełnie innego powodu: fabuła „Wołynia" oparta jest na prawdzie o nieodległej przeszłości Polaków. Wszak wciąż żyją ludzie, którzy na własne oczy widzieli bestialskie zbrodnie UPA. Dla większości z nas, wychowanych w czasach względnego spokoju, wołyńska opowieść jest przypomnieniem: TAK WŁAŚNIE WYGLĄDA PRAWDZIWA WOJNA! Bezlitosna dla bezbronnych kobiet, starców, dzieci... Film ten jest również lekcją wojennego surwiwalu: wołyńskie straty można by było zminimalizować, gdyby Polacy lepiej się zorganizowali i uzbroili. Tam, gdzie powstawały oddziały samoobrony, rzezi uniknęły całe wioski (vide: obrona Przebraża).



Lech Makowiecki

Już słyszę lewacki jazgot: „Po co do tego wracać? Było, minęło, to już nie wróci. Cieszmy się życiem, bawmy się!". Tymczasem prawdziwe wojny toczą się coraz bliżej naszych granic: Jugosławia, Czeczenia, Gruzja, Syria, Donbas... Dżihad dojrzewa dziś w samym sercu Schengen, a my wypieramy zagrożenia ze swej świadomości. Już nawet nie potrafimy się bić, więc polegniemy od pierwszej maczety. „Wołyń" Smarzowskiego powinien nas otrzeźwić, zmobilizować, zmusić do działania...

PS Większość Polaków w przypadku zagrożenia chciałaby (za Ewą Kopacz) zamknąć się w domu i ukryć wraz z dziećmi pod stołem. Płonące chaty na Kresach pokazały, że to bardzo zły pomysł.

eprasa.pl b95f64bea9

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

(Nie)dostatek słów



Aleksander Nalaskowski

Gdy już dotrze się do nieprzekraczalnych granic języka, to trudno napisać cokolwiek, co by kogokolwiek przekonywało. Tak więc działania totalsów – tych stąd, jak i tych z Parlamentu Europejskiego – furiackie reakcje wielu środowisk żydowskich na porozumienie premierów Polski i Izraela, sędzina Gersdorf, zachowanie Bolęsy (Bolek+Wałęsa), ustawiczne przesiadywanie w TVN Millera, Cimoszewicza, Olechowskiego czy innych złotoustych trupów politycznych, zjawiska umysłowe o nazwie Olejnik, Scheuring-Wielgus, protesty, marsze i parady. W konfrontacji z nimi felietonista staje się bezradny. Nie ma bowiem w repertuarze normalnych ludzi słów, które by adekwatnie i dostatecznie obraźliwie nazwały to, co ci wszyscy tu wymienieni oraz niewymienieni robią i mówią. Każdy nie do wyobrażenia bluzg, ostrzejsze od miliona brzytew porównanie, ohydniejszy od karalucha przymiotnik będą tylko eufemizmem. W odniesieniu do tych ludzi i ich działań, wypowiedzi oraz głoszonych kłamstw pojęcia takie jak podłość, zdrada, sprzedajność, oszustwo, krętactwo czy cynizm będą w swej łagodności wręcz masażem ich nieskończonego ego. Bo jak np. nazwać zdradę, która jest gorsza od każdej dotąd znanej zdrady?

Ocalały nam jednak frazy, piękne słowa i zachwyty, którymi trudno się do syta najeść, bo wychodzą z życia pięknych ludzi. Tych mamy jakby mniej. Ubywają. I tutaj dwoje z nich.

Irenę Szewińską widziałem na zawodach w 1975 r. To były Grand Prix Brdy i mistrzostwa Polski w lekkiej atletyce w Bydgoszczy. Otwarto tam bowiem wyremontowany stadion z tartanową bieżnią. Wówczas mieliśmy takich w Polsce bardzo niewiele. Bodaj trzy, a może cztery. Byłem wtedy na zgrupowaniu kadry juniorów i mieliśmy wolny wstęp na te zawody. Stawiła się tam cała polska czołówka. Był Władysław Komar, Bronisław Malinowski, Jacek Wszoła, Tadeusz Ślusarski. Komara poznałem lepiej w naszej siłowni (opowiadał nieco nieprzyzwoite dykteryjki), a Malinowskiego w saunie. W saunie miałem też sposobność rozmowy z Januszem Sidłą, który dopiero co zakończył karierę. Ale zdecydowanie największe wrażenie zrobiła na mnie Szewińska. Na żywo wydawała się znacznie bardziej krucha i filigranowa niż w telewizji. W przeciwieństwie do mniej znanych sportowców nie afiszowała się w dresie z napisem „Polska", miała skromny, jakby lekko sprany, dresik granatowy, rzekłbym zupełnie niemodny. Widziałem jej rozgrzewkę, a potem bieg finałowy na 200 m. Bieg, który wygrała. No właśnie, ten bieg. To nie był normalny sprint, to był lekki, elastyczny i piękny lot nad kolorowym tartanem. Oczywiście wygrała w cuglach, nie dając rywalkom szans. One chyba od razu walczyły o każde, tylko nie pierwsze miejsce. Szewińska biegła skupiona, ale bez najmniejszego grymasu twarzy i chyba zupełnie bez wysiłku. Jak jakaś bogini, za nic miała grawitację. Była podmuchem uśmiechniętego wiatru, a nie biegaczką.

Olśniewała czymś jeszcze – skromnością. W każdym geście, spojrzeniu, uśmiechu czy to na rozgrzewce, czy w zawodach cała była jedną wielką skromnością. Była dla mnie uosobieniem piękna sportu, tego jeszcze „starego" sportu, wolnego od chamowatej komercji, wszechobecnych tatuaży, przeogromnej kasy i farmakologii. Ten sport na moich oczach dogorywał. Pierwsze rany odniósł na olimpiadzie w Monachium, gdy muzułmańscy terroryści zaatakowali wioskę sportową. Nigdy potem już Ireny Szewińskiej nie widziałem na żywo. Pamiętam, że bywała politycznie wykorzystywana, rozmaicie. Wszyscy, którzy ją do tego namawiali, będą się kiedyś smażyć w piekle.

Drugim pięknym był Waldemar Baszanowski. Mistrz sztangi, guru elegancji trudnej sztuki dźwigania, człowiek uśmiech. Kolega, który studiował na warszawskiej AWF, wspominał, że Baszanowski chodził zawsze uśmiechnięty. Z racji uprawianej dyscypliny widywałem go częściej, ale nigdy na pomoście. Gdy na dobre wszedłem w sport, on już był za jego metą. Nie pamiętam, aby podniósł głos, aby się kiedykolwiek zdenerwował. Miał klasę, której nie musiał w ogóle eksponować, po prostu ją miał. Nie tylko tę sportową, klasę tak w ogóle. Widziałem w sieci kilka relacji z zawodów, w których startował. Były to sprawozdania telewizji ZSRS. Z jak wielkim szacunkiem rosyjscy komentatorzy traktowali naszego mistrza, jak zachwycali się każdym podejściem, mimo że wygrywał z ich zawodnikami. Ale o Baszanowskim nie dało się mówić inaczej niż z szacunkiem i zachwytem. Niestety ostatnie pożegnanie mistrza nie miało zbyt uroczystego charakteru. W tym czasie Amerykanie zabili Osamę bin Ladena i ta śmierć dla naszych mediów była ważniejsza. Baszanowski był jak Szewińska laboratoryjnym wręcz wzorcem skromności. Odszedł więc skromnie, bez wielkich mów, oficjeli, asysty i medialnych wspomnień. Cicho i w cierpieniu zamknął po sobie drzwi.

Jak dobrze, że są jeszcze okazje, aby używać pięknych słów, opisywać pięknych ludzi i cieszyć się, że z nami byli. Tych dobrych słów całkiem nie zużyliśmy.

eprasa.pl b95f64bea9

PRZEZ ŚWIETLIK

Poskacz z nami

Wyobraźmy sobie Odyseusza, Tezeusza albo jakiegoś innego mitologicznego wędrownika. Podróżuje po morzach i drogach pełnych niebezpieczeństw. Tu czają się na niego kuszące, ale mordercze syreny. Tu rozbójnik, który grzecznie prosi o pomoc w wymyciu nóżek, a jak ktoś jest tak uczynny, że się nabierze, kopniakiem spycha go w przepaść. Tam z kolei ludożercy. Pewnego dnia nasz wędrowiec trafia, wydawałoby się, do rajskiej krainy.

Może nie najbogatszego miejsca, może nie z najwyższymi górami ani najcieplejszym morzem, ale spokojnego, bezpiecznego, z niezłym jedzeniem, przyjaznymi ludźmi. Takiego, w którym czasem słońce poświeci, a czasem śnieg spadnie. Wydawałoby się, że lepszego miejsca nie znajdzie. Szybko jednak, jak to w takich opowieściach, zauważa, że dzieje się tam coś dziwnego. Tubylcy, owszem, są wspaniale nastawieni do niego, chcą zrobić jak najlepsze wrażenie, goszczą go, popisują się znajomością języka przybysza. Ale z czasem stają się cokolwiek męczący. Starają się za wszelką cenę wciągnąć go w swoje spory, najchętniej stosując szantaż moralny. „Słuchaj, nasz szambelan to kawał kanalii, człowiek taki jak ty powinien go potępić publicznie", „Musisz nam pomóc odzyskać władzę, ci, którzy dziś cię goszczą, niegodni ciebie i nas", „Zapisz się do nas" i tak dalej. Z czasem staje się to coraz bardziej nieznośne, a ostatecznie przybysz decyduje się na ucieczkę od przyjaznych, ale śmiertelnie skłóconych z sobą mieszkańców krainy, na powrót pomiędzy rozbójników Prokrustesów, cyklopów Polifernów i inne koszmarne postaci.



Wiktor Świetlik

Wielu twierdziło, że Lech Wałęsa niczego już w życiu nie dokona. Swoim kuriozalnym apelem do Jaggera osiągnął jednak coś nowego. Wzniósł nasze rodzime donosicielstwo na nowy pułap

Tak mogłoby być w jakimś micie, gdyby faktycznie, jak twierdzą niektórzy, wszystko w nich było zapisane, włącznie z naszym niedocenionym byłym prezydentem. Wielu twierdziło, że Lech Wałęsa niczego już w życiu nie dokona. Swoim kuriozalnym apelem do Micka Jaggera, myślę, że jednak osiągnął coś nowego. Wzniósł nasze rodzime donosicielstwo na nowy pułap. Ciekaw jestem, czy w mniej publicznych listach i po cichu kilka innych naszych rodzimych autorytetów także nie próbowało wokalisty The Rolling Stones namówić, by zamiast bawić ludzi, dawał im wykłady polityczne. Jagger zachował się profesjonalnie, ale rzeczywiście wygląda na to, że nasi obrońcy demokracji pomału zaczynają stanowić zagrożenie dla turystyki, większe niż tsunami w Japonii albo terroryzm w Tunezji. Niby bezpiecznie, niby przyjaźnie dla kobiet, niby jeziora, piasek na plażach, góry. Ale kto chciałby się męczyć w kraju, którego mieszkańcy, przynajmniej ich część, nie są w stanie załatwić swoich spraw sami i próbują wciągać w nie każdego, kto się napatoczy.

Są jednak i pozytywy. Zdaje się, że ta krótka korespondencja z byłym noblistą wywarła jeszcze jeden wpływ na dziadków z Londynu. Zaraz po koncercie w Warszawie okazało się, że wcale nie kończą 56-letniej kariery. Grają ponoć dalej. Widać stwierdzili, że normalnych miejsc nie ma, a tym bardziej nie ma miejsc bez nienormalnych ludzi, więc lepiej do końca pozostać w trasie.

Wiktor Świetlik

Autor jest dyrektorem Programu 3 Polskiego Radia

2018.pl
100. rocznica odzyskania niepodległości

PARTNERZY:

LOTOS

PZU

niepodległa
POLSKA STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

PROJEKT REALIZOWANY W RAMACH OBCHODÓW STULECIA ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

eprasa.pl b95f64bea9



Szóste zostaje

JAN POSPIESZALSKI

Napięcie na styku ludzkiej seksualności i prawa moralnego zawartego w Dekalogu celnie ilustruje poniższa anegdota:

– Mojżesz schodzi z góry Synaj, taszcząc dwie ciężkie tablice. Na dole z niecierpliwością oczekuje go tłum Izraelitów. Mojżesz, ocierając pot z czoła, łapie oddech i mówi: – Mam dla was dwie wiadomości: jedną dobrą, drugą złą. Od której zacząć?

– Dawaj dobre wieści!

– Utargowałem do dziesięciu...

– Uff! A ta zła?

– Szóste zostaje.

Od zarania dziejów olbrzymia energia, jaka towarzyszy ludzkiej seksualności, podlegała różnym regulacjom, ale tylko objawione Izraelowi prawo, w sposób zupełnie wyjątkowy, porządkuje tę sferę.

Wierność Bogu Jahwe ściśle związana była z moralnością i respektowaniem tych reguł. Wokół narodu wybranego kłębiły się inne ludy, żyjące innymi obyczajami. Prostytucja świątynna, kulty falliczne, bachanalia, rytuały płodnościowe to tylko część z bogatego katalogu praktyk, jakie stosowano w sąsiedztwie. Jak bardzo zaraźliwe były te obyczaje, jaki kłopot mieli Izraelici z szóstym przykazaniem, widzimy na kartach Starego Testamentu. Liczne interwencje proroków, napominających synów (i córki) wybranego narodu, pojawiają się naprzemiennie z przykładami odstępstwa i niewierności. W Biblii termin „nierząd" używany jest często nie tylko jako określenie cudzołóstwa, lecz w ogóle jako zaparcie się Boga. Do dziś synonimem dewiacji oraz obrzydliwości jest Sodoma i Gomora. Dekalog nadaje sakralną sankcję ludzkiej seksualności, bo w tym obszarze Bóg Stwórca (i prawodawca) podzielił się z ludźmi zdolnością stwarzania – wyposażył kobietę i mężczyznę w przywilej powoływania nowego życia. Izrael wie o tym, ma świadomość swojej wyjątkowości. Widzi, że inne ludy nie dostały Prawa, dlatego nie tylko cudowne interwencje Boga w jego dzieje, lecz także Prawo jest dowodem wybrania. Ewangelie i Listy św. Pawła dobitnie potwierdzają rangę szóstego przykazania. Idą też dalej, podkreślając monogamiczność i nierozerwalność małżeństwa. Dziś trudno nam sobie wyobrazić, jak bardzo wyróżniało to wyznawców Chrystusa.

Cenne informacje o obyczajowym i seksualnym krajobrazie grecko-rzymskiego świata przynosi analiza Listów św. Pawła na tle innych źródeł, zawarta w książce żydowskiej antropolog Sarah Ruden „Paul Among the People". Na tle powszechnych praktyk, gdzie niewolnice i młodzi niewolnicy wykorzystywani byli do zaspokajania seksualnych popędów, gdzie codziennością jest homoseksulizm (w dodatku podszyty przemocą) niewielkie wspólnoty chrześcijan, wierne przykazaniom, żyjące powściągliwie, w monogamicznych i wiernych małżeństwach, jawią się jako społeczność zupełnie wyjątkowa. Ogromna energia ludzkiej seksualności została okiełznana, skanalizowana i ukierunkowana na tworzenie, na rodzinę, na wspólnotę i dążność do osobistej świętości. Ten wynalazek zajmuje poczesne miejsce wśród tych, które zagwarantowały dynamikę naszej kultury i cywilizacji. Chrześcijaństwo, strzegąc moralności, rozprzestrzeniło się w świecie, wygrywając konkurencję z pogańskimi ludami i ich seksualnymi zwyczajami. Na tym tle widać, że wierność małżeńska, trwałość rodziny to nie tylko kwestia religijna. Jako czynnik kulturowy ma znaczenie gospodarcze, polityczne, cywilizacyjne.

Przypominam te oczywiste oczywistości, gdy indywidualizm, (czytaj: egoizm) ludzki zażądał uwolnienia jednostki ze wszystkich krępujących ograniczeń. Wśród tych kajdan religia i rodzina jawią się jako najokrutniejsze zniewolenie. Procesy emancypacyjne jako następstwo rewolucji 1968 r. doprowadziły do erozji instytucji małżeństwa i rodziny, a dziś demolują nawet językowe oraz prawne pojęcia. Towarzyszą temu od kilku dekad stałe wysiłki modernizacji nauczania Kościoła w tych kwestiach. Przykładami są interpretacje głośnej adhortacji „Amoris laetitia", a także zapowiedź reinterpretacji encykliki papieża Pawła IV „Humanae vitae". Za kilka dni, 25 lipca, przypada 50. rocznica opublikowania tego doniosłego dokumentu. O geniuszu i profetycznych zapisach tej encykliki, o wściekłości, jaką wzbudza do dziś, przypomnę za tydzień.

wSIECI HISTORII Szukaj w kioskach!



DOŁĄCZ DO NAS NA FACEBOOKU. WWW.FACEBOOK.COM/wSIECIHISTORII

eprasa.pl b95f64bea9

Przydawki i Amber Gold



Jerzy Jachowicz

W przeciętnym zdaniu, aby było ono nie tylko strawne, lecz i atrakcyjne, muszę użyć przeciętnie czterech przydawek. Tekst składający się z ok. 10 tys. znaków bez spacji, a to minimalna liczba dla takiego gatunku, jakim jest reportaż, zawiera ok. 120 zdań. Cztery przydawki w zdaniu pomnożone przez 120, daje – chwila, zastanowię się – tak, już wiem. To znaczy, że taki tekst muszę wzbogacić prawie 500 przydawkami. Oczywiście rozłożonymi w miarę proporcjonalnie. Więc już same przydawki, będące zwykle ozdobą reportażu, pochłaniają wiele energii twórczej i zarazem czasu.

To tylko jedna z wielu przeszkód, które nie pozwoliły mi na czas przygotować reportażu z przesłuchań szefa skarbówki gdańskiej przed sejmową komisją do zbadania afery Amber Gold.

Warto przy tej okazji przypomnieć banalną prawdę związaną z przydawką, stanowiącą dodatkowe obciążenie pracy każdego dziennikarza, a wymagającą również niemałego wysiłku intelektualnego, którego nie można bagatelizować, mianowicie konieczność dokonywania analizy logicznej, aby poprawnie, zgodnie z regułami polskiego języka przyporządkować każdą z pozostałych czterech części zdania – podmiot, orzeczenie, dopełnienie, okolicznik – na właściwe miejsce, gdyż każdy z tych elementów odgrywa inną niż przydawka rolę.

Panie prezesie, nie mogę także zaniedbać obowiązku permanentnego dokształcania się oraz śledzenia w mediach na gorąco ważnych wydarzeń. Weźmy tylko sam internet. W Polsce jest ponad 100 portali. Dopiero ich stała obserwacja pozwala zdobyć ogólną orientację o istotnych wydarzeniach z różnych dziedzin życia. Załóżmy, że codziennie każdemu z połowy tych portali poświęcam tylko 10 minut. Zajmuje mi to i tak około ośmiu godzin dziennie. Zmniejszam więc dawkę o połowę, do czterech godzin. Potem przeglądam jeszcze gazety.

Wreszcie siadam do pisania. Już w czwartej linijce robię odpoczynek, żeby nie zrobić głupiego błędu ze zmęczenia i w tym samym akapicie nie dawać jednej partykuły po drugiej.

To kiedy ja mam pisać?!

CO MNIE ZASTANAWIA

Znów pożegnanie



Katarzyna Łaniewska

Z grona poetów odeszła Joanna Kulmowa. Jej poezja była czymś bardzo ważnym w moim życiu.

Joannę poznałam wiele lat temu, kiedy studiowałam w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej na wydziale aktorskim. Joanna była moją starszą koleżanką na Wydziale Wiedzy o Teatrze. Zapamiętałam ją wtedy jako piękną, wysoką i już dojrzałą młodą osobę.

Potem zapoznawałam się z jej poezją poprzez Olenę Koszucką – reżyserkę i moją przyjaciółkę. Korespondencję z Joanną nawiązałam w stanie wojennym, kiedy wpadł mi w ręce jej wiersz. Chciałam się dowiedzieć o nim więcej oraz o jej najnowszej twórczości. Napisałam do leśniczówki, gdzie mieszkała z mężem Janem Kulmą. Odpisała mi, przysyłając w kolejnych listach swoje wiersze pisane odręcznie. Zawsze opatrzone były dodatkowo maleńkim rysunkiem. Byłam jej za to bardzo wdzięczna. Z tymi wierszami podróżowałam po Polsce. One są we mnie. Są drogowskazem – ostrzeżeniem. Tym wspomnieniem o Joasi chciałabym zostawić jej wiersz jako testament tego, o co nas prosi, przed czym nas ostrzega. Jej mocny wiersz, który wiele razy mówiłam:

Boże mocny, Boże nieśmiertelny
Miłosierdzia nad skorupą polskich dusz
Grube chamstwo codzienności skrusz
Niech opadanie z nas
Wódczana zwykłość nasza
Niech się spełni święto tłumem niedzielnym
Poniedziałki strachu, wtorki w nijakości
Środy w poniżeniu, czwartki w szarości
Piątki, świątki rozwiej Boże miłości
Otępiałe niedomyśli porozpraszaj
Ostrzem światła otwórz śpiące sumienia
I wydobądź lud z maligny przerażenia
Życie daj nam ludzkie, nie bydlęce
Daj nam triumf z proroctw Izajasza
Obmyj serca, oczy uszy i ręce
I nie pozwól nam żyć nigdy więcej
W otępiałym dniu w potach conocnych
Boże święty, nieśmiertelny, mocny.

Niech te słowa Joanny Kulmowej – wielkiej, wspaniałej współczesnej poetki polskiej zostaną w tych, którzy je przeczytają, zrozumieją i się nad nimi zastanowią.

Autopromocja

eprasa.pl b95f64bea9



TRENDY I OWĘDY

List do Micka Jaggera

Nasz mało nobliwy noblista wezwał koncertujący w Polsce zespół The Rolling Stones do wsparcia Sądu Najwyższego



Ryszard Makowski

Czy Lech Wałęsa może się jeszcze bardziej ośmieszyć? Nie jest to łatwe, ale trzeba przyznać, że ten największy przebieraniec w naszej historii imponuje uporem. Ostatnio dołożył parę dobrych gagów. Gdy pojechał na strajk rodziców osób niepełnosprawnych do Sejmu, zasłynął dykteryjką: „O 18.00 mam wielkie spotkanie w Puławach". Była to błyskotliwa wymówka, gdy zaproponowano mu, żeby się przyłączył do protestu, bo jest wolny materac. By bronić Sądu Najwyższego, parł na Warszawę: „Staję na czele fizycznego odsunięcia głównego sprawcy wszystkich nieszczęść". Ale gdy już stanął przed totalniackimi demonstrantami, spuścił z tonu: „Słuchajcie, ale 100 tys. to was tu nie ma. Trzeba się rozmnożyć". W ten sposób praktycznie zakończył ten bida-happening.

Czując najwyraźniej dobrą passę, sygnował swoim nazwiskiem list do Micka Jaggera. Sygnował, bo ten znany wykładowca światowych uniwersytetów angielskim nie włada. List najwyraźniej dotarł. Jagger wybrnął dyplomatycznie: „Polska to piękny kraj. Jestem za stary, by być sędzią, ale jestem dość młody, by śpiewać".

Niegdyś Lech Wałęsa donosił na kolegów, dziś ma większy rozmach – donosi na Polskę. Najbardziej w tym wszystkim boli to, że zamiast spiżowego bohatera narodowego mamy wrednie rechoczącego trolla. W dużej mierze dzięki niemu permanentne „I can't get no satisfaction" przykleiło się do życia w III RP.

eprasa.pl b95f64bea9

***Zawistowski prezentuje:* Twierdza notecka**



Wycinki z przeszłości

W tym wydaniu naszej rubryki proponujemy kilka żartów zamieszczonych w jednym z wakacyjnych numerów pisma dla żołnierzy „Wiarus", z lata 1937 r. Z tego tygodnika pochodzi też zamieszczony obok rysunek.

Gość do szofera: – Panie, ulituj się pan! Niech pan tak nie pędzi, bo już przejechaliśmy świnię jakiemuś chłopu. Szofer: – E, to jeszcze nic, panie dobrodzieju. Ja tu zawsze jeżdżę z szybkością trzy świnie na godzinę.

Dyrektor teatru do drugiego dyrektora: – Czy kolega wystawił coś w tym sezonie? – Owszem, wystawiłem cztery weksle, bo musiałem kupić żonie kostium.

Antykwariusz: – Oto stary rewolwer, z czasów epoki rzymskiej. Kupująca: – Przecież Rzymianie nie znali rewolwerów! Antykwariusz: – To też właśnie dlatego jest on taką rzadkością.

Gość do pana domu: – Ale też pański piesek jest tłusty niemożliwie! Pan domu: – Ale wie pan, że to dopiero od czasu, odkąd moja żona zaczęła sama gotować.

Pijany: – Przepraszam panienkę, czy pani nie wie, gdzie mieszka pan Walczak? Służąca: – Przecież to pan nim jest. Pijany: – No to, to ja wiem, ale nie wiem, gdzie mieszkam. ***(mk)***



Z pogodą lata...



Leszek Długosz

O Staffie można powiedzieć – na jego sposób – poeta cichy jak pojednanie. Wiedział o tej uniwersalnej ludzkiej potrzebie – jednać człowieka z losem... Stąd, sądzę, tak trwała i tak szeroko ogarniająca percepcja jego poezji. Tu anegdota. Trochę à propos? Ponoć jakiś idol śpiewający, posługujący się w swej sztuce potężną ilością decybeli, miał zapytać Sinatrę, dlaczego śpiewa tak cicho. „Bo umiem" – miał usłyszeć w odpowiedzi.

Leopold Staff (1878–1957)
„Ogród przedziwny"

W przedziwnym mieszkam ogrodzie,
Gdzie żyją kwiaty i dzieci
I gdzie po słońca zachodzie
Uśmiech nam z oczu świeci.

Wodotrysk bije tu dziwny,
Co śpiewa jak śmiech i łkanie;
Krzew nad nim rośnie oliwny
Cichy jak pojednanie.

Różom, co cały rok wiernie
Kwitną i słodycz ślą woni,
Obwiązujemy lnem ciernie,
By nie raniły nam dłoni.

Żywim rój ptaków, co budzi
Ze snu nas rannym powiewem,
Ucząc nas iść między ludzi
Z dobrą nowiną i śpiewem.

I mamy ule bartnicze,
Co każą w pszczół nam iść ślady
I zbierać jeno słodycze
Z kwiatów, co kryją i jady.

I pielęgnujem murawę,
Plewiąc z niej chwasty i osty,
By każdy, patrząc na trawę,
Duszą, jak trawa, był prosty.

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	69 zł	129 zł	229 zł
wSIECI HISTORII	21 zł	39 zł	75 zł
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	84 zł	158 zł	280 zł

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

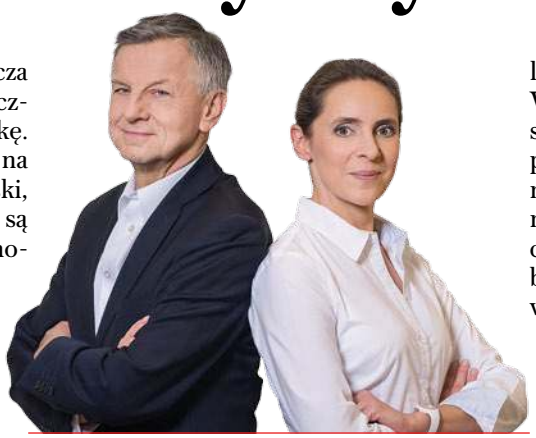
eprasa.pl b95f64bea9

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Granice wytrzymałości

Obserwacje urlopowe, zwłaszcza te dotyczące zjawisk społecznych, mają swoją specyfikę. Nuta wakacyjnej beztroski pozwala na swobodniejsze skojarzenia, a wnioski, które się wyłaniają, często bardziej są impresjami niż efektem zdyscyplinowanej analizy.

Mimo aury wakacjowania nad Lago di Garda we Włoszech trudno nam było nie snuć rozmyślań nad przyszłością Europy...



MIGRACJE I POLITYKA

Włochy ostatnio nie raz kojarzyły się z kryzysem uchodźczym, a niedawno z bezprecedensowym zamknięciem portów dla statków z nielegalnymi migrantami. Jednak odwiedzając miasteczka położone nad jeziorem Garda w regionie Lombardii, stwierdziliśmy, że tam tego problemu się nie czuje. Wcale nie tak liczne grupki typowych turystów przemierzają wąskie i strome uliczki. Miasteczka żyją swoim leniwym rytmem, a różnorodność etniczna i kulturowa ma oblicze łagodne i nie budzi niepokoju.

Czy dlatego, że w małych miejscowościach imigrantom (nie tylko nielegalnym) trudniej jest się zakotwiczyć? W Polsce też nie czuje się na co dzień europejskiego kryzysu migracyjnego, nawet w wielkich miastach. Mimo to – i słusznie – problem migracji jest dość żywo obecny w dyskursie publicznym.

Lewicowe środowiska, obrońcy wizji wielokulturowości, działacze humanitarnych organizacji krytykują, że ten globalny problem staje się „zwykłym" problemem politycznym, często sprowadzanym do roli karty przetargowej, gdy zbliżają się wybory lub gdy trzeba negocjować unijne środki.

Ale to także jest problem polityczny. Czyż podstawowym celem polityki każdego państwa nie jest zapewnianie bezpiecznych warunków życia obywateli?

Kwestia migracji i związanej z nią kulturowej różnorodności nie może być pozbawiona wymiaru politycznego

PRZYJECHALI LUDZIE

Przyjmowanie wielkich zbiorowości ludzi o odmiennej kulturze, religii oraz (co ważne w kontekście praktycznym) często odrębnych potrzebach nie może być regulowane jedynie odruchami dobroczynności i dobroduszności. Kwestia migracji i związanej z nią kulturowej różnorodności nie może być pozbawiona wymiaru politycznego.

Problem migracji nie może być też ujmowany jedynie w ramach rachunków ekonomicznych. Choć Polska, tak jak kiedyś Zachód, potrzebuje imigrantów do pracy, to cały czas warto pamiętać o komentarzu, na który natrafiliśmy w muzeum Mercedesa w Stuttgarcie: „Potrzebowaliśmy siły roboczej, a przyjechali ludzie".

RÓŻNE RÓŻNORODNOŚCI

Problemu migracji nie może też przysłaniać ideologia otwartości ani biznesowej kreatywności.

Wiele międzynarodowych korporacji ma wiceprezesów ds. różnorodności lub podpisuje Karty różnorodności. Wprowadzane są zapisy, uruchamiane są faktycznie działające procedury zapobiegające dyskryminacji ze względu na język, orientację seksualną, wyznanie, przekonania, stan zdrowia czy pochodzenie. Dzięki temu firmy są ponoć bardziej elastyczne i lepiej radzą sobie w warunkach globalności.

Bardzo możliwe, że tak jest. Ale taka różnorodność to nie to samo, co ta przynoszona przez migracje – zwłaszcza zaś nielegalne i niekontrolowane.

Różnorodność etniczna może przynieść twórcze owoce, gdy zespół pracowników składa się z osób już wcześniej akceptujących podstawy danej kultury, respektujących wspólne, podstawowe wartości. Gdy zespół taki tworzą, mówiąc językiem socjologii, osoby, które przeszły proces socjalizacji – wdrażania w podstawy danej kultury. Nie musi to być proces jednokierunkowej asymilacji, ale wymaga on czasu.

W przypadku świeżych imigrantów to dopiero przyszłość. I żadne Karty różnorodności tego nie przyśpieszą.

Wielokulturowość ma granice wytrzymałości, o czym już dość boleśnie Europa się przekonuje. Wielokulturowość potrzebuje wspólnych ram, stabilizatorów i z natury rzeczy to nie może być hasło: „Możesz być, kim chcesz!".

Pisaliśmy już tu niedawno, że współczesne umiłowanie różnorodności wszelakiej, a zwłaszcza etnicznej i genderowej, przybrało postać niemal bożka.

CZY EUROPA PRZETRWA?

Odwiedzając miasteczka nad jeziorem Garda, niemal co krok spotykaliśmy urzekające kościoły i kaplice. Przeważnie otwarte. Na szczęście odbywają się w nich te same od wieków nabożeństwa.

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja | Autopromocja

eprasa.pl b95f64bea9

Zawsze w trendzie wzrostowym

Portal pełen informacji i opinii o gospodarce



Najstarszy magazyn ekonomiczny w Polsce

eprasa.pl b95f64bea9

TELEWIZJA

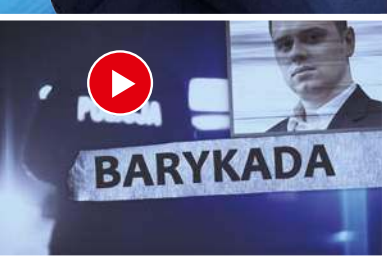
wPOLSCE.PL

Pilnujemy **Polski!**



Telewizja wPolsce.pl właśnie obchodzi pierwsze urodziny.

Nadajemy 24-godzinny program, w którym coraz więcej miejsca zajmują tak lubiane przez widzów magazyny z interesującymi gośćmi i wyrazistymi prowadzącymi.



MAGAZYN KRYMINALNY, CZYLI POLICJA, SŁUŻBY I MAFIA OD KULIS



ROZMOWY Z KOBIETAMI O TYM, CO DLA NICH WAŻNE



GORĄCA DYSKUSJA, MERYTORYCZNE STARCIE ARGUMENTÓW



PROGRAM, W KTÓRYM LICZBY NIE KŁAMIĄ

OGLĄDAJ W CYFROWY POLSAT **NA POZYCJI 196**

eprasa.pl b95f64bea9